REPORTAŻ

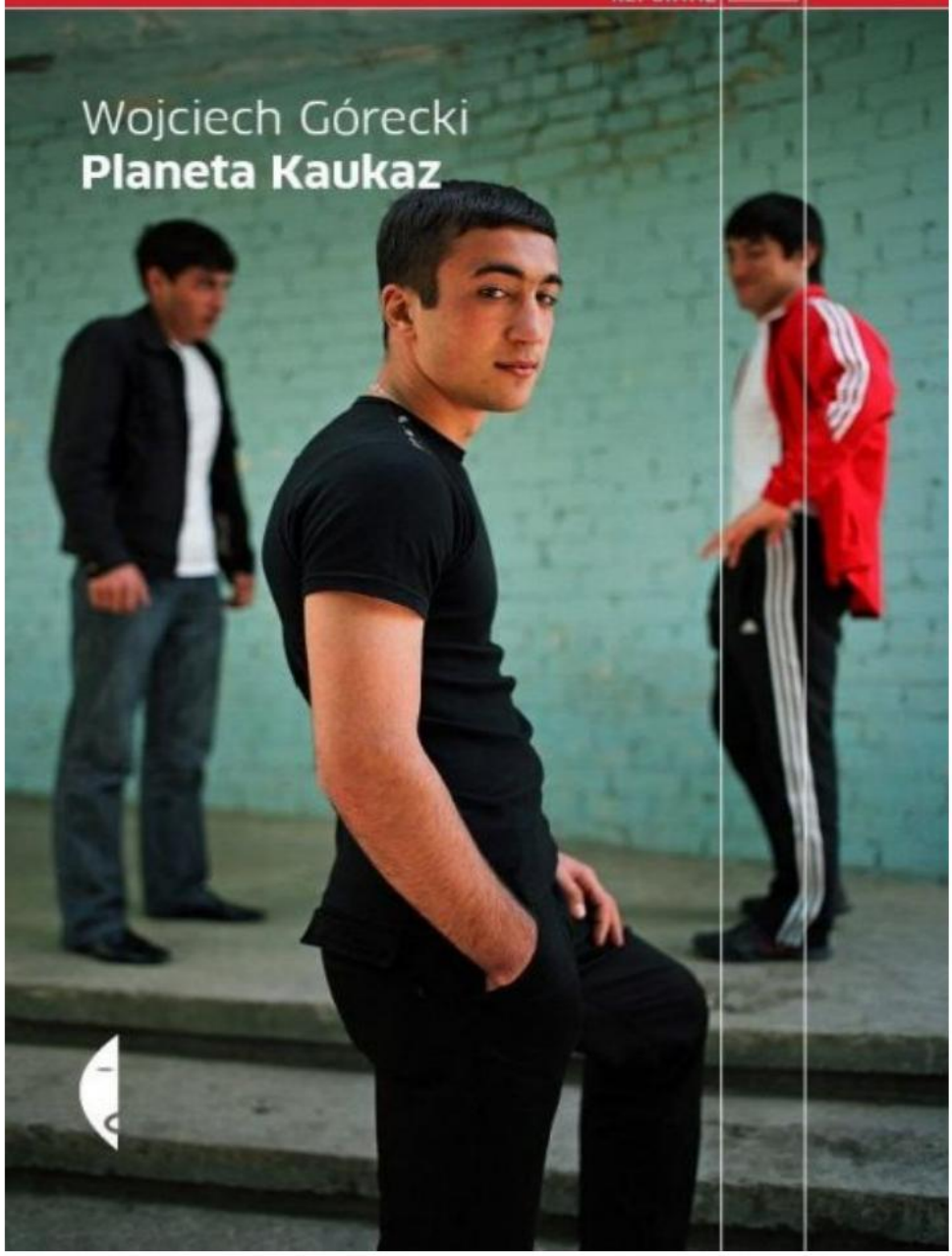

Wojciech Górecki

Planeta Kaukaz

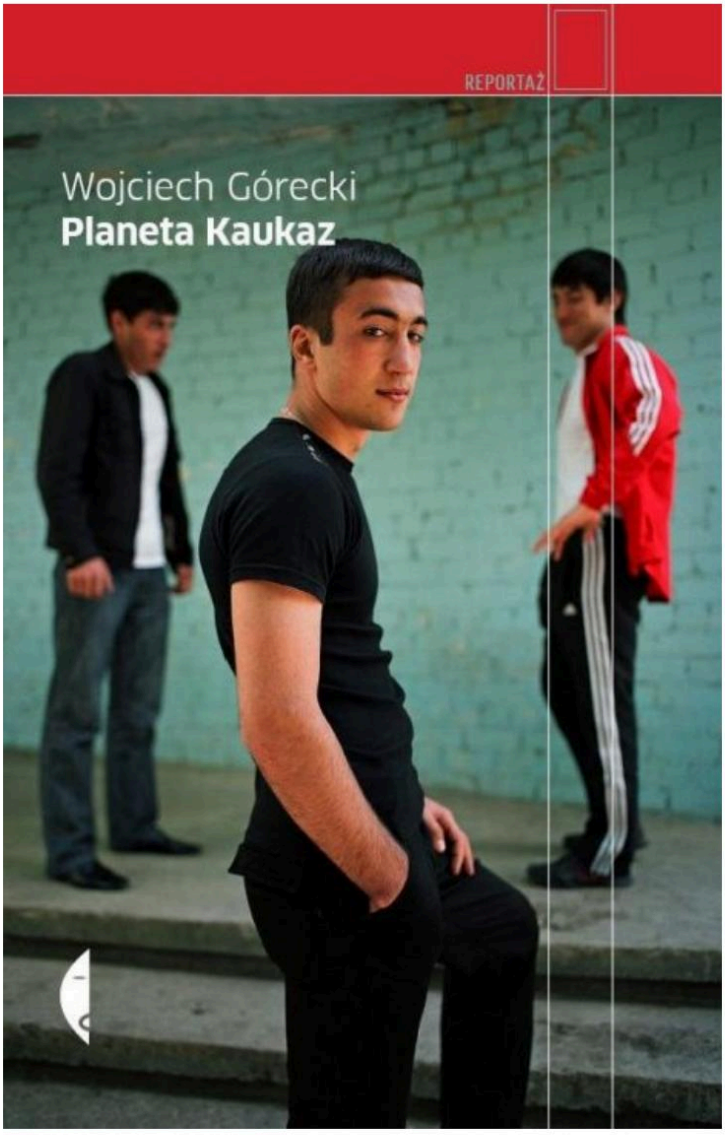
REPORTAŻ
Wojciech Górecki
Planeta Kaukaz

Wojciech Górecki

Planeta Kaukaz

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2011

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.

www.czarne.com.pl

SEKRETARIAT: ul. Kołłątaja 14, III p.

38-300 Gorlice, tel./fax +48 18 353 58 93

e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl,
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl

REDAKCJA: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70

e-mail: redakcja@czarne.com.pl

SEKRETARZ REDAKCJI: zofia@czarne.com.pl

DZIAŁ PROMOCJI: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

e-mail: anna@czarne.com.pl, agnieszka@czarne.com.pl,
stanislaw@czarne.com.pl

DZIAŁ SPRZEDAŻY: Beata Motyl, MTM Firma

ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa, tel./fax +48 22 632 83 74

e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład: D2D.pl

ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52

e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2011

Wydanie III uzupełnione

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA

Fotografia na okładce © by ALEXANDER GRONSKY / photographer.ru / EK PICTURES

Fotografia Autora © by KRZYSZTOF STRACHOTA

Fotografie wewnątrz tomu © by WOJCIECH GÓRECKI, IGOR KOŻEWNIKOW, SIERGIEJ MASZYNSKI

Copyright © by WOJCIECH GÓRECKI, 2002

Mapa © by OŚRODEK STUDIÓW WSCHODNICH / WOJCIECH MAŃKOWSKI

Redakcja JUSTYNA WODZISŁAWSKA

Korekty ZUZANNA SZATANIK, MAGDALENA KĘDZIERSKA / D2D.pl

Projekt typograficzny i redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.pl

Skład ZUZANNA SZATANIK / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-308-1

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o. virtualo.eu

Spis treści

Seria REPORTAŻ

Motto

* * *

* * *

Elbrus

Z notatek (1)

Miraż

Z notatek (2)

Lezginka

Z notatek (3)

Hinalug

Z notatek (4)

Zikr

Z notatek (5)

Magas

Z notatek (6)

Darial

Z notatek (7)

Uastyrdży

Z notatek (8)

Czerkieska

Z notatek (9)

Szoana

Z notatek (10)

Machadżyrowie

Z notatek (11)

Raskolnicy

Z notatek (12)

Atamani

Z notatek (13)

Apsuara

Bieguny

Książki cytowane i przywoływane

Seria REPORTAŻ

Paweł Smoleński *Izrael już nie frunie*

Mariusz Szczygieł *Gottland*

Włodzimierz Nowak *Obwód głowy*

Maciej Zaremba *Polski hydraulik i inne opowieści ze Szwecji*

Renata Radłowska *Nowohucka telenowela*

Martin Pollack *Dlaczego rozstrzelali Stanisławów*

Jacek Hugo-Bader *Biała gorączka*

Klaus Brinkbäumer *Afrykańska odyseja*

Jean Hatzfeld *Strategia antylop*

Włodzimierz Nowak *Serce narodu koło przystanku*

20. 20 lat nowej Polski w reportażach według Mariusza Szczygła

Jacek Hugo-Bader *W rajskiej dolinie wśród zielska*

Wojciech Tochman *Bóg zapłać*

Peter Fröberg Idling *Uśmiech Pol Pota*

Witold Szabłowski *Zabójca z miasta moreli. Reportaże z Turcji*

W serii ukażą się m.in.:

Chloe Hooper *Wysoki. Śmierć Camerona Doomadgee*

Swietłana Aleksijewicz *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*

Wojciech Tochman *Dzisiaj narysujemy śmierć*

Motto

Każdego, kogo spotkałem w podróży, pytałem o przeszłość. Tylko w ten sposób można było zrozumieć teraźniejszość.

Robert D. Kaplan, 1990

0
50
100 km
OBWÓD ROSTOWSKI
KRAJ
KRASNODARSKI
FEDERACJA
Krasnodar
Stawropol
Majkop
ADYGEJA
KRAJ
Czerkiesk
KARACZAJO-
-CZERKIESJA
Soczi
Szoana
KABARDYNO-
Elbrus
-BAŁKARIA
ABCHAZJA
Suchumi
MORZE CZARNE
OSETIA
POŁUDNIOWA
GRUZJA
Batumi
ADŻARIA
TURCJA

Kaukaz Północny. Mapa polityczna

* * *

Mineralne Wody-Moskwa. To bez wątpienia była najbardziej niezwykła w moim życiu podróż samolotem.

Mineralne Wody to wielki, przesiadkowy port lotniczy - jak Frankfurt, tyle że na południu Rosji. A w samolocie tylko dwie kategorie podróżnych: strzaskani na mahoń rosyjscy wczasowicze, którzy na Elbrusie hulali na nartach (nabuzowani pozytywną energią, radośni, wybyczeni, odpasieni, dotlenieni i, rzecz jasna, wszyscy na lekkiej bani), a obok nich ludzie z dziwnym obłędem w oczach, jaki mają ci, co właśnie wyrwali się z piekła. To tacy jak ja zagraniczni korespondenci wojenni oraz Ingusze i Czeczeni, pierwsi uchodźcy pierwszej wojny czeczeńskiej.

Trudno było powiedzieć, że to istoty tego samego gatunku. Jakby rybę i chomika wpakować do jednego akwarium. Takie samo wrażenie odnoszę, kiedy czytam Wojtkową *Planetę.* Jezu, skąd on nabrał takich eksponatów?! Kałmucki prezydent Kirsan Ilumżynow, który gada z kosmitami, dziwak Lew Wozniak z Machaczkały, tajemniczy znikający Bajramow z miasteczka Kuba, archeolog Łowpacze z Majkopu... A wszyscy na maleńkiej planecie, o powierzchni podobnej do Szwecji.

Jacek Hugo-Bader

* * *

Faiz powiedział mi: „Lubię poezję europejską, ale nie podoba mi się jej wyrafinowanie. Lubię poezję azjatycką, ale nie odpowiada mi jej filozofia. Nie jestem Europejczykiem i nie jestem Azjatą. Nie czuję się też Kaukazczykiem. Najwyżej geograficznie. Na Kaukazie współżyją Gruzini, Ormianie, Azerbejdżanie, Czeczeni, Czerkiesi, Osetyjczycy. Tutaj są muzułmanie, chrześcijanie, czciciele ognia. Wyglądamy podobnie, mamy jednak różne kultury i odmienne charaktery. Bo Kaukaz to cały świat. Cała planeta”.

Planeta zamyka się między Morzem Czarnym na zachodzie a Morzem Kaspijskim na wschodzie oraz między równiną Donu na północy a Turcją i Iranem na południu. Mierzy czterysta czterdzieści tysięcy kilometrów kwadratowych. Tyle, co Szwecja. Niewiele. A jeśli nie liczyć pasa stepów - jeszcze mniej. Wypełnia tę przestrzeń zagmatwana mozaika ludów, kultur, języków i religii. Autorzy piszący o Kaukazie najczęściej porównują go do wielkiego tygla, albo - ponieważ to ziemia niespokojna, obfitująca w wojny, konflikty, krwawe zamieszki - do beczki prochu.

Ta książka jest poświęcona Kaukazowi Północnemu, a szczególnie górskim republikom Federacji Rosyjskiej. Istnieje jeszcze Kaukaz Południowy, na który składają się

trzy niepodległe państwa: Armenia, Azerbejdżan i Gruzja. Granica między Kaukazem Północnym a Południowym jest wyrazista - przebiega grzbietem kaukaskich gór. Jest także umowna, bo niektóre narody zamieszkują tereny po obu stronach grzbietu. Dlatego Kaukaz Południowy pojawia się w książce siłą rzeczy. Pojawiają się również nadkaspijskie stepy i kozackie stanice.

Jest to opowieść o zwykłym życiu na niezwykłej ziemi. Interesowały mnie miejsca, gdzie nie dotarła telewizyjna kamera, oraz ludzie, którzy nigdy nie trafią na pierwsze strony gazet. Nie próbowałem nadążyć za uciekającą historią - za przychodzącymi i odchodzącymi politykami, za szaleńczą dynamiką konfliktów. Odwieczny puls Kaukazu bije z dala od siedzib władzy i linii frontów.

Odwiedzałem Kaukaz Północny wiele razy, spędziłem tam w sumie dwa lata. Na każdym kroku doświadczałem serdeczności i przyjaźni. Przygodni znajomi podwozili mnie, karmili, nocowali, ostrzegali przed niebezpieczeństwem. Trzykrotnie uratowali życie. Nie mam słów, by wyrazić im wszystkim swoją wdzięczność.

Obecne wydanie *Planety Kaukaz* nieco różni się od pierwszego, które ukazało się w 2002 roku. Dodałem fragmenty moich najnowszych notatek, wybrałem inne fotografie i zrezygnowałem z aneksu.

WG

Elbrus

Tylko z daleka Elbrus wydaje się zastygły i niemy. W rzeczywistości, w śniegach i lodach pokrywających górę, a także pod nimi, we wnętrzu skalnego olbrzyma, trwa nieustanny ruch.

Siergiej Anisimow, 1927

- Sięgnąłem po Nostradamusa - zwierzył się Igor. - Znalazłem fragment mówiący, że wielki car Alanów porazi Europę wodą, ziemią, ogniem i lodem. Włosy stanęły mi dęba. Przecież tak wygląda wybuch wulkanu!

- Tam było inaczej - przerwał mu Andriej. - Nostradamus napisał, że car ze Wschodu poruszy swym berłem wodę, ziemię i lód, zadając straszny cios Alanii, Tartarii oraz Armenii, a następnie rzuci berłem w Bizancjum. Alania to Kaukaz Północny, Alanowie żyli tu w pierwszym wieku i byli przodkami Osetyjczyków. Tartaria to południowa Rosja. Armenia to Zakaukazie. Bizancjum to Azja Mniejsza. Masz rację, ten opis kojarzy się z erupcją!

Rozmowa o Nostradamusie toczyła się jeszcze dobrą chwilę. Igor, geolog z imponującym stażem pracy w terenie, doktor nauk przyrodniczych oraz Andriej, historyk i archeolog, badacz kaukaskich odgałęzień Jedwabnego Szlaku, przygotowujący się właśnie do habilitacji, okazali się miłośnikami astrologii, okultyzmu i wiedzy tajemnej.

Na Kaukazie Północnym, podobnie jak w całej Rosji, nastawał złoty wiek czarnej magii. Księgarnie i uliczne stragany zdominowały pozycje z dziedziny szeroko pojętej parapsychologii. Do gabinetów niezliczonych magów i uzdrowicieli ustawiały się długie kolejki ludzi oczekujących na cud. Mnożyły się i szybko zdobywały zwolenników sekty o najdziwniejszych, najbardziej karkołomnych doktrynach. Szaleństwo nie ominęło szczytów władzy. Powtarzała się historia z poprzedniego przełomu wieków i przełomu dziejów. Wtedy - sto lat temu - carską familię uwiódł półpiśmienny Griszka Rasputin. Teraz, na oficjalnych stronach internetowych wybranego w 2000 roku prezydenta Władimira Putina znalazły się horoskopy oraz „potwierdzone kosmofizycznie” wróżby, proroctwa i przepowiednie.

A jednak wybuch, którego obawiali się Igor i Andriej, jest realny. Chodziło o Elbrus. W połowie lat osiemdziesiątych ten wulkan - uchodzący za wygasły - zaczął przejawiać oznaki życia. W połowie lat dziewięćdziesiątych stało się jasne, że budzi się ze snu.

Elbrus jest najwyższą górą Kaukazu. Ma dwa wierzchołki. Zachodni liczy 5642 metry, wschodni 5621 metrów. Sąsiadujące z Elbrusem szczyty są niższe o dobre półtora kilometra i wyglądają przy nim jak młodsi bracia. W pogodny dzień charakterystyczną stożkową sylwetę widać z odległości trzystu kilometrów.

Wyższe partie Elbrusu pokrywają lodowce. Ich powierzchnia przekracza sto czterdzieści kilometrów

kwadratowych, a grubość dochodzi do czterystu metrów. Z lodowców bierze początek Kubań i kilka mniejszych rzek.

Elbrus położony jest w Paśmie Bocznym, odchodzącym od głównego grzbietu Kaukazu na północ. Głównym grzbietem biegnie granica rosyjsko-gruzińska, a także, jak chcą niektórzy geografowie, granica pomiędzy Europą a Azją. Większość geografów jest zdania, że Europa kończy się bliżej - na dońskich stepach. Dlatego w atlasach i encyklopediach Elbrus wraz z całym Kaukazem zaliczany jest zwykle do Azji. (Istnieje jeszcze szkoła rozszerzająca granice Europy na kraje Zakaukazia, zwłaszcza na Armenię i Gruzję, które pierwsze w świecie przyjęły chrześcijaństwo - ale ma niewielu zwolenników).

Kaukazu nie sposób podzielić ani przypisać mechanicznie do tego czy tamtego kontynentu. Alpiniści, którzy chcą zdobyć koronę Ziemi, czyli najwyższe szczyty wszystkich kontynentów, muszą wspiąć się i na Everest, i na Mont Blanc, i na Elbrus.

Przez stulecia kaukascy górale wierzyli, że zwykły śmiertelnik nie może wejść na Elbrus. „Kto ośmieli się wstąpić na stoki Wielkiej Góry, zginie!” - ostrzegali starcy. Na śmiałków czyhały śnieżne zamiecie i lawiny, burze i mrozy, gotowe zamienić intruza w bryłę lodu. Elbrus, dźwigający na swych wierzchołkach niebo, był siedzibą bogów i służących im duchów.

Dwugłowy szczyt obrósł tysiącem mitów, legend, podań, baśni i klechd. Do kaukaskich skał - może właśnie do skał Elbrusu? - Zeus kazał przykuć Prometeusza, który wykradł

z nieba ogień, aby podarować go ludziom. Nad unieruchomionym tytanem krążył zgłodniały orzeł i każdego dnia wyjadał mu odrastającą w nocy wątrobę. Ptaszysko zabił w końcu Herakles.

Podobny motyw przewija się w rozpowszechnionym na Kaukazie eposie o starożytnych herosach - Nartach. Według jednej z wersji wódz Nartów Nasren Długobrody po długiej walce z siłami zła odzyskał ogień, który zabrał jego współziomkom okrutny bóg Pako. Za swą zuchwałość Nasren został przykuty do Elbrusu. Starca oswobodził niejaki Bataraz.

(Archeolog Andriej uważa, że ogień, który tak często występuje w kaukaskich mitach, to echo niegdysiejszego wybuchu Elbrusu. Ci, którzy przeżyli, mogli uznać, że erupcja była karą, jaka słusznie spotkała ludzkość za próbę wdarcia się do krainy bogów. Wybuch miał miejsce około 50 roku naszej ery, a popioły pokryły cały obszar dzisiejszego Kraju Stawropolskiego. Niewykluczone, że Elbrus wybuchał również wcześniej. Są poszlaki świadczące, że wydarzyło się to 8-10 tysięcy lat temu).

Gdzieś w okolicach Elbrusu żyły Amazonki - wojownicze kobiety, które obcinały prawą pierś, aby łatwiej naciągać cięciwę łuku. Według Plutarcha, Strabona i Ptolemeusza, Amazonki były sąsiadkami Scytów, a ich siedziby znajdowały się na Kaukazie Północnym. Topograficzne szczegóły zawarte w miejscowych legendach pozwalają zawęzić ten obszar do trójkąta między Czerkiesją, Swanetią a Kabardyno-Bałkarią.

Elbrus jednym przynosił pecha, innym szczęście. Nie można było go zdobyć, ale jeżeli popatrzyło się nań z daleka i wypowiedziało życzenie, góra je czasem spełniała. Tak sądzili Kabardyjczycy i Czerkiesi, którzy nazwali go Górą Szczęścia - Oszchomacho. Natomiast Bałkarzy i Karaczajowie, będący pod wrażeniem ogromu masywu wulkanu, doszli do wniosku, że mieści on w sobie tysiące pomniejszych szczytów. W ich języku nazywa się Mingitau - Podobny do Tysiąca Gór.

Słowo „Elbrus” jest najpewniej pochodzenia perskiego i znaczy Wysoka Góra.

W końcu ludzie zapragnęli sięgnąć po tajemnicę bogów. W lipcu 1829 roku pod Elbrusem rozbił obóz pułk Kozaków i kompania żołnierzy pod dowództwem generała Georgija Emmanuela, kawalerzysty, bohatera walk z Napoleonem. Przewodnikiem ekspedycji, w składzie której było kilku uczonych z rosyjskiej Cesarskiej Akademii Nauk, został kabardyjski chłop, Chillar Chaczirow. On też, jako pierwszy człowiek, postawił nogę na niższym, wschodnim wierzchołku Elbrusu.

Trzydzieści dziewięć lat później wyczyn powtórzyli alpiniści angielscy. Wyprawą kierował Douglas Freshfield, który kilka tygodni przed przyjazdem na Kaukaz bez powodzenia szturmował Ararat. Przewodnikami byli Bałkarzy - Achija Sottajew i Diaczi Dżappujew (pierwszy zmarł w roku 1918, ponoć w wieku stu trzydziestu lat, w rodzinnej wsi Urusbijewo, która dziś nazywa się Islamej).

Wierzchołek zachodni poddał się w 1874 roku, zdobył go Anglik Florence Crauford Grove.

Rosyjski topograf Andriej Pastuchow był pierwszym, który prowadził ekspedycje na oba wierzchołki, chociaż sam nie zdobył żadnego. Miał kłopoty z aklimatyzacją. (Niektóre źródła podają, że w roku 1890 udało mu się wejść na wierzchołek wschodni, ale to bardzo wątpliwe). Imieniem Pastuchowa nazwano grupę skał, znajdującą się kilometr poniżej szczytu. Podczas jednej z prób uczony rozbił tam obóz.

W roku 1910 dwaj Szwajcarzy zdobyli oba wierzchołki jednego dnia.

Rok później był na Elbrusie działacz bolszewicki Siergiej Kirow.

Po zwycięstwie rewolucji październikowej załopotała na szczycie czerwona flaga. Stało się jasne, że nie ma tam żadnych bogów.

Związek Radziecki uczynił alpinizm sportem masowym. Okolice Elbrusu - wąwóz rzeki Baksan oraz dolina zwana Przyelbrusiem, leżąca u podnóża Oszchomacho - stały się największym w kraju ośrodkiem turystyki wysokogórskiej. Wybudowano dziesiątki hoteli, domów wczasowych i sanatoriów, wytyczono setki kilometrów pieszych szlaków. Marzeniem tysięcy przyjezdnych było wejście na Elbrus. W kierunku dwóch wulkanicznych wierzchołków ruszyli obok doświadczonych alpinistów ludzie zupełnie nieprzygotowani: pionierzy, wczasowicze, uczestnicy wycieczek zakładowych.

Atak na szczyt rozpoczynał się w Schronisku Jedenastu, na wysokości 4200 metrów. Do schroniska można było dojechać samochodem (droga kończy się trzysta metrów niżej) albo kolejką linową, a następnie wyciągiem krzesełkowym (górna stacja wyciągu leży na 3750 metrach). Infrastrukturę uzupełniał niewielki barak ulokowany w siodle między dwoma wierzchołkami, na wysokości 5350 metrów. Korzystali z niego ci, których podczas wspinaczki zaskoczyła noc.

Zdobycie Elbrusu nie jest technicznie trudne i nie wymaga specjalnego sprzętu. Wystarczą raki i kijki narciarskie. Trasę wyznaczają rozstawione co sto metrów tyczki. Stromizna rzadko przekracza dwadzieścia pięć stopni.

Mało która góra jest jednak bardziej zdradliwa!

Biada naiwnym, którzy ulegli złudzeniu, że szczyt leży na wyciągnięcie ręki. Droga może zająć nawet dwanaście godzin. Biada nierozważnym, którzy zboczyli z wyznaczonej trasy. Pod gładkim lodem kryją się uskoki i przepaściste szczeliny. Biada lekkoduchom, którzy nie przygotowali się na nagłe zmiany pogody. W ciągu paru sekund ciepły letni dzień może zamienić się w mroźną zimową noc, temperatura spaść grubo poniżej zera, a mgła przesłonić cały świat. Jak w dawnej legendzie - żywioły naprawdę mogą zamienić człowieka w lodowy posąg. A wszystko dlatego, że Elbrus jest tak eksponowany, że wyrasta ponad otoczenie i niczym piorunochron ściąga deszcze, wichury i zamiecie.

Nikt nie wie, ilu ludzi straciło tu życie. Radzieckie władze nie prowadziły takich statystyk, informacje o katastrofach nie trafiały do gazet. Największa chyba tragedia wydarzyła się zimą roku 1936. Na Elbrus wspięła się wówczas jednego dnia duża grupa komsomolców. Podczas zejścia pijani sukcesem młodzi ludzie zapomnieli o ostrożności. Nie zauważyli, że pod cienką warstwą śniegu kryje się lód. Przewracając się, ciągnęli za sobą jeden drugiego. Spadali odbijając się od stoku jak pingpongowe piłeczki. Większość roztrzaskała się na Skałach Pastuchowa. Zginęło kilkadziesiąt osób.

W 1998 roku spłonęło Schronisko Jedenastu.

Futurystyczną, przypominającą sterowiec budowlę, znaną ze wszystkich przewodników i albumów o Kaukazie, wzniesiono w roku 1939, na miejscu mniejszego schroniska o tej samej nazwie (w latach dwudziestych obozowało tam jedenastu naukowców). Opływowe kształty, metalowe ściany i podwójne okna zabezpieczały gości przed wszystkimi kaprysami pogody.

Przyczyną pożaru była awaria spirytusowej maszynki któregoś z turystów. W schronisku przeznaczonym dla stu dwudziestu osób była tylko jedna kuchenka. Z gotowaniem wody i przyrządzaniem posiłków każdy musiał radzić sobie sam.

Rzucono się do gaszenia ognia. Ktoś chwycił stojący w korytarzu kanister. Myślał, że jest tam woda, w środku było jednak paliwo. Nastąpił wybuch - ze schroniska pozostał metalowy szkielet.

Kolejka linowa i wyciąg krzesełkowy funkcjonują do dziś. Na stacji „Mir”, gdzie trzeba się przesiąść, cały czas czynne jest Muzeum Bojowej Chwały Obrońców Elbrusu i Kaukaskich Przełęczy w Latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Bitwa o Kaukaz rozpoczęła się w lipcu 1942 roku i trwała kilkanaście miesięcy. Niemcy chcieli przebić się do pól naftowych Morza Kaspijskiego. Szybko zdobyli Noworosyjsk i kilka większych miast regionu.

Zdarzało się, że górale pochodzący z małych, od wieków poniżanych przez Rosjan narodów, witali hitlerowców jak wyzwolicieli. Takie przypadki dały Stalinowi pretekst do wysiedlenia Inguszów i Czeczenów, Bałkarów, Karaczajów i Kałmuków.

W połowie sierpnia specjalna jednostka Dywizji Alpejskiej „Edelweiss” pod dowództwem kapitana Heinricha Grotta przekroczyła przełęcz Chotiutau i zajęła Schronisko Jedenastu. Wkrótce na Elbrusie zawisła flaga ze swastyką.

Historia najwyżej położonego frontu drugiej wojny światowej wciąż kryje tajemnice. Sowiecka propaganda długo utrzymywała, że niemiecką jednostkę zlikwidował bohaterski pilot, który zbombardował schronisko. Później okazało się, że podczas bombardowania ucierpiał tylko jakiś skład, a Niemcy wycofali się sami, kiedy załamała się ich ofensywa na południe. Sowiecka flaga wróciła na Elbrus w lutym 1943 roku. Boje na Kaukazie Północnym ostatecznie zakończyły się późną jesienią.

Na przełomie wieków w Muzeum Bojowej Chwały Obrońców Elbrusu przeciekał dach i nie było prądu.

Dlaczego Elbrus został uznany za wulkan wygasły - nie wiadomo. W okolicy wschodniego wierzchołka czuć wyziewy siarki. Źródła, które biją obok wypływających z lodowców Elbrusu rzek, mają wysoką temperaturę, a w wodzie zawarte są znaczne ilości dwutlenku węgla.

Rankiem 6 października 1906 roku zdumieni i przerażeni górale po raz pierwszy ujrzeli Elbrus zupełnie nagi, bez śnieżnej czapy na wierzchołkach. Najprawdopodobniej śnieg stopił się od magmy buzującej w trzewiach olbrzyma.

Następnego dnia wierzchołki znów były białe.

Wulkan drzemał tylko, spał płytkim snem.

- Od połowy lat sześćdziesiątych Elbrus znajdował się pod stałą obserwacją naukowców - opowiadał mi geolog Igor. - Uruchomiono zespół stacji sejsmograficznych, które badały ognisko magmatyczne, czyli roztopioną masę skalną znajdującą się w głębi Ziemi. W pewnym momencie zaobserwowaliśmy, że podnosi się ona około stu pięćdziesięciu-dwustu metrów na rok. Nie była to szybkość niepokojąca, jednak magma szła w górę i był to proces ciągły. Na początku lat dziewięćdziesiątych szybkość zwiększyła się do dwustu pięćdziesięciu-trzystu metrów, a w połowie dekady doszła do czterystu-pięciuset. Stało się jasne, że Elbrus się budzi. Wtedy obserwacje wstrzymano.

Nie mogłem nie spytać, dlaczego.

- Wysoki urzędnik, którego zapoznałem z wynikami badań, powiedział, że klęski były, są i będą. Zaraz potem drastycznie obcięto nam budżet. Poodchodzili naukowcy. Nie dziwię się, bo pensje zaczęto płacić głodowe, a rodzinę trzeba z czegoś utrzymać. Przepadła masa specjalistycznego sprzętu, aparatura. Nie miał się nią kto zajmować. Lawiny zniosły stacje sejsmograficzne. Została jedna stacja obserwacyjna w Kisłowodzku, w rejonie Mineralnych Wód.

Po jakimś czasie, dzięki zapaleńcom, którzy nie patrzyli na pieniądze i niechęć władz, zdołaliśmy uruchomić parę stacji na nowo. Przepuściliśmy jednak moment. Wyszło tak, że przez pół roku nikt Elbrusu nie obserwował, nie było żadnych badań. Nikt nie wie, o ile w tym czasie podniosła się magma, jak przebiegała aktywizacja. Tymczasem, by zestawić krzywą wzrostu, potrzebna jest obserwacja ciągła.

Fatalizm, przekonanie, że problemu, o którym się nie mówi, nie ma, zaklinanie rzeczywistości: radzieckie to czy rosyjskie?

W roku 1843 markiz de Custine zauważył: *Zresztą nawet gdyby ilość samobójców w Rosji była wielka, nikt by o tym nie wiedział: znajomość liczb jest tam przywilejem policji; nie wiem, czy nawet do cesarza docierają dokładnie. Wiem natomiast, że za jego rządów żadne nieszczęście nie trafia do prasy, jeżeli on się nie zgodzi na to upokarzające przyznanie się do przewagi Opatrzności. Pycha despotyzmu jest tak wielka, że rywalizuje z potęgą Boga.*

A w roku 1863 Teofil Łapiński notował: *Chociaż Kaukaz winien być zaliczany jeszcze do Europy, jednakowoż kraina ta znana jest niewiele lepiej niż najbardziej oddalone i najniedostępniejsze miejsca na ziemi. Geograficzne, etnograficzne i statystyczne opisy tych dzielnic, które znalazły się pod rosyjską okupacją, są bardziej niż skąpe, przy czym zauważyć należy, że większość relacji z Kaukazu pochodzi od cudzoziemców, szczególnie od niemieckich podróżników. Rosyjskie dane z trudem zasługują na poważną uwagę, gdyż oprócz swej skąpości, są jeszcze ze sobą sprzeczne. Niedbalstwo to ze strony Rosjan, czy - polityka?*

- Jak w przybliżeniu wyglądałby wybuch? - dopytuję Igora.

- Elbrus to straszny wulkan. Po pierwsze sam w sobie jest ogromny, ma gigantyczną masę. Po drugie na Elbrusie znajduje się około ośmiu kilometrów sześciennych lodu. Gdy temperatura się podniesie, te osiem kilometrów roztopi się w godzinę-półtorej. Taką rzeką jak Kubań pójdzie fala wody o wysokości dwudziestu-trzydziestu metrów. Miasta leżące nad Kubaniem zostaną po prostu zniesione. Ogromny wał wody pójdzie również rzeką Inguri i przerwie tamę. Abchazja, która leży nad tą rzeką, nie zdąży utonąć. Rzuci ją morzem do Turcji. Zagrożone zasypaniem bądź zalaniem są też takie miasta, jak Nalczyk, Baksan, Karaczajewsk i Czerkiesk. Będzie to ogromna katastrofa, do której trzeba się przygotowywać. Trzeba przeprowadzać ciągłe obserwacje i badania oraz publikować raporty

naukowe. Niestety, w Rosji rozpowszechniać takich rzeczy nie wolno. Nie wiem, jakie racje przemawiają za urzędnikami, nikt nigdy nie powiedział mi niczego wprost. Najprawdopodobniej chodzi im o niewywoływanie paniki albo po prostu nie wiedzą, jak ewakuować ludność.

- Ilu ludzi mieszka w strefie zagrożonej zniszczeniem?

- Około dwóch milionów.

- I o niczym nie wiedzą?

- I to jest problem. Myślę, że winna jest przede wszystkim miejscowa administracja, domyślam się, że to ona blokuje publikacje. Wcześniej, co by nie mówić, istniała przynajmniej obrona cywilna, która była w stanie utrzymywać ludność choć w najmniejszym stopniu gotowości i mogła koordynować przygotowania do ewakuacji. Teraz nikt takich funkcji nie spełnia. Wszystkie te organy nie istnieją, te instytucje nie istnieją.

- Nie próbowałeś drukować swoich materiałów na Zachodzie?

- Biję się w piersi. Kiedy mieliśmy jeszcze możliwość prowadzenia normalnych obserwacji, nie było bezpośredniego zagrożenia. Oczywiście, trzeba było trzymać rękę na pulsie, jednak wiedzieliśmy, że na przykład jutro jeszcze nie wybuchnie. Dlatego nie szukaliśmy kontaktów za granicą.

- Czy jesteś aż tak pewien, że dojdzie do erupcji?

- Jestem pewien na sto procent.

- Kiedy należy się jej spodziewać?

- Do wybuchu zostały dosłownie lata. Najbardziej niebezpieczne są dni 22 czerwca i 22 grudnia, czyli te momenty, kiedy Ziemia, krążąc po swej eliptycznej orbicie, najbardziej zbliża się do Słońca. Wówczas, mówiąc obrazowo, skorupa ziemska rozciąga się. Potem zaczynamy się od słońca oddalać i zagrożenie maleje.

- Co jeszcze oznaczać będzie erupcja Elbrusu?

- Wybuch odbije się na całej planecie. Bezpośrednim jego wynikiem może być aktywizacja Kazbeku, a nawet Araratu. Rozpoczną również działalność mikrowulkany, takie jak Biesztau czy Maszuk. Gdzieś w tych okolicach powstaną nowe górki.

Autor sowieckiego folderu o Elbrusie opisał świt na Kaukazie: *Jeszcze wierzchołki gór posępnie podpierają szare niebo, jeszcze sosny kulą się z zimna. Ale oto pierwszy promień słońca dotknął szczytów Elbrusu, które nagle ożyły, zarumieniły się, pokraśniały. Wokoło cisza. A w królestwie wiecznego śniegu już zabrzmiała muzyka ledwie rozpoczętego ranka. I tak każdego dnia. Przez wieki. Tysiąclecia.*

Któryś z nadchodzących dni rozpocznie się zupełnie inaczej.

Z notatek (1)

10 maja 2007

Mail od Krzysztofa Dąbrowskiego, twórcy strony internetowej Kaukaz.pl, z wykształcenia, jak podkreśla, geografa. Wątpi, by przebudzenie Elbrusu zaktywizowało Kazbek i Ararat: *Wulkany te są zbudowane z całkowicie odmiennych skał (Elbrus - bazalt, Kazbek - andezyt, ryolit), co świadczy o innej genezie magmy, a co za tym idzie - różnym i niepowiązanym ze sobą źródle zasilania.*

Uważa, że *gdyby nawet doszło do erupcji, to w żadnym razie nie grozi to zalaniem Abchazji czy nawet Swanetii. Wody ze stopionego lodowca fieldowego na Elbrusie spłynęłyby „tylko" na północ, do rzek Kubań i Baksan.*

O popiele wulkanicznym nie wspomina.

18 kwietnia 2010

Pył z islandzkiego wulkanu Eyjafjallajökull zatruł niebo nad Europą.

W przeszłości częściej wybuchały Hekla i Katla, a erupcja wulkanu Laki w 1783 roku była zapewne największą w historii świata *(Wybuch zaczął się rano 8 czerwca, w Zielone Świątki i trwał aż do stycznia następnego roku* - czytamy u Sigurdura Thorarinssona).

Teraz Eyjafjallajökull.

W *Eddzie Starszej,* zwanej *Poetycką,* znajduję ustęp z *Wieszczby Wölwy:*

Słońce ciemnieje, ziemia osuwa się w morze,
Spadają z nieba jasne gwiazdy,
Szaleją dymy i ogień, co życie ożywiał,
Płomieni żar wysoko strzela pod niebo.

Eyjafjallajökull i Elbrus - dwa krańce Europy.

Miraż

Koczujący naród kałmucki nie jest bynajmniej dziką hordą bandytów, rozsypaną bez ładu po stepie; owszem uorganizowany i podzielony na pewnego rodzaju powiaty, odbywa swoje koczownicze przejścia z jednych miejsc na drugie w pewnym raz na zawsze przyjętym porządku.

Edward Ostrowski, 1859

- Oszczędzaj chleb - uprzedził Dżalsa.

Na stole piętrzyła się góra świeżego kawioru, wypełniając po brzegi blaszaną miednicę. Dookoła niej leżało kilka pajdek razowca. Kawior wart był dobre kilkaset dolarów, ale rybacy nie mieli chleba. Firma bankrutowała - podobnie jak cała Kałmucja i prawie cała Rosja. Śniadania dopełniła wódka, którą piliśmy duszkiem z półlitrowych kubków.

Dżalsa szczycił się tytułem kapitana-dyrektora i dowodził pływającą fabryką, zacumowaną na łowisku niedaleko ujścia Wołgi. Dzień zaczynał odprawą, podczas której zamieniał się z dobrotliwego wujaszka w srogiego *naczalnika* : chwalił przodowników pracy, ganił brakorobów. Rytuał był pamiątką po dobrych, sowieckich czasach, gdy czarny kaspijski kawior ceniono w Moskwie na równi ze złotem i diamentami, a specjalny samolot zabierał świeże dostawy na Kreml. Był rok 1994, ale Dżalsa wciąż zachęcał załogę do współzawodnictwa, zamiast mówić o wolnej konkurencji. Jaka może być konkurencja, jeżeli z kilkunastu

rybnych sowchozów został jeden, w dodatku miesiącami niepłacący pensji?

Po odprawie rybacy ruszali w morze sprawdzić rozstawione nocą sieci. Najczęściej szamotały się w nich jesiotry rosyjskie, długie na dwa-trzy metry i ważące tyle, co dorosły mężczyzna, oraz wąsate siewrugi podobnych rozmiarów. Czasem trafiała się bieługa, która może mierzyć dziesięć metrów i ważyć tonę. Takiego potwora trudno ogłuszyć *tabletką,* czyli drewnianą pałką, trzymaną na podorędziu - w ruch szły wtedy wiosła i skórzane pasy. Połów trafiał na pokład pływającej fabryki, gdzie ryby najpierw myto, a później rozpruwano, wydobywając galaretowatą ikrę. (- Ryba nie psuje się od głowy, ale od ikry - tłumaczył stary Erendżen. - Najlepiej, gdy pod nóż trafia żywa). Na koniec trzeba było jeszcze usunąć błonę otaczającą jajeczka, odsączyć wodę i osolić. Po tych zabiegach ikra staje się kawiorem.

Delikates pakowano do puszek w zakładzie w Łaganiu, bo na statku nie było odpowiednich urządzeń. Nie było także linii do produkcji konserw i kiedy kucharz Baatr przygotował już na kolację codzienną uchę, a każdy wziął dla siebie tyle jesiotra, ile chciał (Dżalsa przymykał oko, uważał, że ludziom należy się rekompensata za zaległe pobory), reszta mięsa lądowała za burtą.

Wracaliśmy z łowiska, klucząc między wystającymi z wody szkieletami domów i kikutami drzew. Morze Kaspijskie zaczęło podnosić się na początku lat osiemdziesiątych. Nagle, ni z tego, ni z owego, przybrało

piętnaście centymetrów. Podtopiło dwie wysepki. Następnego roku znów skoczyło o piętnaście centymetrów. Pochłonęło tamte wysepki do końca, sięgnęło po kolejne. Tyk, tyk - ruszył niewidoczny zegar, odmierzający czas do nieuchronnej katastrofy. Rok, piętnaście centymetrów, rok, piętnaście centymetrów, tyk, tyk, tyk. Zaniepokoili się w Astrachaniu, chcieli sypać wały, ale zabrakło pieniędzy. Piętnaście centymetrów. Zalało wieś w Kałmucji. Piętnaście centymetrów. W roku dziewięćdziesiątym drugim Łagań, jedno z trzech kałmuckich miast, leżący dawniej kilka kilometrów od morza, znalazł się nad jego brzegiem. W dziewięćdziesiątym trzecim woda wdarła się na ulice. Wiosną dziewięćdziesiątego czwartego ogłoszono koniec miasta. Piętnaście centymetrów, piętnaście centymetrów...

Śmierć Łagania nie miała nic wspólnego z apokalipsą. W Rosji takie sprawy załatwia się dekretem. Werdykt komisji z Moskwy brzmiał: *Niepierspiektiwnyj gorod.* Miasto bez perspektyw. Po paru tygodniach zabrakło pieniędzy na szkoły. Sofia, zajmująca się w Łaganiu oświatą, interweniowała w stolicy:

- Cóż chcecie - usłyszała - nie mamy środków na miasto bez perspektyw.

Szefowi wydziału komunikacji odmówiono funduszy na naprawę dróg:

- A po co wam, w mieście bez perspektyw, drogi?

Coraz rzadziej docierały renty i emerytury:

- Są ważniejsze problemy od emerytur dla miasta bez perspektyw.

Obrót spraw nie zaskoczył tylko kałmuckich starców, przesiadujących na skwerze przed hotelem Kaspijskim. Starcy mówili, że morze zawsze wraca po swoje. Że nie należało budować tutaj domów i fabryk. Że walka nie ma sensu, bo morze i tak weźmie, co będzie chciało. Ono żyje, oddycha. Podnosi się, opada, znowu podnosi - i znowu kiedyś opadnie, ale wcześniej musi się pożywić.

W 1998 roku, gdy znów przyjechałem do Łagania, pływająca fabryka rdzewiała w jednym z kanałów. Fabryczkę na lądzie trafił szlag. O kapitanie-dyrektorze mówiono, że wyjechał, o starym Erendżenie, że umarł, a o kucharzu Baatrze, że miał szczęście, bo udało mu się w ostatniej chwili sprzedać dom. Ikrą zajęła się nowa spółka z Elisty i kłusownicy. Chałupy w starej części miasta jeszcze głębiej zapadły się w podmokły grunt i można było bez trudu dostać wyciągniętą ręką do koślawego dachu. Morze Kaspijskie podniosło się o piętnaście centymetrów.

Cagan Zam zdjął ze ściany dombrę i długo stroił; wreszcie uderzył w instrument, wybijając na dwóch strunach rytm, który przypominał tętent kłusującego konia lub turkot podskakującej na wyboistej drodze *arby* - ciężkiego, dwukołowego wozu azjatyckich koczowników. Zawibrował ochrypły baryton: w powietrze strzeliły gardłowe dźwięki, nieartykułowane „uhmmm”, które przeszło znienacka w modulowany świst, a potem w ciche kwilenie, i roztopiło się w pół drogi do owalnego sklepienia jurty. I jeszcze raz: „uhmmm”, świst, kwilenie, tym razem nałożone na siebie - jakby z krtani śpiewaka wydobywały

się jednocześnie dwa głosy. W końcu rozpoczął pieśń, podając sobie wciąż ten sam, coraz bardziej hipnotyzujący rytm i urywając frazę zawsze sekundę wcześniej, niż spodziewałoby się europejskie ucho. Śpiewał o starożytnej krainie Bumba, gdzie nie dzielono niczego na „moje” i „twoje”, o jej szlachetnym władcy Dżangarze, który ze wszystkich sił pragnął szczęścia poddanych, i o rączym koniu Dżangara, Aranzale.

Z Cagan Zamem, wielkim stepowym trubadurem, chciałem porozmawiać o kałmuckiej duszy, ale on wolał zagrać.

Stara to była muzyka, zrodzona w sercu Eurazji, na smaganych buranem stepach, na piaskach Gobi, na zboczach Ałtaju i Tienszanu, w owej kolebce niezliczonych ludów, które gdy okrzepły i urosły w siłę, ruszały podbijać świat. Towarzyszyła szamańskim zaklęciom, rozbrzmiewała w koczowiskach, wtórowała pochodom Czyngis-chana. Sześć wieków temu tysiączne rapsody, zapisane dotąd w ludzkiej pamięci, zlały się w epos. Tak powstał *Dżangar.* Dla mongolskiego plemienia Oj-ratów, z których niebawem mieli wyłonić się Kałmucy, stał się *Iliadą* i *Odyseją, Kalewalą* i *Panem Tadeuszem.* W *Dżangarze* -tłumaczył mi Cagan Zam - prócz tekstu i melodii jest także mistyka. Są tajemne siły, które pobudzają umysł i wpływają na podświadomość. One sprawiają, że człowiek staje się mocarzem, przezwycięża ból, bez lęku idzie na śmierć. Wibrujące „uhmmm” otwiera poszczególne czakry, dlatego *Dżangara* trzeba wykonywać w oryginale. Trzeba także, by

byli słuchacze. Wtedy między nimi a pieśniarzem następuje wymiana energii. Nie wolno śpiewać w samotności, nie wolno dopuścić, by energia przepadała, marnotrawiła się, obracała wniwecz!

W początkach siedemnastego wieku mongolscy Ojraci przykoczowali nad dolną Wołgę i nadkaspijskie stepy i związali swoje losy z Imperium. Stali się jedynym azjatyckim i jedynym buddyjskim narodem zamieszkującym Europę.

Przez następne półtora wieku siali na południu Rosji grozę i śmierć. W potęgę urośli przy Ajuce, który zjednoczył hordę i utworzył koczowniczy chanat - w praktyce niepodległy, choć formalnie podporządkowany Moskwie. Ajuka niemal nie schodził z konia: gonił Turkmenów po Mangyszłaku, walczył z Kabardą, Lezginami i Czeczenami, bił Niekrasowa i Buławina. Uczestniczył nawet w wojnie północnej. O jego czynach do dziś bają swym wnukom kałmuccy dziadkowie. W sąsiednim Dagestanie mówi się, że ktoś jest okrutny jak Kałmuk (na polskich kresach istniało z kolei porzekadło: „Wielka sztuka rozpoznać zamiar Kałmuka”).

Spadkobiercy Ajuki wszystko przetrwonili. Nie umieli podzielić schedy i wzięli się za łby. Moskwa to wykorzystała. Intrygą, podstępem i przekupstwem krok po kroku wydarła władzę osłabionym książętom. Za czasów Katarzyny ii część Ojratów ruszyła w powrotną drogę do Mongolii. Tych, którzy zdecydowali się zostać, nazwano Kałmukami, po turecku *kalmak* znaczy „pozostawać”

Podróżujący tamtędy w roku 1797 Jan Potocki jeszcze nie dostrzegał upadku. W dzienniku zanotował, że Kałmucy *są nieokiełznani i nie mają nic z turecko-tatarskiej powolności,* rozpłynął się nad wytwornymi manierami księcia Tiumenia. A w roku 1813 kałmuccy Kozacy wkroczyli w awangardzie rosyjskich wojsk do Paryża i na oczach zdumionej gawiedzi pławili w Sekwanie chyże, stepowe koniki.

Sto lat później Kałmucy mało już przypominali potomków Czyngis-chana. Grigorij Prozritielew, urzędnik ze Stawropola, ubolewał w książce wydanej tuż przed pierwszą wojną, że ten sprawny fizycznie i obdarzony talentami naród po przybyciu do Europy zaczął cherlać, tracić duchowe siły. Wojownicy zamienili się w stepowych drapieżców i bydłokradów. Nie nauczyli się wyrabiać mąki, popadli więc w zależność od Rosjan. Upokarzani przez tamtych, nocami podpalali chutory i grabili domostwa. Kąsali jak psy, stąd zaczęto przezywać ich psami. Marli dziesiątkowani gruźlicą, syfilisem, łapanym po wsiach od ruskich dziewuch, ale przede wszystkim gorzałką, dostarczaną przez chciwych arendarzy, przy błogosławieństwie astrachańskiego gubernatora. *Kałmuk* - napisał Prozritielew - *uwielbia pić i upija się do utraty czucia, do pełnego zapomnienia. Nie zdaje sobie wówczas sprawy ze swych czynów, a potem nie pamięta, co robił, i nie ubolewa nad tym, wspominając tylko ów beztroski stan, w którym się wtedy znajdował. Napić się do*

nieprzytomności - oto szczyt rozkoszy dla Kałmuka, on stale do tego dąży i ciągle o tym marzy.

Bolszewicy kazali Kałmukom zejść z koni, zwinąć przenośne jurty, nazywane *kibitkami,* i zamieszkać w kołchozowych czworakach. Zburzyli buddyjskie świątynie - *churuły* - a dawny mongolski alfabet zastąpili grażdanką. Utworzona w latach dwudziestych republika autonomiczna była kałmucka tylko z nazwy. Absolwenci szkół narodowych oblewali egzaminy na prestiżowe uczelnie, ambitni rodzice musieli wysyłać pociechy do rosyjskich dziesięciolatek. „Zabrano nam pamięć. Byliśmy na własnej ziemi ludźmi gorszej kategorii" - mówią mi kałmuccy inteligenci.

(To samo usłyszycie w autonomiach Kaukazu, Powołża i Syberii. W Adygei, Mari Eł czy Buriacji powiedzą wam, że republiki były wewnętrznymi koloniami Imperium. Przytoczą przykłady nachalnej rusyfikacji, rabunkowej eksploatacji bogactw, fałszowania dziejów narodów. Każdy jest przekonany o wyjątkowości własnej krzywdy, niepowtarzalności własnej niedoli. Trwa licytacja, kto wycierpiał więcej).

Cagan Zam nie umiał powiedzieć, ilu wykonawców *Dżangara* mieszka w Kałmucji. Może stu, może kilka tysięcy? Spadł deszcz i zakwitł step, rozległ się tajemny głos i pojawił się pieśniarz. Wielu nawet nie przeczuwa, że zostali powołani, by głosić epos. Ale pewnego dnia chwycą dombrę i z dnia na dzień, bez nauki, wyrzucą z siebie gardłowe „uhmmm". Tak było i z nim. Pracował jako inżynier na budowie, dobiegał czterdziestki, gdy głos kazał

mu porzucić zajęcie. Był koniec ery Gorbaczowa - rozpadał się stary świat, w niedalekiej Czeczenii błyszczała gwiazda generała Dudajewa, a on śpiewał o wojowniku z krainy Bumba, który tak mocno zaciągnął popręg, że koń przez cztery lata nie mógł wypuścić powietrza. Tę pieśń wykonuje do dziś. Na nią, mówi, dostał pozwolenie. Raz próbował sięgnąć po inną - nie był w stanie spamiętać wiersza, gubił rytm. Każdy *dżangarczi* ma swoje pieśni. Pieśniarze nie rywalizują ze sobą, nie stają do konkursów. Ludzie sami wybierają, którego słuchać.

To była zwykła przydrożna buda, sklecona naprędce z blachy i dykty, pełno takich na południu Rosji. Ze środka dobiegały głosy, ale drzwi były zamknięte. Nasz kierowca zapukał w okienko, a potem powiedział coś po kałmucku do kobiety, która pojawiła się za szybą. Okazało się, że bar jest otwarty i możemy tu zjeść. Właścicielka urządzała maskaradę dla inspektorów podatkowych - gdyby się nagle pojawili, tłumaczyłaby, że to przyjęcie dla grona znajomych. Dzięki takim wybiegom wiązała koniec z końcem.

Dojadaliśmy *manty,* pierogi z baranim mięsem podawane w rosole, gdy podszedł do nas skośnooki brzdąc:

- *Diadi, dajtie chliebuszka!* - poprosił. Kierowca podał kromkę i zagadnął go w ojczystym języku, ale mały nie zrozumiał. - *Spasibo, diadia* - podziękował i wtedy kierowca rozbeczał się. - Jak mój wnuczek, zupełnie jak mój wnuczek... Nie mamy przyszłości, braciszku, wymrzemy, wyginiemy. - łkał rozdygotany. Podpity *mużyk* przy sąsiednim stoliku przytaknął mu niepewnie.

Jechaliśmy na północny wschód, w kierunku Astrachania, jedną z tych dróg, których nie ma na mapie. Step był brunatnozielony i pachniał piołunem, gdzieniegdzie wyzierały wodne oczka, pokryte skorupami soli *(Woda ma tu morski smak* - pisał Potocki). Mijaliśmy rozwalone baraki i zarośnięte chwastem cmentarzyki. Przez jakiś czas towarzyszyła nam linia wysokiego napięcia, ale potem nagle skręciła i zniknęła za horyzontem. Kilkakrotnie droga rozwidlała się. Kierowca wybierał wtedy odnogę bardziej uczęszczaną, z głębszymi koleinami. W pewnym momencie przejazd zagrodziły owce. Było ich mrowie, ciągnęły nieskończoną ławicą, wznosząc chmury popielatego kurzu.

Kałmucy zawsze trzymali rogaciznę, byli pasterzami jak wszyscy koczownicy. Związek Radziecki uczynił z hodowli przemysł. „Kraj potrzebuje wełny, partia na was liczy!”, tłumaczyli wysłani w step agitatorzy. „Owiec ma być więcej, jeszcze więcej!” - domagały się wytyczne, dyrektywy i okólniki. Kałmuccy sekretarze słali do centrali depeszę za depeszą: „Pogłowie wynosi milion, dwa, trzy miliony!”. Partii wciąż było mało: „Potrzeba pięciu milionów! Musimy dogonić Australię!”. W końcu owce zżarły step, spod traw wychynął piasek. Pustynnienie zagraża dziś trzem czwartym obszaru Kałmucji.

Po dwóch godzinach dotarliśmy do wsi Ułan-Checz. Wszystko tu należy do sowchozu: domy mieszkalne, sklep, przychodnia, nieliczne telefony. Sowchoz zajmuje się pasterstwem i jest urządzony jak latyfundium. Na szczycie drabiny stoi dyrektor, dla mieszkańców car i Bóg, pan życia

i śmierci. Niżej plasują się asystenci i pomagierzy dyrektora oraz sowchozowa administracja. Dalej idą brygadziści, majstrowie, technicy. Na samym dole są pasterze, ale i wśród nich nie ma równości. Pasterska elita mieszka we wsi i pasie stada w pobliżu. Pozostali zajmują *toczki* - jednorodzinne gospodarstwa porozrzucane po stepie. Te też dzielą się na lepsze i gorsze: pierwsze leżą bliżej sowchozu, mają murowane domy i podciągnięty prąd, drugie są oddalone o dziesiątki kilometrów, a całe wyposażenie to lepianka i waląca się stodoła. Dyrektor może w jednej chwili wysłać na najdalszą toczkę rodzinę od lat żyjącą w centrum wsi - i nie musi nikogo pytać o zgodę.

Sowchoz w Ułan-Checzu należy do przodujących i chętnie pokazują go dziennikarzom. Pensji nikt tu co prawda nie dostaje, może poza dyrektorem, ale tak dzieje się wszędzie, jak Kałmucja długa i szeroka. Co parę miesięcy każda rodzina otrzymuje jednak deputat - a to worek mąki, a to kaszę. Dobra pochodzą z barterowej wymiany z innymi sowchozami. Pracownicy mogą też kupować na krechę w miejscowym sklepiku. Najczęściej biorą chleb, herbatę i wódkę. Należność odlicza się od poborów. Wolno trzymać własne owce i bardziej zapobiegliwi dochowali się sporych stadek, które wypasają razem z państwowymi.

Dyrektor nazywa się Piotr Menknasunow i podejmuje gości po sowiecku - najpierw w gabinecie pokazuje wykresy (gabinet: wielkie biurko z liczydłem i centralką telefoniczną, stół do narad, w kącie flagi Rosji i Kałmucji, na ścianie olbrzymi Lenin i sporo mniejszy Budda).

Następnie zaprasza na obiad. Przyjęcia w Ułan-Checzu długo nie zapomnę. Podano baraninę, jesiotra, ser, słoną kałmucką herbatę z mlekiem oraz wódkę. Miejscowi rzadko oglądają takie frykasy. Wokół stołówki cały czas krążyły obdarte dzieci, czyhające na ochłap. Na zapleczu kucharki układały z niedojedzonych resztek paczki dla rodziny.

(Przypomina to historię, którą opowiedział mi nasz dyplomata, pracujący na początku lat dziewięćdziesiątych w Kazachstanie. Odwiedził kiedyś kołchoz, w którym zdarzały się wypadki śmierci z głodu. Zaszedł do przewodniczącego, chwilę rozmawiali. „Czym jeździsz?” - spytał go tamten znienacka. „Mam skodę” - odpowiedział dyplomata. „A ja mercedesa!” - pochwalił się przewodniczący. „Gdzie w Polsce mieszkasz?” - indagował. „W bloku. Pięćdziesiąt cztery metry, dwa pokoje” - przyznał się mój znajomy. „A ja postawiłem dom, trzysta metrów!” - przebił go bez trudu rozmówca. „Ile zarabiasz?” - drążył. „Prawie dwa tysiące dolarów” - obliczył Polak. „A ja niecałe dziesięć” - zakończył Kazach. W Kałmucji jak w Kazachstanie, władza musi pokazać, że wszystko może i na wszystko ją stać).

Menknasunowowi nie zawsze dobrze się wiodło. Urodził się na Syberii, na zsyłce - w 1943 roku Stalin deportował cały naród pod pretekstem kolaboracji z Niemcami, Kałmucy wrócili na stepy po czternastu latach. Przy kielichu dyrektor opowiada, jak zakradał się nocami na wysypisko, gdzie gniły szczątki krów, które padły podczas zarazy, a potem karmił ścierwem młodszego brata. Podczas

jednej z eskapad wytropił go enkawudzista i otworzył ogień. Zginął chłopak, który stał na czatach. Karta się jednak odwróciła, po powrocie z Sybiru Menknasunow skończył studia i znalazł pracę w rejonowym komitecie.

Sowchoz powierzono mu jeszcze za Andropowa. Odtąd żelazną ręką prowadzi go przez wszystkie zakręty ostatniej historii Rosji. Najgorzej wspomina dzień, kiedy moskiewscy demokraci wpadli na pomysł prywatyzacji gospodarstw rolnych. Od razu zgłosili się chłopi, którzy chcieli wydzierżawić kawał pastwiska. - Myśleli, że wszystko wolno! - oburza się mocno już wstawiony dyrektor. - Wywaliłem ich na zbitą mordę, nie będą majątku rozkradać. Bydło! Hołota! - krzyczy, waląc butelką w kant stołu.

Kałmucja

Kilka dni później byłem w innej części stepu. Na toczkę Badmy Badmajewa, należącą do sowchozu Czyłgir, trafiliśmy przypadkiem. Chcieliśmy wpaść gdziekolwiek na kałmucką herbatę, bo słońce mocno przygrzało i męczyło pragnienie. W stepie zajść do obcych ludzi to rzecz normalna, wędrowca wszędzie przyjmą i ugoszczą. Toczka była wyjątkowo licha. Składała się z obórki, drewnianej budy na narzędzia oraz dwuizbowej chałupy z polepą zamiast podłogi i folią w oknach zamiast szyb.

Ostatnie pieniądze Badma dostał w pracy pięć lat temu. Jak żyje? To proste - mięso i mleko ma swoje, chleb piecze sam. Kiedy kończą się cukier i mąka, wyprawia się z baranem na targ do Elisty. Podrzuca go szwagier, który jest w sowchozie szoferem. Największym problemem są ubrania, na ubrania już nie starcza.

Właśnie włączyli prąd i Badma uruchomił telewizor. Prąd dają godzinę dziennie, akurat w porze, gdy moskiewska telewizja ORT pokazuje amerykańską telenowelę. Pasterz z żoną i trzyletnim synem zasiadają przed ekranem i patrzą pełni skupienia na egzotyczny świat mężczyzn w garniturach i kobiet w pięknych sukniach.

Kirsan Ilumżynow był człowiekiem znikąd. Gdy z początkiem 1993 roku przyjechał do Kałmucji i wystawił swą kandydaturę w wyborach prezydenckich, ludzie wiedzieli o nim tyle, co sam napisał w ulotce: że skończył stosunki międzynarodowe w prestiżowym moskiewskim MGIMO , że prowadzi rozległe interesy i ma mnóstwo pieniędzy. Co prawda od jakiegoś czasu zasiadał w

rosyjskiej Radzie Najwyższej jako deputowany z miejscowego okręgu, ale w stepie pojawiał się rzadko. Niektórzy w związku z tym uważali, że słabo zna kałmuckie realia, inni widzieli w nim polityka spoza układów, niezwiązanego z żadną lokalną koterią. Największe emocje budził wiek kandydata - zaledwie trzydzieści jeden lat.

- Kałmucji potrzebny jest chan - mówił Kirsan - dobry i sprawiedliwy chan, który zatroszczy się o każdego pastucha i pochyli nad każdym rybakiem. Chan, co jak Ajuka poprowadzi swój lud do szczęścia i potęgi, ale zarazem chan nowoczesny, idący z duchem czasu, chan na miarę dwudziestego pierwszego wieku. - Niezwykłe to były słowa, nie przypominały wystąpień sowieckich dygnitarzy ani tyrad polityków postkomunistycznych. Niezwykła była cała kampania. Ilumżynow w garniturze od Versacego objeżdżał step dziewięciometrowym lincolnem i bez przerwy potrząsał kiesą: kupował komputery dla szkół, sprzęt medyczny dla szpitali, fundował stypendia naukowcom, wspomagał artystów. Przez miesiąc dopłacał do chleba i mleka - w całej republice te artykuły staniały o połowę. Na gościnne występy ściągnął do Elisty znanych moskiewskich piosenkarzy. Głosujcie na mnie, mamił, a show nigdy się nie skończy.

Urzędowanie zaczął od rozpuszczenia sowietów, czyli rad, i powołania zawodowego parlamentu. Kałmucja stała się pierwszą rosyjską republiką bez władzy radzieckiej. Następnie rozwiązał wszystkie stare ministerstwa - było ich aż czterdzieści - a na ich miejsce utworzył pięć nowych. To

rewolucja, tłumaczył wyborcom, pierwsza w byłym Związku Radzieckim kapitalistyczna rewolucja. Zmianom oparł się Lenin. Główna ulica i główny plac w Eliście zachowały jego imię, a pomnik, sięgający drugiego piętra pałacu prezydenckiego, obrócono tak, by wódz bolszewików spoglądał wprost na gabinet Kirsana. Lenin to część naszej historii, objaśniał Ilumżynow, a ja czuję się strażnikiem tradycji. Poza tym babka Lenina była Kałmuczką, więc gdyby wyrzucono mauzoleum z placu Czerwonego, przeniesiemy je do nas, w step.

Z kolei zniósł rozdział Kościoła od państwa. Kałmucja była niegdyś drugim po Tybecie ośrodkiem lamaizmu, z setką churułów i tysiącami *lamów*. Na rozstajach dróg stały kapliczki - *burchany,* koczownicy wozili ze sobą z miejsca na miejsce religijne obrazy na płótnie - *tanki*, wieszane potem w kibitkach. Komunizmu nie przetrwała ani jedna świątynia, nie przeżył ani jeden duchowny. Teraz ruszyła budowa wielkiego kompleksu klasztornego, otwarto buddyjskie szkoły. Prezydent nie dyskryminował innych wyznań. Dał pieniądze na cerkiew, katolicki kościół i luterańską kirchę. W Eliście pojawiły się billboardy: Kirsan z Dalajlamą, Kirsan z patriarchą Aleksiejem, Kirsan z Janem Pawłem II .

Ale prawdziwym bogiem Kirsana była mamona.

Początki fortuny Ilumżynowa skrywa mrok. Niewykluczone, że zrodziła się z machlojek na skalę trudną do ogarnięcia, z niewyobrażalnych przekrętów, z hochsztaplerskiej wirtuozerii. Jelcynowska Rosja widziała

mnóstwo takich karier. To była codzienność: finansowe piramidy, banki na wariackich papierach, holdingi na lodzie, znikające bez śladu po paru tygodniach. Być może jednak żadna fortuna nie istniała - Ilumżynow dopiero ją budował, a kampanię prowadził za pożyczone pieniądze. Byłby zatem figurantem, pionkiem, narzędziem w ręku tajemniczych mocodawców? Kim byli, jaki układ ich łączył? Ale nikt niczego Ilumżynowowi nie udowodnił, zaś rodacy wierzyli w szczęśliwą gwiazdę geniusza stepów, kałmuckiego wunderkinda, i z zachwytem powtarzali prezydenckie bon moty: „Jeśli jesteś mądry, to czemu brak ci gotówki?”, „Zabierzcie mi wszystko, a za rok znów będę milionerem!”! Była w tym duma z krajana, który zaszedł tak wysoko, była nadzieja, że pociągnie za sobą innych.

Spotkałem go dwa razy. Najpierw w początkach kadencji, gdy na murach wisiały jeszcze plakaty wyborcze, a cały naród trwał w zbiorowym orgazmie. Właśnie wrócił z Moskwy, gdzie świętował sto dni prezydentury, wynajęwszy na tę okazję kremlowski Pałac Zjazdów. Przyjął mnie w swoim gabinecie o dwunastej w nocy (gabinet: wielkie biurko z komputerem, stół do narad, w kącie flagi Rosji i Kałmucji, na ścianie bajecznie kolorowa *tanka* z Buddą nauczającym, na stoliku makieta cerkwi katedralnej w Eliście). Robił dobre wrażenie - opanowany, ale z poczuciem humoru, pewny siebie, lecz nie zarozumiały, błyskotliwie inteligentny. Mimo późnej pory wyglądał na rozluźnionego. Mówił, że chce rządzić republiką jak ogromną firmą, w której każdy zna swoje miejsce.

Tamtej nocy widziałem go jeszcze w małym prywatnym klubie. Siedziałem przy stole z całą kałmucką radą ministrów. Zaprosił mnie Menke Koniejew, redaktor naczelny miejscowej gazety i najbliższy współpracownik Ilumżynowa. Rej wodził minister przemysłu, Tamerlan Gasanow, wówczas jeden z najpotężniejszych rosyjskich biznesmenów, latający po świecie własnym odrzutowcem - opowiadał świńskie dowcipy i narzekał na małe kieliszki. Prezydent zajrzał na parę minut, wpadł rozerwać się po pracy.

Minęło kilka lat. Cud nie nastąpił. Kałmucja nie stała się drugim Hongkongiem. Ze stepu napłynęły informacje o procesach politycznych, prześladowaniach opozycji, a także o korupcji, złodziejstwie i nepotyzmie. Przyznane Kałmucji kredyty rozpływały się, miejscowy bank zaczął sam drukować ruble. Łarisa Judina, dziennikarka, która o tym pisała, została zamordowana. Zabójcami okazali się dwaj bliscy współpracownicy Ilumży-nowa. Jemu znów nikt niczego nie udowodnił.

Prezydent oddał się tymczasem ezoteryce. Ogłosił, że jedynym ratunkiem dla świata jest Prawo Moralne, jednakowe dla wszystkich ludzi, oparte na duchowości Wschodu i technicznym postępie Zachodu. Inaczej zapanują siły ciemności. Zaczął wydawać książki: *Musi następować aktywne, między-etniczne zjednoczenie na poziomie Ducha, na poziomie Życia Duchowego. A Duch - to Droga do Nieśmiertelności. Niezbędne są planetarne konferencje*

etniczne, sympozja, zjazdy oraz działający stale etniczny Parlament.

Albo: *Zombifikacja ludzkości to nie nocne koszmary, to rzeczywistość. Czyżby wszystkie te wojny, wszystkie zamachy stanu - nie były eksperymentami, wiodącymi do zombifikacji całych państw i kontynentów? A może jednak istnieje trzecia, głęboko zakonspirowana siła, władająca wielką potęgą i nieskończonymi finansami, która te procesy generuje i nimi zarządza? Trzecia siła, marząca o światowym przywództwie, realizowanym dzięki sterowaniu ludzką psychiką?*

Oficjalną ideologią republiki stała się Koncepcja Myślenia Etnoplanetarnego, opracowana przez sekretarza stanu Aleksieja Nuschajewa.

Do Elisty, jak do Mekki, ściągnęli ze wszystkich stron astrolodzy, jasnowidze, okultyści, chiromanci, szamani, fakirzy i guru. Wróżbiarka Wanga z Bułgarii została honorową obywatelką stepów. Prorok Ajzen z Groznego przesiadywał u Ilumżynowa godzinami. Pojawił się Dima Czekmenow, kolega prezydenta z MGIMO, cybernetyk i psychotronik, specjalista od poszerzania świadomości. Dostał zadanie zreformowania kałmuckiego systemu oświatowego i wychowania prezydenckiego syna. Dima uczy dzieci korzystania z trzeciego oka. Jego podopieczni zamykają powieki i łapią rzucane w nich przedmioty.

Fortuna prezydenta ciągle rosła. Kirsan otwierał listy najlepiej zarabiających polityków Rosji, z oficjalnymi dochodami przekraczającymi milion dolarów rocznie.

Drugi raz spotkałem go jesienią 1998 roku, na meczu Uralana Elista z Dynamem Moskwa. Siedział dziesięć metrów ode mnie, otoczony świtą klakierów i przytakiwaczy. Wstawał - wszyscy wstawali, krzyczał - wszyscy krzyczeli, machał ręką - wszyscy też zaczynali machać. Wschodni dwór, chan i lokaje, ale niech tylko chanowi powinie się noga, żaden się nie obejrzy, od razu pobiegną służyć nowemu władcy. To dziełem któregoś z tych lizusów musiał być komiks, opublikowany na kałmuckiej stronie rządowej w internecie: na jednym z obrazków Kirsan występował jako wcielenie boga Wisznu, ze skrzyżowanymi nogami i trzema parami rąk. Miejscowi przegrali i prezydent nie ukrywał wściekłości. Z szatni Uralana dochodził płacz.

(Kiedy drużynie udało się pokonać moskiewski Spartak, Ilumżynow nagrodził orderami napastnika, który strzelił gola, i bramkarza, który obronił rzut karny. Obu piłkarzom poświęcono osobną gablotę w kałmuckim muzeum narodowym. Najważniejszym sportem w republice są jednak szachy. Szachów uczy się na obowiązkowych zajęciach w szkole, w szachy muszą grać ministrowie i deputowani. Na przedmieściu Elisty, w gołym stepie, powstało szachowe miasteczko. Składa się z Pałacu Gry, kilkudziesięciu luksusowych rezydencji oraz terenów wypoczynkowych. Pochłonęło morze pieniędzy: glazura przyjechała z Włoch, instalacje z Kanady. Wodę doprowadzono z Manyczy. Kirsan potrzebował miasteczka

na trzy tygodnie. Tyle trwała zorganizowana w Eliście xxxiii olimpiada szachowa. Dzisiaj obiekty stoją puste).

Po meczu odszukałem Menkego - tego, który na początku kadencji Ilumżynowa bratał mnie z kałmuckim rządem. Menke był jednym z pierwszych wielbicieli Kirsana. Pomagał mu w kampanii wyborczej, uczył, jak rozmawiać z pasterzami i rybakami. Wówczas, w elistańskim klubie, tryskał entuzjazmem. Zapewniał, że Kałmucja zadziwi świat. Roztaczał wizję kwitnącej republiki, z której inne rosyjskie regiony będą brać przykład. Tłumaczył, że prezydent biznesmen łatwo przyciągnie zachodnie inwestycje.

Rozczarował się po kilku miesiącach. Nie podobał mu się przepych prezydenckiego dworu, dostrzegał rodzącą się dyktaturę. Co gorsza - otwarcie o tym mówił. Stracił posadę, żonę zwolniono z pracy w administracji. W jednej chwili stał się pariasem. Znajomi obchodzili go teraz szerokim łukiem, sąsiedzi przestali wpadać na herbatę. Dostawał anonimy: „sprzedawczyk”, „zdrajca narodu” Raz oberwał w ciemnym zaułku.

Gdy go w tym czasie odwiedzałem, wychodziliśmy rozmawiać na balkon. W domu był podsłuch. Menke mówił, że się nie boi, bo nosi znane nazwisko. W trzystutysięcznej Kałmucji wszyscy słyszeli o rodzinie Koniejewów. Po powrocie narodu z zesłania jego ojciec organizował w Eliście uniwersytet. On sam dał się poznać jako zdolny dziennikarz, działacz narodowy, zwolennik odrodzenia buddyzmu.

Nie przystał do opozycji. Był zdania, że ci ludzie nie są lepsi od Ilumżynowa, tylko mają mniej fantazji, gdyby dorwali się do władzy - też zamieniliby Kałmucję w folwark. Planował napisać historię republiki, ale nie mógł się skupić. Na razie wynotowywał cytaty z prac historycznych i dawnych kronik. Na przykład taki: Z *nadejściem wiosny hordy Czyngis-chana ogarniał bliżej nieokreślony niepokój.* Poza cytatami, dzień za dniem upływał Menkemu na jałowej wegetacji.

Po paru latach zachorował mu syn. Do tej pory jakoś sobie radzili. Menke zarabiał tłumaczeniami, żona chałupniczo szyła i haftowała. Rodzina z sowchozu przywoziła mięso. Teraz jednak potrzebne były większe pieniądze. Poprosił Kirsana o audiencję. Pokajał się. Zapewne ucałował w rękę - w ten sposób mongolscy książęta okazywali chanowi szacunek.

Został ministrem informacji. Ma dbać o wizerunek prezydenta w mediach. Ma pilnować, by dziennikarze nie pisali głupot.

Podczas spotkania był zamyślony i nieswój. Dużo opowiadał o planach Ilumżynowa - zachowania fotela prezesa Międzynarodowej Federacji Szachowej fide, kandydowania na stanowisko prezydenta MKOl i startu w rosyjskich wyborach prezydenckich. Znów, jak pięć lat wcześniej, wychwalał Kirsana, jednak bez tamtego entuzjazmu. Dobrze go rozumiałem. W kałmuckim rządzie jak w sowchozie Ułan-Checz - w jednej chwili mogą człowieka zgnoić, zmiażdżyć, wdeptać w błoto.

Prosty naród kocha swego pana. W zapadłych toczkach pasterze wieszają na honorowym miejscu jego portrety. Na każde wezwanie przyjeżdżają do Elisty uczestniczyć w wiecach poparcia. Pójdą za Kirsanem w ogień i wodę. Nie zawahają się, gdyby przyszło mu do głowy zjednoczyć mongolskie narody, a potem, wzorem Czyngis-chana, ruszyć na Europę.

- Kirsan przywrócił nam dumę z tego, że jesteśmy Kałmukami - powiedział mi starzec z Czyłgiru.

Być może bezwarunkowe zawierzenie przywódcy tkwi korzeniami w lamaizmie. *Momentem sprzyjającym krzewieniu się tego kierunku* - zauważa Wiesław Kotański - *była niewątpliwie koncepcja przerzucenia balastu odpowiedzialności za należyte rozumienie i przestrzeganie rytuału i dogmatów na jednostki specjalnie wdrożone do takich obowiązków. Wiara w taką osobę, w jej wiedzę i umiejętności zwalnia lamaistę od potrzeby zbyt głębokiego wnikania w istotę obrzędów i przykazań.*

Z Kałmucji jechałem zwykle do Dagestanu. Droga prowadzi przez wieś Komsomolskoje, gdzie jest wielbłądzia ferma, przez Czarne Ziemie - część dawnego Stepu Nogajów - na których pasą się jeszcze suhaki, stepowe antylopy, niewiele większe od zajęcy; przez roponośne okolice Artezjanu. Tędy zdążał przed dwustu laty Jan Potocki, a pół wieku po nim Aleksander Dumas ojciec. Tędy wiodły szlaki tysięcy innych podróżników, tajnych agentów i żądnych przygody awanturników, którzy ciągnęli z Rosji na Kaukaz.

W jednej ze swoich książek Ilumżynow napisał: *Kiedy jedziesz długo przez letni step i monotonny krajobraz zaczyna cię powoli usypiać, nagle, gdzieś na horyzoncie, wyłania się z rozedrganego powietrza miraż. Jedziesz dalej, miraż gęstnieje, nabiera kształtu, hipnotyzuje. I rzeczywistość zaczyna mieszać się z fantazją, i nie pojmiesz już, gdzie kończy się jawa, a zaczyna sen, bo zatarły się między nimi granice, jedno płynnie przechodzi w drugie* .

Na Stepie Nogajów Kałmucja płynnie przechodzi w Dagestan.

Z notatek (2)

26 kwietnia 2010

Kilka dni po siedemnastej rocznicy objęcia urzędu prezydenta Kałmucji, w programie telewizyjnym Władimira Poznera na rosyjskim *Pierwym Kanale,* Kirsan Ilumżynow opowiedział o spotkaniu z kosmitami.

Ilumżynow:

- To się zdarzyło w sobotę, we wrześniu 1997 roku. Przyjechałem wieczorem do domu - tu, w Moskwie, w zaułku Leontiewa. Następnego dnia leciałem do Kałmucji. Poczytałem książkę, rzuciłem okiem w telewizor i poszedłem spać. Nagle poczułem, że otworzył się balkon i ktoś mnie woła. Podszedłem, patrzę - półprzezroczysta rynna, tak jakby rura przecięta wzdłuż. Wszedłem w nią i zobaczyłem ludzi w żółtych skafandrach. Powiedzieli, że muszą pobrać próbki do badań. Potem pokazali mi swój pojazd. Spytałem, dlaczego nie nawiązują z nami normalnego kontaktu. Powiedzieli, że nie są jeszcze gotowi. W jakim języku rozmawialiśmy? W żadnym, to była wymiana myśli.

Pewnie sam bym w to nie uwierzył, ale mam trzech świadków: mojego kierowcę, asystenta i ministra, którzy przyjechali po mnie nad ranem. Drzwi były zamknięte. Otworzyli je własnym kluczem. Patrzą: rzeczy na miejscu, balkon otwarty - a mnie nie ma. Zaczęli dzwonić po

znajomych - nikt nic nie wie. Usiedli w kuchni, naradzają się, co robić. Wtedy wychodzę z sypialni i mówię: „Zróbcie mi jajecznicę, musimy jechać na lotnisko”. A wcześniej mnie w sypialni nie było, sprawdzali trzy razy! Pytają: „Co się z tobą działo?!”. Mówię im: „Nic. Zwiedzałem latający talerz”.

Pozner:

- Rzeczywiście, ciekawa historia.

Lezginka

Zdawać by się mogło, że Dagestan jest jeden jedyny dla wszystkich Dagestańczyków. A w gruncie rzeczy każdy Dagestańczyk ma swój Dagestan.

Rasul Gamzatow, 1968

W pewnej chwili wjechaliśmy z nocy w dzień i zrobiło się tak jasno, że kierowca musiał przysłonić oczy. Szerszą w tym miejscu drogę oświetlały potężne jupitery, wydobywające z mroku także sporawy płacheć równego jak stół Stepu Nogajów. Stanęliśmy pod szlabanem. Kontrola.

Na trasie z Władykaukazu do Machaczkały, tak jak na wszystkich kaukaskich drogach, posterunki rozstawione są co kilkanaście kilometrów. Pojawiły się po rozpadzie ZSRR , gdy południe Rosji stanęło w ogniu. Miały stanowić zaporę dla przepływu broni, narkotyków oraz wszelkiej kontrabandy. Stały się narzędziem represji, siedliskiem łapówkarstwa, synonimem bezprawia i gwałtu. Odwrotnie niż w sieci rybackiej, z siecią posterunków grube ryby radzą sobie bez kłopotu; w oczkach grzęzną płotki, kiełbiki i pozostała drobnica. Ustosunkowany zbir przewiezie wszystko, łącznie z zakładnikami uprowadzonymi dla okupu, a zwykły Awar, Czeczen czy Rosjanin, próbujący wykarmić rodzinę z handlu obwoźnego, musi opłacać się na każdym kroku. Masz walizkę ciuchów? Worek słodyczy? Parę kartonów papierosów? No to bulisz mandat za brak

zezwolenia! Jakiego? Och, to nieistotne. W Rosji jest tak dużo różnych taryf, opłat, licencji i podatków, że jakiegoś papierka na pewno będzie brakować.

Załóżmy jednak, że nasz Awar czy Rosjanin zbuntuje się, postawi okoniem - co wtedy uczyni władza? Władza przetrze najpierw oczy ze zdumienia, a następnie zatrzyma buntownika w areszcie „do czasu wyjaśnienia sprawy". Wątpliwości wzbudzi podniszczone prawo jazdy albo zrodzi się podejrzenie, że papierosy pochodzą z kradzieży. Nie, tutaj żaden bunt się nie opłaca!

Posterunek składa się zwykle z ustawionego przy drodze baraku oraz ze szlabanu, który zagradza przejazd. Barak wyposażony jest w rachityczne biurko, zawsze zawalone stosem papierów, w krzesło, leżankę i dyndającą z sufitu żarówkę. Dyżur pełnią milicjanci, choć w paru miejscach widziałem żołnierzy.

Ten posterunek był inny, różnił się od poprzednich, ziejących tymczasowością i prowizorką. Przypominał przejście graniczne z kompletną infrastrukturą. Rzeczywiście, znajdowaliśmy się na granicy. Była to granica między Krajem Stawropolskim a Dagestanem.

Kierowca zgasił motor i otworzył drzwi. Do autobusu wszedł sierżant, a za nim dwóch milicjantów, którzy wycelowali w nas kałasznikowy.

- Dokumenty!

Sięgnęliśmy po dowody, paszporty, książeczki wojskowe. Sierżant dokładnie je obejrzał, porównując fotografie z naszymi twarzami. Wypytał o meldunek, czyli *propiskę,*

kazał pokazać bagaż. Dokumenty zabrał, a na odchodnym spytał:

- Broń, narkotyki, dzieła sztuki?

- Wiozę granatniki... - Mój sąsiad, potężny Dargijczyk, był umęczony podróżą jak wszyscy. Sierżant nie znał się na żartach.

- Otwórz torbę!

Granatników nie znalazł, ale kazał Dargijczykowi iść ze sobą. W tym czasie inni milicjanci nurkowali w bagażniku i obstukiwali podwozie.

Wyszedłem się przejść. Teren posterunku zajmował wiele hektarów, zasieki z drutem kolczastym biegły daleko w Step Nogajów. Za szlabanem, wzdłuż i w poprzek jezdni, leżały betonowe bloki; gdyby nawet ktoś zdołał sforsować przeszkodę, musiałby w tym labiryncie zwolnić, stając się łatwym celem dla snajpera. Pewnie z myślą o takich desperatach ustawiono tablicę z ostrzeżeniem: *Stój! Strefa zakazana! Strzelamy bez uprzedzenia!* W pobliżu strażnicy parkowały wozy bojowe, okryte siatką maskującą. Budynek miał dwa piętra i, jak wskazywały sterczące z dachu anteny, pełnił również funkcję centrum łączności. W dyżurce na parterze wisiał transparent: *Nasza dewiza - kultura, dyscyplina, profesjonalizm!*

Plac przed posterunkiem wypełniały samochody. Większość miała rejestrację dagestańską, ale były też auta z Kałmucji, Inguszetii, a nawet odległej Adygei. Gdy późnym latem 1999 roku wybuchła w Czeczenii nowa wojna, Dagestan znów stał się krajem przyfrontowym.

Kierowcy ze stojących na placu samochodów pogryzali pestki słonecznika i palili, siedząc w kucki na wschodnią manierę. Czekali na świt.

Wróciłem do autobusu. Był to stary gruchot marki Lwów, kupa złomu na kółkach, z rurą wydechową trzymającą się na drucie i dyktą wstawioną w miejsce wybitych szyb. Najważniejsze jednak, że jechał, a jechał dzięki złotym rękom szofera i jego pomocnika. Gdy coś się psuło, obaj przebierali się w kombinezony i metodycznie przystępowali do naprawy: jeden grzebał pod maską, a drugi asystował, podsuwając bez słów potrzebne narzędzie, niczym doświadczona pielęgniarka na sali operacyjnej. Potem zmieniali się i ten od grzebania włączał stacyjkę, a kolega regulował motor na słuch. Myślę, że umieliby zrobić wprost na drodze remont kapitalny silnika.

Wnętrze lepiło się od potu i brudu. Derma na fotelach była zdarta do gąbki, poręcze połamane, lampki rozbite. Wszędzie walały się niedopałki - mało kto stosował się do wymalowanego na tabliczce wezwania, żeby nie palić i nie śmiecić. Druga tabliczka mówiła sporo o kaukaskich obyczajach: *Zabrania się żądać od kierowcy szybszej jazdy!* Wśród pasażerów przeważały kobiety, potulne dagestańskie chłopki, owinięte w bawełniane chusty. Wracały z targu; w spoconych dłoniach ściskały sakiewki i prawie się nie odzywały.

Na Kaukazie autobus to najpraktyczniejszy środek transportu. Kolej dociera do niewielu miejscowości, pociągi wloką się i uchodzą za mało bezpieczne: często dochodzi do

napadów na podróżnych. Między niektórymi miastami kursują *marszrutki,* mikrobusy odjeżdżające po zebraniu się kompletu pasażerów. Do marszrutek wchodzi jednak mało bagażu, a miejscowych często nie stać na opłatę za przejazd.

Tymczasem pojawił się sierżant z paszportami. Zanim je oddał, przeprowadzał małe śledztwo: a skąd?, a dokąd?, a po co? Mieliśmy szczęście, do nikogo się nie przyczepił. W takich przypadkach autobus solidarnie czeka, aż pechowiec załatwi swoją sprawę. (Dargijczyk siedział już na miejscu. Dowcip z granatnikami kosztował go pięć dolarów. Dostał mandat za wprowadzanie władzy w błąd). Zbieraliśmy się do odjazdu, gdy ktoś przypomniał sobie, że brakuje gruzińskiego chłopca, który w pewnym momencie zniknął, wywołany przez milicjanta. Znaleźliśmy go na poboczu, wycierał krew cieknącą z nosa. Okazało się, że miał nieszczęście podróżować na nowym gruzińskim paszporcie, z napisami po gruzińsku i angielsku. Milicjanci nie umieli ich odczytać i zgodnie twierdzili, że dokument jest podrobiony. Kazali zapłacić mandat. Nie uwierzyli, że chłopcu skończyły się pieniądze:

- Co z ciebie za Gruzin, bez forsy! - Dwóch zabrało się do bicia, trzeci przeszukiwał rzeczy. Pieniędzy rzeczywiście nie było, więc milicjanci zabrali skórzaną kurtkę:

Belidżi, Dagestan

- Zapamiętaj, synu, tu jest Rosja, a nie Gruzja, tu musi być porządek!

Zrzuciliśmy się na następne posterunki. Nasza dewiza - kultura, dyscyplina, profesjonalizm!

Szlaban podniósł się i pojechaliśmy dalej. Jeżeli Kaukaz to tygiel Eurazji, Dagestan jest tyglem Kaukazu. Na obszarze sześciokrotnie mniejszym od Polski mieszka kilkadziesiąt grup etnicznych, spośród których czternaście ma status

„narodów paszportowych”: uwzględniają je rosyjskie statystyki. Jak rządzić taką republiką? W czasach sowieckich istniał nieformalny klucz - pierwszym sekretarzem był Awar, fotel przewodniczącego Rady Najwyższej przypadał Dargijczykowi, pozostałe wysokie urzędy obsadzali w odpowiednich proporcjach Kumycy, Lezgini, Lakowie i Rosjanie. Narody mniej liczne musiały zadowolić się stanowiskami we władzach tych powiatów, w których stanowiły większość. To, która grupa jest narodem, określała partia. Linia partii ciągle się zmieniała i w kolejnych spisach powszechnych jedne narody znikały, inne pojawiały się *deus ex machina.* Wreszcie stanęło na czternastu.

„Uznane” narody miały własne szkoły, własne audycje radiowe i programy telewizyjne. Dzięki temu dochowały się własnych elit. W okresie pierestrojki elity zorganizowały się w stowarzyszenia społeczno-kulturalne. Po upadku ZSRR ze stowarzyszeń wypączkowały narodowe partie polityczne. Interesy poszczególnych partii okazały się sprzeczne i na początku lat dziewięćdziesiątych zderzyło się ze sobą czternaście nacjonalizmów. Nacjonalizmy dużych narodów były duże, duzi rościli sobie pretensje do dominacji w republice, a nawet na całym wschodnim Kaukazie. Nacjonalizmy narodów mniej szych były odpowiednio mniejsze, w polu ich widzenia był kawałek ziemi sąsiada, jakaś przełęcz, dodatkowy poseł w machaczkalskim parlamencie. Sąsiad miał, rzecz jasna, swój nacjonalizm i przekonująco dowodził, że wskazana ziemia oraz szereg

innych ziem, przełęczy i dolin należy się wyłącznie jemu. Nacjonalizm dagestańskich Rosjan, stanowiących ledwie dziesiątą część ludności, był z kolei defensywny, skupiał się na utrzymaniu stanu posiadania. Tylko potomkowie Kozaków znad Tereku marzyli o wskrzeszeniu hajdamackich porządków. Każdy naród wierzył w nadejście „sprawiedliwości”, każdemu obmierzł zadekretowany internacjonalizm.

Wtedy, w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, w Dagestanie nie było tygodnia bez strzelaniny, wybuchów, porwań. W zamachach ginęli deputowani, duchowni, dziennikarze. Walka wszystkich ze wszystkimi, niewypowiedziana wojna - podziemna, bo na powierzchni toczyły się pozory normalnego życia - traciła stopniowo etniczny charakter. Żaden naród nie był na tyle silny, by narzucić swą wolę pozostałym. Paradoksalnie, olbrzymie rozdrobnienie sprzyjało zachowaniu jedności. Gra szła już tylko o władzę i wiążące się z władzą pieniądze.

Nowy układ opierał się nie tyle na parytecie narodów, co na parytecie narodowych mafii. Oto mafia lakijska zdobyła kontrolę nad czarnym kawiorem: Lak został prezesem państwowego komitetu rybołówstwa, mianował innego Laka szefem przedsiębiorstwa rybnego, zaś trzeci Lak, w porozumieniu z pierwszym i drugim, zorganizował nielegalne odłowy jesiotra oraz kanały przemytu ikry. Mafia awarska przejęła milicję, mafia dargijska obsadziła urzędy skarbowe.

Na biednej republice, jaką jest Dagestan, mogła obłowić się ograniczona liczba chętnych. Ci, których podział łupów nie objął lub uważają, że dostali za mało, nadal walczą o swoje. W zapomnianych stowarzyszeniach społeczno-kulturalnych dorasta nowe pokolenie liderów, marzących o wielkim Awarystanie, wielkim Lezgistanie albo o zjednoczeniu Stepu Nogajów.

Autobus dotoczył się do Kizlaru. Był to niegdyś pierwszy rosyjski przyczółek na Kaukazie. Stąd ruszyła ekspansja w kierunku Czeczenii, Dagestanu i Gruzji. Miasto wyrosło przy twierdzy, założonej jeszcze w szesnastym wieku przez terec-kich Kozaków, a umocnionej dwa wieki później staraniem generała Lewaszowa. W roku 1831, u zarania wojny kaukaskiej, spustoszył je imam Dagestanu Gazi Mahomet, zwany także Kazi-Mułłą. W styczniu 1996 roku napadł na Kizlar czeczeński komendant Sałman Radujew. W grudniu 2001 roku za ten czyn rosyjski sąd skaże go na dożywocie. Rok później Radujew umrze w więzieniu.

Zatrzymaliśmy się na przedmieściu, tuż obok przydrożnej garkuchni, przypominającej wiatę: ściany były z eternitu i opierały się na metalowych słupkach, a dach był z blachy falistej. Stoły stały wprost na klepisku, tylko podest przed bufetem wylano betonem. Za przepierzeniem z nieheblowanych desek bulgotały kotły ze strawą. Do jedzenia były pilaw i rosół. W takich miejscach karmią tanio, smacznie i bezpiecznie. Prawa kalekiego postsowieckiego rynku podpowiadają gospodarzom, że gdyby ktoś się u nich zatruł, kierowcy przestaliby przywozić

pasażerów. Ten sam rynek zniechęca równocześnie do inwestowania w wystrój: po co tracić pieniądze, skoro interes kwitnie, marmury ściągną tylko milicję podatkową! Dochodziła druga w nocy, ale lokal był pełen gości. Jadły tutaj cztery autobusy i brakowało wolnych miejsc.

Wzdłuż drogi stała może setka straganów, wszystkie otwarte i oświetlone jarzeniówkami. Mnogość wszelkich dóbr przekraczała wyobraźnię. Najwięcej kramów oferowało alkohol. Do wyboru były dziesiątki rodzajów piwa, wino z całej Europy, najróżniejsze wódki, od „ruskiego jogurtu” (sto gramów w zakapslowanym plastykowym kubku) po Finlandię i Absolut, poza tym rumy, likiery, giny, koniaki. Podobnie miała się rzecz z nabiałem, wędlinami, owocami i warzywami. Oczywiście był chleb - razowy, pszenny i gruziński *lawasz* .

Oczywiście słodycze: tureckie i irańskie ciasteczka, rosyjskie bombonierki, czekolady Milka. Lody w kilkunastu smakach, rosyjskie i zachodnie. Polskie lody w proszku. Buliony Knorra. Kawa i herbata. Dla leniwych „zestawy podróżne” (sprzedawane w swoim czasie w Moskwie pod nazwą „zestawów dżentelmeńskich”): pakiety z pętem kiełbasy, paroma kromkami chleba, kiszonym ogórkiem oraz ruskim jogurtem.

Na straganach z konfekcją królowała turecczyzna. Były skarpety i koszule, swetry i dżinsy, kurtki i marynarki. (- Turcja stała się punktem odniesienia oraz przedmiotem aspiracji - powiedział mi pewien dagestański profesor. - Tam jeździ się na handel, stamtąd czerpie wzorce

cywilizacyjne. Rosja nie jest już dla młodzieży atrakcyjna, a Zachód leży za daleko). Kilku przekupniów handlowało zabawkami. Dwóch - elektroniką z Dubaju. Na skraju rynku, tuż za ostatnim kramem, samotny dziadek ustawił na kraciastym kocu ekspozycję dorodnych baranich papach. To był hipermarket - pod gołym niebem, w środku nocy, na końcu świata. Nie wiem, kto tu kupował, na pewno nie biedacy z autobusu, choć ceny były niższe od machaczkalskich, nie wspominając o moskiewskich. Być może kupowali miejscowi oficjele, milicjanci albo lokalni gangsterzy. Lista osób gotowych posłać nad ranem po martini albo kabanosa musiała być długa.

Przed Chasawjurtem drogę zajechało nam volvo. Z samochodu wyskoczył dwumetrowy drab i wypruł z automatu serię w powietrze. Stanęliśmy. „Napad” - pomyślałem, chociaż mogła to być kolejna kontrola, szofer mógł przegapić posterunek i teraz ścigał nas jakiś miejscowy Brudny Harry. Drab skierował karabin lufą do ziemi i wszedł do środka. - Salam alejkum - przywitał się grzecznie. - Jest sprawa, wujek bardzo chora, trzeba w Machaczkalu do lekarza, weźcie go, błagam! - chrypnął niezbornym rosyjskim. Kierowca był Awarem, typ z automatem też wyglądał na Awara, ale tu w miejscu publicznym nie używa się ojczystej mowy. Syndrom mechanicznego przechodzenia na język oficjalny zaraz po wyjściu za próg domu znany jest nauce jako „reguła przełącznika”. Po chwili drab przyprowadził trzęsącego się

starowinę, posadził go przy oknie, pod głowę wsunął poduszkę, nogi owinął pledem. Potem zapłacił za bilet:

- Jesteście dobrzy ludzie, jedźcie szczęśliwie!

Żałowałem, że nie spotkam się z Wozniakiem. Lew Maksymowicz Wozniak! Potomek polskiego zesłańca, malarz, domorosły filozof, brat łata. Przechodziłem kiedyś przez skwer, gdzie machaczkalscy artyści wystawiali swoją produkcję. Zaczepił mnie wesoły człowieczek w leninówce na bakier, żywy jak srebro i trajkocący bez opamiętania:

- Pszakrew, cholera jasna, matka boska częstochowska, dalej nie umiem. Chwilę potem siedzieliśmy w kotłowni domu handlowego i piliśmy tanie wino owocowe, sprzedawane w trzylitrowych balonach. Litościwy kierownik pozwalał przechowywać tu obrazy, wstawił nawet stary tapczan i skrzynię, która po przykryciu folią służyła za stół.

Wozniak przyszedł na świat w Stawropolu. Z dzieciństwa zapamiętał, jak burzono sobór katedralny: za pierwszym razem wstrząs zachwiał budowlą, za drugim rozpadły się mury, za trzecim poddała się dzwonnica. Po wojnie ukończył akademię sztuk pięknych i osiadł w Machaczkale. Wiódł żywot cygana - malował i balował, żenił się i rozwodził, roił o komunie twórców, odsiadywał wyroki „za chuligaństwo’; Przed sześćdziesiątką dostał mieszkanie, piętnastometrową klitkę ze ślepą kuchnią. Napisał piosenkę: *Leżę na podłodze, pod mym pierwszym legalnym adresem.* Zachłysnął się pierestrojką, wspominał, że poczuł się jak chłop pańszczyźniany, któremu darowano wolność.

Zapożyczył się i wyruszył w podróż po Turcji. Potem spłacał dług, produkując *Wschody słońca nad Morzem Kaspijskim, Auły w górach* oraz *Portrety imama Szamila,* rozchwytywane przez dagestańskich nowobogackich.

W kotłowni zrobiło się gwarno i wesoło, pojawiła się herbata, ktoś przyniósł chleb i suszone ryby. Wozniak brylował, to opowiadał kawały i śpiewał sprośne czastuszki, to popadał w zadumę, wzdychając nad okrucieństwem komunizmu i swoim zmarnowanym życiem. Zaraz jednak odganiał złe myśli:

- Ech, nie ma co narzekać, cieszmy się, że jest chleb i że odwiedzają nas goście, na łodzi podwodnej mają gorzej!

Nazywali go „prezydentem” - rosyjskim przywódcą dagestańskiej bohemy. Był najstarszy, umiał zintegrować środowisko, zdobył pomieszczenie na galerię, zorganizował kotłownię. Cieszył się szacunkiem graniczącym z czcią.

Skończyło się wino i Wozniak przywołał młodziutkiego, kruczowłosego Awara:

- Nu, Magomied, masz czerwońca, przynieś jeszcze *balończyk* .

- Ja nie Magomied, na imię mi Osman - obruszył się chłopak, biorąc wytarty banknot.

- Co za różnica, dla mnie wszyscy jesteście Magomiedy! - mruknął Lew Maksymowicz i już zapomniał o sprawie, już brał gitarę, intonując znaną łagrową piosenkę *Towariszcz Stalin, wy bolszoj uczonyj.*

Tak wygląda okupant, pomyślałem. Okupant, zaborca, konkwistador. Jestem pewny, że Wozniak nie chciał nikogo

obrazić. Gdyby powiedzieć mu, że zachowuje się jak kolonista w podbitym kraju, zdziwiłby się i nie zrozumiał. W niczym nie przypominał dumnego Anglika, paradującego po Nowym Delhi, czy otoczonego czarną służbą Francuza gdzieś na plantacji w zachodniej Afryce. Żył wśród Dagestańczyków i dzielił ich los, było mu nawet trudniej, bo oni mieli rozgałęzione rody, klany i związki klanów - *tuchumy,* gotowe w każdej chwili przyjść ziomkowi z pomocą, on zaś tkwił tu sam jak palec. Widziałem jego kawalerkę: pocerowany materac, rozsypujący się kredens, żelazną umywalkę. A jednak, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, był kolonistą. Nie odróżniał Awara od Kumyka, nie słyszał o *adatach,* kaukaskim prawie zwyczajowym, nie rozumiał dagestańskich tradycji. Przez pół wieku nie nauczył się słowa w żadnym miejscowym języku. Jak większość Rosjan z nierosyjskich części imperium żywił przekonanie o wyższości własnej kultury nad tubylczą; przekonanie, które pozwalało byle łachudrze czuć się lepszym od sąsiadów i gardłować, że „to myśmy wydali Puszkina!” nawet wówczas, gdy nie przeczytało się żadnego utworu wielkiego poety.

Kilka miesięcy po naszym spotkaniu Wozniaka odwiedziło kilku osiłków:

- Kupujemy to mieszkanie! - oznajmili. Kazali podpisać papiery i wynieść się w ciągu dwudziestu czterech godzin. W ten sposób wyrzucono z Dagestanu tysiące Rosjan. Podobne przypadki miały miejsce w Czeczenii, Inguszetii, a nawet w Kabardyno-Bałkarii, gdzie fala postsowieckich

nacjonalizmów nie przybrała aż takich rozmiarów. Trudno zresztą powiedzieć, ile było w tym nacjonalizmu, a ile bandyckiej samowoli i pewności, że nikt nie ujmie się za starym Rosjaninem. Wozniak miał szczęście, za swą norę dostał jakieś pieniądze. Opowiadano mi, że pogodził się z losem, nie próbował protestować. Spakował się i wyjechał.

W Machaczkale powoli dniało. Autobus jeszcze manewrował, gdy opadła nas sfora taksówkarzy. Najbardziej nachalni wdarli się do środka i zatarasowali przejście, wykrzykując, że dowiozą wszędzie bezpiecznie i tanio. Zaczęła się walka, wyrywanie sobie pasażerów i bagaży, a potem zawzięte targi o każdego rubla. Taksówkarze koczowali pod ścianą zamkniętego o tej porze dworca, ogrzewali się herbatą gotowaną na spirytusowych maszynkach. Było ich wielokrotnie więcej niż potencjalnych klientów - przyjezdni wolą tanią komunikację publiczną - więc czatowali na każdą okazję. Tak jak pasażerowie, przeliczali opłatę za kurs na jajka i chleb. Żyli od autobusu do autobusu.

Wypatrzyłem taksówkarza starszego, siwiejącego:

- Na Łaptiewa.

- Gdzie??

- Na ulicę Łaptiewa. Najpierw do Andżi Bazaru, potem w prawo do szosy kaspijskiej, a przed Reduktornym w lewo.

- Wiem, braciszku, wiem, od trzydziestu lat kręcę tu kółkiem!

Głowę daję, że nie wiedział, ale kaukaski taksówkarz za nic w świecie nie przyzna się, że czegoś nie wie. Pięć razy

okrąży miasto, dziesięć razy spyta kogoś o drogę i zachowa przy tym dobrą minę: wytłumaczy, że gdzieś był objazd, a w innym miejscu zbłądził, bo zmienili nazwę ulicy. W końcu znajdzie przecież wskazany adres. Tak zachowują się tu wszyscy mężczyźni. Na Kaukazie mężczyzna nie może nie wiedzieć, nie potrafić, nie być w stanie! Jest to kwestia dumy i honoru, lecz także pychy i zarozumiałości. Kiedy któryś obieca, że coś załatwi, oznacza to, że się postara, nie oznacza natomiast, że musi się udać.

Machaczkała jest miastem wyjątkowo brzydkim. Centrum to ponure, nigdy niezamiatane ulice, oblazłe z tynku czynszówki, zakaraluszone restauracje. Na południu z kolei kilometrami ciągnie się wysypisko: góry śmieci, porzucone pakamery, wraki ciężarówek, szkielety dźwigów, resztki betonowych konstrukcji, beczki z zakrzepłą smołą, bajora wypełnione parującą mazią. Gotowa scenografia do filmu grozy! Kiedyś wysypisko leżało za miastem, dziś znajduje się w jego granicach, tędy wiedzie najkrótsza droga do peryferyjnych dzielnic (można tą drogą dojechać na Łaptiewa). Największą osobliwością Machaczkały są jednak rury. Widać je wszędzie, biegną wzdłuż ulic i ponad nimi, niektóre prosto, inne zygzakiem, cienkie i grube, żeliwne i aluminiowe, owinięte papą i bezwstydnie nagie; rury potrafią przegrodzić znienacka chodnik, opleść plac zabaw albo przepchnąć się pod jezdnią, robiąc wybrzuszenie na asfalcie. Instalacje wyprowadziła z podziemia oszczędność. Klimat jest w Machaczkale łagodny, opadów jak na lekarstwo, więc ktoś obliczył, że tak będzie taniej i

praktyczniej - przy awarii nie trzeba rozkopywać okolicy, wystarczy ściągnąć spawacza... Krajobraz dopełniają wyrastające tu i ówdzie ekstrawaganckie wille nuworyszów i postawiony przez Turków meczet, przypominający miniaturową Hagię Sophię.

Jadąc machaczkalską taksówką myślałem, jak niewiele wspólnego ma przelatujące za szybą miasto z prawdziwym Kaukazem i jak bardzo ta niewspółmierność odróżnia Kaukaz od Europy czy Azji. Zwiedzając Zachód, wędrujemy właśnie po miastach. Czekają tam na nas starówki, kościoły, pałace i zamki. Jeśli chcemy poznać Włochy, udajemy się do Wenecji, Rzymu, Neapolu. O kimś, kto był w Paryżu, Lyonie i Marsylii mówimy, że zwiedził Francję. Podobnie jest z Bliskim Wschodem: Liban to Bejrut, Baalbek i Byblos, Iran kojarzy się z Teheranem, Isfahanem, Szirazem. Tymczasem na Kaukazie cywilizacyjnym centrum była i w dużym stopniu pozostaje wieś. Ten, kto nie był na wsi, niewiele może o Kaukazie powiedzieć.

Kaukaskie wsie, czyli *auły,* nie przypominają europejskich „rzędówek” i „owalnic”. Są przede wszystkim dużo większe. Mogą liczyć nawet kilka tysięcy mieszkańców. W przeszłości były przez większą część roku odcięte od świata i tworzyły w istocie mikroskopijne państewka. Gdy śnieg zasypywał przełęcze, dolina stawała się całym kosmosem. (W najwyższych partiach Czeczenii i Inguszetii, gdzie zaludnienie było znikome, auły ograniczały się do baszty obronnej i kilku domostw, zamieszkanych przez członków jednej rodziny. Dlatego w tamtych stronach

każdy góral to państwo). Wieś przechowała język, obyczaj, elementy stroju, pamięć tradycyjnych instytucji. W dawnych czasach najstraszliwszą karą, jaka mogła spotkać notorycznego hultaja, była banicja. Odepchnięty przez ziomków nieszczęśnik błąkał się po górach o głodzie i chłodzie i bywało, że umierał ze zgryzoty. Dziś taki osobnik sam opuści wioskową wspólnotę i skryje się w mieście, gdzie nikt go nie pozna i nie wytknie palcem.

Miasta są na Kaukazie ciałem obcym. Z wyjątkiem prastarego Derbentu mają najwyżej dwieście kilkadziesiąt lat. Rozwinęły się z twierdz zakładanych przez carat na podbijanych ziemiach. Wszystkie leżą na przedgórzu i mało się od siebie różnią. Miłośnik starożytności nie znajdzie w nich olśniewających zabytków, te pochowane są po aułach i uroczyskach. Wśród ludności przeważają Słowianie, lecz ośrodki nie nabrały rosyjskiego charakteru, są raczej sowieckie, brakuje rodów zasiedziałych od pokoleń, prawie każdy skądś przyjechał. W miastach urzęduje jednak władza, lokują się partie i organizacje społeczne. W miastach mają siedzibę uniwersytety, muzea i archiwa, gdzie skupia się cudowna kaukaska inteligencja. Dzięki tym ludziom polubiłem Machaczkałę - świat wali się, a oni roztrząsają dzieje Chazarów albo tłumaczą dawne arabskie rękopisy. Bez widoków na honorarium wydają fundamentalne prace, plon długich lat życia. Zebrałem całą kolekcję takich książek: nakłady od stu do trzystu egzemplarzy, gazetowy papier, reklama sponsora. W Moskwie są programy badawcze, granty, zagraniczne

stypendia, tu oparcie zapewnia rodzina na wsi, niezawodny dostarczyciel masła, sera i mięsa.

Na Łaptiewa czekał na mnie Fejzudin. Zawsze się u niego zatrzymywałem i zawsze przy powitaniu powtarzał się taki sam dialog.

- Gdzie będziesz mieszkał? - pytał przyjaciel.

- Pewnie w hotelu. Doradź jakiś przyzwoity - prowokowałem.

- Myślałem, że chcesz tutaj, że wskażesz pokój... - mamrotał i sięgał po największy ze swoich kilkunastu kindżałów: - Jeżeli uważasz, że to mieszkanie nie jest przyzwoite, zabij mnie! - Wiedział, że się przekomarzam, ale za każdym razem wygłaszał swoją kwestię ze śmiertelną powagą. Mimo że opuścił auł wiele lat temu, pozostał góralem, który traktuje gościa jak największą świętość, a usługiwanie mu uważa za obowiązek. Rozpogadzał się dopiero, gdy zapewniałem, że zostanę, bo nigdzie nie będzie mi lepiej.

Fejzudin najpierw studiował budownictwo, nawet się doktoryzował, ale bardziej ciągnęło go do poezji; ukończył z kolei instytut literacki i znów się doktoryzował. Jeszcze większą pasją okazała się polityka. Założył lezgińskie stowarzyszenie kulturalne i działał w lezgińskiej partii. Został nacjonalistą.

W Dagestanie Lezginów jest ćwierć miliona, drugie tyle mieszka w Azerbejdżanie. I tu, i tam są mniejszością. Granica przedziela lezgińskie ziemie na pół. Lezgin z Azerbejdżanu, wybierając się do kuzyna po rosyjskiej

stronie, musi brać paszport. Musi jechać dziesiątki kilometrów do najbliższego przejścia, choć cel podróży leży czasem w zasięgu wzroku. Przejście bywa nieraz zamknięte, bo Moskwa boi się czeczeńskich bojowników, którzy próbują się ponoć tędy przedzierać, oraz chce zmiękczyć Azerbejdżan, coraz mocniej wiążący się z Zachodem. Lezgin z Dagestanu nie może wypasać owiec na pastwiskach, które od średniowiecza służyły jego przodkom. Nic dziwnego, że Lezgini marzą o zjednoczeniu.

Fejzudin układał w tej sprawie memoriały i rezolucje, grzmiał na wiecach. Niewysoki, krzepki góral z zawadiackim wąsem, był wszędzie tam, gdzie podnoszono narodowe tematy. Należał do radykałów, śniło mu się niepodległe państwo. Niczego nie zwojował. Towarzysze opuścili go, jeden został ministrem, drugi założył biznes. On sam pisał coraz gorsze wiersze. Odszedł od polityki i zaczął klepać biedę. Z groszowych fuch utrzymuje żonę i czterech synów. Czasem wyprosi u dawnych kolegów niewielką sumę na kolejny numer lezgińskiego almanachu, który kiedyś wspólnie założyli.

Poznaliśmy się, gdy jeszcze był aktywistą. Ktoś mnie przyprowadził do niego na kolację. Gospodarz miał pod ręką dzwoneczek, którego używał do komunikacji z rodziną. Dzyń, dzyń - i przybiegała żona. Gestem pokazywał jej pusty półmisek albo karafkę. Żona znikała w kuchni i po paru sekundach była z powrotem, dokładając pieczeń i dolewając wina. Dzyń, dzyń, dzyń - pojawiał się najmłodszy syn. „Papierosy!” - komenderował ojciec i w chwilę później

otwierał nową paczkę. Biesiadnikom, a przy stole siedzieli sami mężczyźni, wyraźnie to imponowało. „Kaukaski macho” - myślałem, obserwując Fejzudina. Tamtego wieczoru dzwoneczek często szedł w ruch i żona nie nadążała z winem. W końcu goście rozeszli się, ja zostałem na noc. Obudziło mnie pragnienie. Dowlokłem się do kuchni i zobaczyłem, jak macho krząta się przy garach. Już pozmywał, właśnie zabierał się do kartofli. Żona i synowie spali w najlepsze.

W Machaczkale wpadłem w gorączkę dyskusji, mityngów i okrągłych stołów. Był rok 2001 i miasto ciągle żyło konfliktem w Czeczenii. Rozpamiętywano ostatnie walki i zastanawiano się, czy nie dojdzie do wojny w samym Dagestanie. Miałaby to być wojna religijna, pomiędzy wyznawcami tradycyjnego islamu a wahhabitami, reprezentującymi muzułmański ekstremizm. Większość zabierających głos była zdania, że nic się nie zdarzy, ale nie brakowało opinii przeciwnych. Gazety, od komunistycznej „Za Ojczyznę, Za Stalina!” do konserwatywnego „Zewu Przodków”, pełne były pesymistycznych ocen i ekspertyz. Prasa etniczna popierała republikański rząd i rosyjskiego prezydenta Putina.

Poszedłem do Enwera Kisrijewa, politologa i socjologa. Odkąd pracował jako doradca rosyjskich władz, stał się nieco cyniczny, ale nie stracił analitycznej przenikliwości. Był jednym z nielicznych, którzy wiedzieli, co tu się naprawdę dzieje. - Najpierw myślałem, że ludzie przystępują do wahhabitów z wyrachowania - zaczął. -

Wahhabici mają duże pieniądze, które pochodzą z krajów arabskich, stamtąd przyszedł ten nurt. Budują meczety, wydają niezłe książki o islamie, rozdają żywność. Dagestańczyk uwierzy w samego diabła, jeśli mu zapłacą. Potem zobaczyłem, że wahhabizm podzielił rodziny: brat na śmierć pokłócił się z bratem, syn nie rozmawia z ojcem. Gdyby chodziło o doraźną korzyść, nie miałoby to miejsca.

Islam pojawił się w Dagestanie w siódmym wieku - tłumaczył mi. - Przez stulecia zlał się z miejscową tradycją, wchłonął dawne wierzenia. Nabrał mistycznego charakteru i obrósł herezjami. Rozkwitły sufickie bractwa, pielgrzymowano do grobów świętych szejków. Prawo koraniczne nigdy nie wyparło zwyczajowego, respektowali je nawet carscy urzędnicy. Taka na pół pogańska wiara dotrwała do naszych czasów. Kiedy upadł komunizm, wielu ludzi znalazło się w zawieszeniu. Z jednej strony pragnęli uchodzić za nowoczesnych, z drugiej czuli związek z obyczajami, w których wyrośli. Deklarowali się jako ateiści, ale w głębi duszy byli muzułmanami i nie jedli wieprzowiny. Tradycyjny meczet nie zaspokajał ich potrzeb, mułłowie kojarzyli się z zacofaniem i ciemnotą. Wtedy zjawili się wahhabici. Proponowali surową etykę, religię oczyszczoną z naleciałości i zabezpieczenie materialne. Cóż więcej trzeba, by wypełnić duchową pustkę?... Zdobyli parę tysięcy wyznawców, głównie młodych mężczyzn narodowości awarskiej, najwięcej w miastach. Opanowali kilka wiosek. Zostali zdelegalizowani, ale robią swoje: gromadzą broń, budują podziemne struktury. Chcą państwa wyznaniowego,

podobnego do Afganistanu pod rządami talibów. W pewnym momencie znów uderzą.

Rankiem w Machaczkale było pogodnie, w południe w Buj-nacku pochmurno i zanosiło się na ulewę. Droga wciąż wiła się pod górę, zdawało się, że prowadzi do nieba. Niebo było ciemnoperłowe, gęste, wilgotne, nabite elektrycznością. Potem stopniowo rzedło, nabierając jednocześnie puszystości. W miarę jak wznosiliśmy się, szarość ustępowała miejsca fioletom i różom, zrazu intensywnym, ale z każdą chwilą bledszym.

Niebawem barwy rozpłynęły się. Wjechaliśmy w pełne słońce. Tuż pod nami zalegała mleczna pierzyna, przedarta gdzieniegdzie ostrą granią. Widok, znany każdemu, kto podróżował samolotem, oglądałem z okna wołgi. Przebiliśmy się autem przez warstwę chmur.

Minęliśmy auł Gergebil i most na rzece Karakojsu. Po zmroku zajechaliśmy do Gunibu. Stanęliśmy pośrodku wsi, na scenie naturalnego amfiteatru. Ze wszystkich stron otaczały nas niewidoczne teraz góry. Na stromych zboczach piętrzyły się domostwa, przyklejone do skał niczym jaskółcze gniazda. Dochodziły od nich migocące światełka. Plac przed meczetem pustoszał, rozchodzili się ostatni górale. Musiał to być *godekan,* dagestański odpowiednik agory, serce każdego aułu. Tutaj wymienia się nowiny i załatwia interesy, tutaj zapadają najważniejsze dla wspólnoty decyzje. Prym na godekanie wiodą starcy, zwani *aksakałami.* Siedzą na ławeczce całe dnie, lato czy zima, zawsze w papachach i kożuchach. Wszystko wiedzą,

wszystko widzą. Zwykle milczą, wolę wyrażają gestem, ale kiedy już się odezwą - każde słowo ma wielką wagę. Czasem zwołują dzieciarnię i wtedy opowiadają. Przedziwną mają pamięć. Znają imiona przodków do dziesiątego pokolenia wstecz. Wczoraj walczyli z Niemcem, przedwczoraj z bolszewikiem. Z carem walczyli ich ojcowie. Współczesny dagestański historyk zebrał jeszcze po aułach kilkanaście opowieści o walce z Nadir Szachem, który najechał Kaukaz w pierwszej połowie osiemnastego wieku.

Na noc zaprosił nas Abdułła, emerytowany wioskowy felczer. Przy filiżance samogonu (- Dla mnie parę kropel, muzułmanom nie wolno!) rozmawialiśmy o drodze. Niedaleko miała przebiec dodatkowa nitka transkaukaskiej magistrali. Mieszkańcy obawiali się, że wieś zamieni się w przechodnie podwórze, że zjadą się różne łobuzy i dojdzie do rozrób, że samochody pozabijają dzieci. Jeden ze starców domagał się nawet zniszczenia starej drogi, bo drogą idą z miasta pijaństwo i rozpusta. Starzec był niedawno w Machaczkale i to, co tam przeżył, wstrząsnęło aułem. W trolejbusie nikt nie ustąpił mu miejsca, a młodzieńcy, którym zwrócił uwagę, że nie należy pić na ulicy piwa i zaczepiać przechodzących kobiet, obrazili go brudnym słowem! Wszyscy podejrzewali, że na przeprowadzenie drogi nalega stacjonujące w górach wojsko. Wojska też nikt tutaj nie chciał. Odkąd się pojawiło, zaczęły się kradzieże.

Następnego dnia Abdułła pokazał nam polanę, na której w 1859 roku generał Aleksander Baratyński wziął do

niewoli Szamila. Był to koniec regularnej wojny Rosji z Kaukazem. Imam Szamil, uczeń Gazi Mahometa, przewodził góralom ćwierć wieku. Stworzył państwo, które obejmowało Dagestan i Czeczenię. Zbudował administrację, wprowadził system podatkowy. Uwięziony, trafił na zesłanie do Kaługi. Zmarł w Me-dynie podczas hadżdżu. Na podbitym, lecz nieujarzmionym Kaukazie nastawał czas powstań. - Czeczeni to bardzo dzielni ludzie, ale bezmyślni - pokiwał głową Abdułła. Tak jak Szamil, był Awarem i przejmował się dolą sąsiadów. - Nie potrafią żyć zgodnie, drą koty ze wszystkimi dookoła i sami ze sobą.

Na polanie, pośród sterty gipsowego gruzu tkwiły resztki cokołu. Niegdyś stał tu pomnik, który symbolizował wieczną przyjaźń między narodem rosyjskim a narodami Dagestanu. Dla komunistów przyjaźń narodziła się w miejscu, gdzie siwo-brody imam składał broń. W późnych latach osiemdziesiątych ktoś wysadził monument. Śledztwo toczyło się ślamazarnie i milicji nie udało się wykryć sprawcy. Wkrótce rozpadł się Związek Radziecki. Postępowanie umorzono. Rumowiska do dziś nikt nie uprzątnął.

Powrót do Machaczkały i znów wyjazd, tym razem na południe. Mijał czterdziesty dzień od śmierci malarza Dżawida Sadyki. Jego brat Arif poprosił mnie na muzułmańskie *pominki.* Zapakowaliśmy się w wynajęty autokar: rodzina zmarłego, Fejzudin i jeszcze kilkoro przyjaciół. Sami Lezgini, z wyjątkiem Osetyjczyka, Laka i Polaka. Cmentarz znajdował się w Belidżi, tuż nad granicą

azerbejdżańską. Na Kaukazie tradycja każe chować bliskich w rodzinnej wiosce.

W Belidżi bezrobocie wynosi sto procent. Nie ma żadnej pracy: kołchoz rozpadł się, dwie państwowe przetwórnie owoców zbankrutowały. Wielopokoleniowe rodziny utrzymują emeryci, którzy dostają świadczenia w gotówce. Poza tym panuje gospodarka naturalna - każdy chowa kury i sadzi ziemniaki na przydomowej działce. Wioska nie jest jakąś szczególną enklawą nędzy, bezrobocie dotknęło co czwartego Dagestańczyka, tutejsi ludzie radzą sobie jednak gorzej niż mieszkańcy aułów. Stracili nadzieję. Mówią, że władza w Machaczkale i w Moskwie o nich zapomniała.

W latach pięćdziesiątych przesiedlono na wybrzeże tysiące młodych górali. Mieli zbudować przemysł i Nowy Dagestan. Zamieszkali w betonowych osiedlach. Wstępowali do Komsomołu i do partii. Na zebraniach dowiadywali się, że imam Szamil był angielskim agentem, że starcy to ostoja reakcji, że Boga nie ma. Na ludowych zabawach pili na umór. Piją do dziś. Z żalu za złudzeniami, z tęsknoty do gór. Ich dzieci piją z rozpaczy. Wnuki wolą narkotyki, wyjeżdżają do miasta, gdzie zasilają szeregi gangów, albo przystają do wahhabitów.

Arif i Dżawid mieli szczęście, ich ojciec wyniósł się z Belidżi, gdy byli dziećmi. Dorastali w Machaczkale, skończyli studia, potem pierwszy osiadł w Moskwie, drugi miał właśnie przeprowadzić się do Niemiec. Żegnaliśmy go modlitwą i recytacją Koranu. Wiejskie baby roznosiły pierniki i owoce, jakby w podziękowaniu od zmarłego. Na

cmentarzu - *mizarze* - było mnóstwo nowych nagrobków. Częściej odchodzili mężczyźni. Czterdziestoletni, trzydziestoletni i młodsi. Zapijali się, ginęli w wypadkach samochodowych, padali na dyfteryt i cholerę.

Po uroczystości Arif wyruszył w góry. Zamierzał nabyć większą ilość czarnego wina, z którego słynął pobliski auł. W tym celu taszczył kanistry. Arif to kaukaski wilkołak. W Moskwie jest subtelnym intelektualistą, doktorem Rosyjskiej Akademii Nauk, publicystą najważniejszych gazet, ale kiedy znajdzie się w Lezgistanie, zaraz wyrastają mu kły. Wraz z przejściem na lezgiński spływa z niego wielkomiejski makijaż, odsłaniając dzikiego górala. O bójkach, które prowokował po barach, krążyły w Machaczkale legendy.

Arif zastukał do drzwi jednego z domów:

- Salam alejkum!

- Alejkum salam!

- Czy możemy zajść?

- Będzie to zaszczyt dla mnie i dla rodziny. Zachodźcie i zostańcie tak długo, jak chcecie. Jadła i herbaty na pewno nie zabraknie!

Przy poczęstunku potoczyła się rozmowa o dzieciach i pogodzie. Gospodarz wiedział, że Arif przyszedł po wino, bo ten kupował je każdego roku; Arif wiedział, że gospodarz wie. Ale wyłożenie kawy na ławę byłoby nietaktem. Świadczyłoby o braku szacunku dla kogoś, kto przyjął nas pod swój dach, o potraktowaniu go jak kupczyka. Zabawa polegała na przetrzymaniu partnera. Arifowi spieszyło się,

gospodarz też miał pewnie jakieś zajęcia - dwa razy wstawał od stołu, niby spojrzeć na konie, lecz jeszcze w drzwiach wyciągał zegarek. Pierwszy ustąpił Arif:

- Słyszałem, że winorośl ładnie w tym roku obrodziła.

- Bardzo ładnie! A jak się wino udało! Palce lizać! Chcecie spróbować? - chłop już sięgnął po gąsiorek.

- Dobre - oblizał się Arif. - Tylko czy nie za cierpkie?

- Wydaje się wam, herbata była mocno osłodzona.

- Rzeczywiście, teraz smakuje inaczej - zgodził się Arif po trzeciej szklance. - Nie macie więcej?

Gospodarz najpierw zaprzeczył. Zaklinał, że zrobił tylko kilka litrów dla przyjaciół, do których oczywiście zalicza Arifa. Potem tłumaczył, że takiego wina się nie sprzedaje. Wreszcie zaczął narzekać na drożyznę. W ten sposób dał znak, że przyszła pora finału - targowania się.

Być może ktoś dostrzeże w tych podchodach pustą formę. Być może w istocie niewiele treści zostało w kaukaskich obrzędach. Nawet na południu Dagestanu, nawet w aule. Obrzędy jednak trwają, bo pomagają żyć - porządkują świat i wyznaczają każdemu należne miejsce w społeczności. Nigdy na Kaukazie nie byłem zdany na własne siły, zawsze gdy potrzebowałem pomocy, otrzymywałem ją. Gospodarz-chytrus naprawdę przenocowałby Arifa i wszystkich żałobników, i zarżnąłby barana na kolację. I szczerze cieszył się z gości. Chociaż za wino policzył całkiem słono.

W sercu Lezgistanu dzieciaki nie mówią już po lezgińsku. Wstydzą się. Zagadnięte, szczebioczą po rosyjsku bądź po azersku, w zależności, po której stronie granicy mieszkają.

Wychowywane na moskiewskiej i bakijskiej telewizji, za kilka lat nie będą się mogły porozumieć. A w dziewiętnastym wieku pamiętnikarze z Europy nazywali Lezginami wszystkich Dagestańczyków, nierzadko nawet - wszystkich górali Kaukazu. Lezgini sławni byli ze swej waleczności, męstwa i straceńczej odwagi. Światu dali lezginkę, szybki taniec, wykonywany solowo przez mężczyzn lub w parze z kobietą.

W Belidżi nikt już nie umie tańczyć lezginki.

Z notatek (3)

3 listopada 2003

Zmarł Rasul Gamzatow. Poeta. Dagestański wieszcz. Awar.

Poznałem go w grudniu 1996 roku. Zapytałem o portret Lenina, który wisiał w gabinecie. Powiedział, że z tym imieniem wyrósł i nie będzie zdejmować obrazu tylko dlatego, że teraz wypada mówić o Leninie źle, góral tak nie postępuje. Rewolucja, mówił mi, przyniosła wiele zła, ale w Machaczkale powstało osiem teatrów i sześć szkół wyższych: są powody, dla których należałoby Lenina zdjąć, ale jest więcej powodów, żeby zostawić go na miejscu.

W młodości Gamzatow napisał wiersz, szkalujący imama Szamila. Nigdy sobie nie wybaczył - choć inni już zapomnieli. W *Moim Dagestanie* kajał się:

Znów mi się przypomniała ta sprawa zdradziecka,
Po której w sercu noszę niezgojoną ranę.
...Był legendą mych dziadów i ojców. Od dziecka
Znam wszystkie pieśni o nim, w aułach śpiewane. [...]
A ojciec mój przed śmiercią jeszcze miał gotowy
O bohaterze naszym poemat. Niestety,
Szamil stał się ofiarą bezprzykładnej zmowy;
Oszczerstwo zadusiło piękny twór poety.
Gdyby nie to zmartwienie, tak nagłe, tak duże,

Ojciec pożyłby jeszcze. I moja w tym wina:
Uwierzyłem wszystkiemu i w oszczerczym chórze
Przeciwko ojcu zabrzmiał pochopny wiersz syna.
Szablę przodka, co wrogów cięła w bitwach tylu -
Odurzony, nie widząc, jaka stąd wynika
Hańba dla mnie - tę szablę w swym nędznym paszkwilu
Nazwałem bronią zdrajcy, bronią buntownika!
Nawet noc, nawet sen już nie jest dla mnie ulgą,
Ledwo zgaszę światło - ktoś we drzwiach majaczy;
To surowy obrońca aułu Achulgo,
Starzec z Gunibu wchodzi ku mojej rozpaczy.
I mówi: „Długo walcząc, zniosłem cierpień wiele,
Swojej krwi nie szczędziłem, gdy kraj był w żałobie,
Dziewiętnaście mi dali ran nieprzyjaciele,
A dwudziestą od ciebie mam, ty żółtodziobie”.

Z zaangażowania w komunizm Gamzatow nie tłumaczył się. Umiał łączyć sowiecki patriotyzm z wiernością kaukaskim tradycjom i przywiązaniem do islamu. Powtarzał, że Dagestan nie wszedł w skład Rosji dobrowolnie (co wmawiała sowiecka propaganda) i dobrowolnie Rosji nie opuści. I jeszcze, że człowiek dwa lata uczy się mówić, a sześćdziesiąt - trzymać język za zębami.

9 kwietnia 2010

Achmet Jarłykapow z Instytutu Etnologii i Antropologii Rosyjskiej Akademii Nauk, znawca kaukaskiego islamu, na seminarium w Warszawie:

- Następuje intensywna islamizacja i szariatyzacja regionu. Proces obejmuje wszystkie grupy społeczne, ale w największym stopniu inteligencję i młodzież. Pogłębia się rozziew między osobami świeckimi a ultrareligijnymi, przy czym jedni i drudzy radykalizują się, na przykład zrywane są występy moskiewskich artystów estradowych (jako nieobyczajne), rozbijane i palone sklepy, które sprzedają alkohol.

Islamizacja idzie w dwóch kierunkach: sufickim (tradycyjnym dla Kaukazu) i wahhabickim (nietradycyjnym). Struktury państwa wspierają islamizację suficką, aby zwalczyć wahhabicką - a to trochę tak, jakby gasić ogień benzyną.

Sprawiedliwy parytet - czyli zapewnienie wszystkim kaukaskim narodom proporcjonalnej reprezentacji w lokalnych władzach - jest niemożliwy. Nie da się zaspokoić wszystkich żądań i roszczeń - i nie tędy droga. Potrzebna jest idea jednocząca społeczeństwa, a nie dzieląca je. Radykałowie już to zrozumieli. A Moskwa wciąż uprawia politykę, kierując się zasadą „dziel i rządź”.

Hinalug

Pewien starzec z Hinalugu wędrował doliną Kudijalczaju. Gdy zbliżył się do aułu Susaj, napotkał kilku mężczyzn i pozdrowił ich. Oni jednak nie odpowiedzieli i nie poprosili, aby ogrzał się przy ognisku. Zobaczywszy zaś, jak licho jest odziany, jak wysłużoną ma baranicę i jak bardzo zniszczoną papachę, zaczęli zeń szydzić: „Cóż za niedźwiedź nadchodzi! Ale biedaczek wyliniał!”. Starzec odparł im na to: „Nie jestem niedźwiedziem. Żaden niedźwiedź nie zapuści się tam, gdzie grasują psy”. Lecz oni nie zawstydzili się i wciąż mu urągali. Wtedy starzec powiedział: „Moja droga będzie prowadzić przez wasze cmentarze”.

Z hinalugijskiej przypowieści

- Za Wielkiego Boga! - zaproponowałem.

- Za Wielkiego Boga! - zgodził się Jacek.

Wypiliśmy.

Minęła dziesiąta. W hotelu i w całym mieście wyłączyli światło. Równocześnie zerwał się wiatr: szarpnął blaszanym dachem, zadudnił w rurach i z impetem uderzył w okno. Jęknęły nieszczelne futryny, zamigotała dopiero co zapalona świeczka. Nagle zrobiło się bardzo zimno.

W pokoju były stół, taboret i trzy żelazne łóżka ze zbutwiałymi materacami. Były jeszcze cieknący kran oraz miednica, która zastępowała umywalkę. W szparach pomiędzy podłogą a ścianami kłębiło się robactwo. Nie

wiedzieliśmy, jak długo przyjdzie nam tu mieszkać. Trzeba było jakoś się zagospodarować.

Zeszliśmy po omacku na parter. Hall był pusty, ani śladu recepcjonisty, który jeszcze godzinę wcześniej urzędował za kontuarem podobnym do szkolnej ławy. W przybudówce, gdzie w ciągu dnia uwijał się fryzjer, golący swoich klientów archaiczną, wygiętą w półksiężyc brzytwą, teraz popiskiwały szczury. Pod nogami chlupotała woda, szarpane wiatrem drzwi trzaskały w ościeżnicę. Chcieliśmy je zamknąć, ale nie było klamki.

Wróciliśmy na piętro. Nigdzie żywego ducha. Tego dnia na pewno byliśmy jedynymi gośćmi. A może nikt nie zatrzymywał się tu od tygodnia, miesiąca, roku? W składziku koło schodów znaleźliśmy kilka koców, cienkich jak prześcieradła. Dobre i to. Jednym uszczelniliśmy okno w pokoju, pozostałymi się okryliśmy. W kącie położyliśmy kawałek chleba i trochę zieleniny, żeby zwabić karaluchy. Wolnym łóżkiem zastawiliśmy wejście. Nic więcej nie było do roboty.

- Za Uastyrdżego! - brnąłem.

- Za Uastyrdżego! - zawtórował Jacek.

Miękki azerbejdżański koniak zagryzaliśmy czekoladą.

Do miasteczka Kuba (Guba) przyjechaliśmy autobusem z Baku w samo południe. Na dworcu miał czekać pan Bajramow, znajomy naszych przyjaciół. Poprzedniego dnia rozmawialiśmy z nim przez telefon. Obiecywał, że transport do Hinalugu załatwi od ręki, że natychmiast ruszymy w dalszą drogę. Baj-ramowa jednak nie było.

Poszliśmy do urzędu powiatowego, gdzie Bajramow pracował. Spodziewano się go lada chwila. Coś mu wypadło. Przysiedliśmy w sali konferencyjnej, wypiliśmy podsuniętą herbatę. Bajramow nie nadchodził. Mijały kwadranse, piliśmy kolejne herbaty. Bajramowa ciągle nie było. Zniecierpliwieni, zagadnęliśmy o Hinalug naczelnika. Potwierdził, że to żaden problem. Kazał przyjść za pół godziny. Przyszliśmy. Naczelnika nie było. Sekretarka radziła poczekać. Poczekaliśmy, wróciliśmy. Nie było sekretarki.

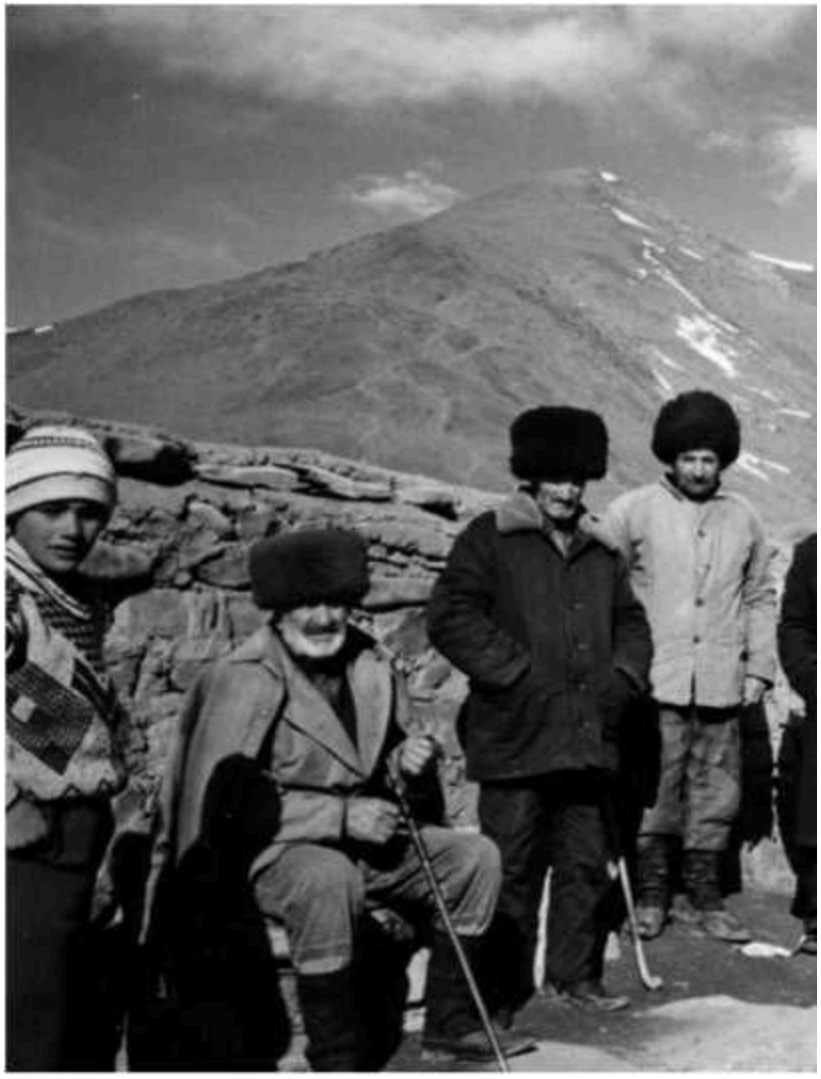

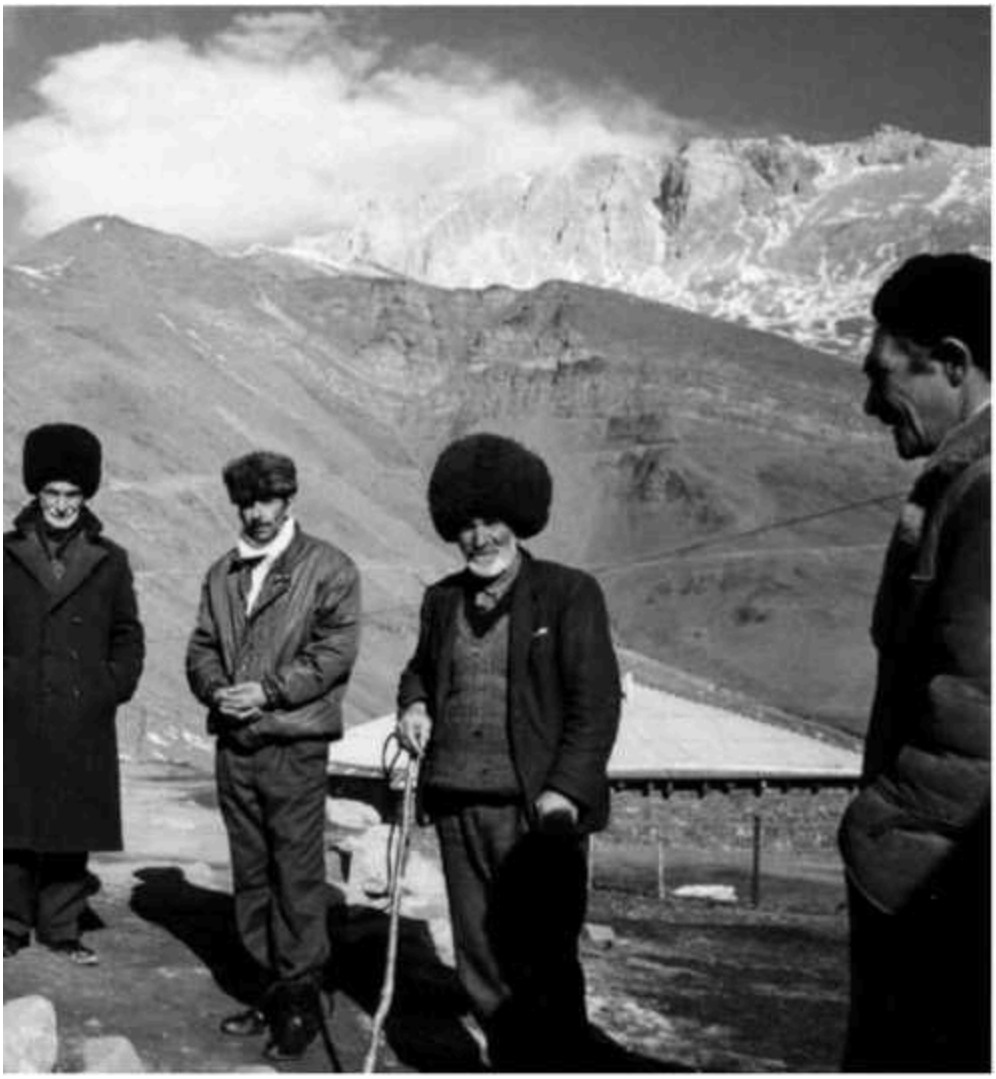

Hinalug

Poszliśmy na policję. Komendant znał Bajramowa i przyrzekł go odnaleźć. Podobnie jak urzędnicy był zdania, że do Hinalugu dostać się łatwo. Tymczasem odwiózł nas do hotelu. Przez następne godziny krążyliśmy pomiędzy pokojem, gdzie zostawiliśmy rzeczy, a pobliskim skwerem. Stały tam budy i można było kupić jedzenie. Raz oddaliliśmy się na dłużej. W tym czasie był policjant. Powiedział recepcjoniście, że ktoś przyjdzie i zabierze nas na kolację. Od tej pory nie ruszaliśmy się na krok, lecz nikt

nie przyszedł. Zrobiła się noc, a my wciąż tkwiliśmy w Kubie.

Pomysł, by prosić o pomoc kaukaskich bogów, zrodziła krańcowa desperacja.

Czasem w podróży bywają dni, kiedy nic się nie udaje. Plany nagle biorą w łeb, a ludzie ni z tego, ni z owego odwracają się plecami. Nie chodzi o to, że po prostu coś nie wyjdzie, że ucieknie ostatni autobus albo że nie ma gdzie wymienić pieniędzy. Chodzi o cały ciąg fatalnych zbiegów okoliczności, zbyt nieprawdopodobny i irracjonalny, by można było mówić o zwyczajnym pechu. Nie należy się wówczas miotać i wpadać w złość. Nie należy upierać się przy ustalonym wcześniej programie. Zamiast tłuc głową w mur, lepiej złą passę przeczekać. Karta musi się w końcu odwrócić.

Takie dni uczą pokory, narzucają dystans. Pozwalają złapać oddech. Przerwa w podróży to dobra okazja, by uzupełnić notatki, nadrobić zaległości w lekturze, pouczyć się języka albo zrobić przepierkę. Zająć się mnóstwem pożytecznych rzeczy, na które zawsze brakuje czasu.

Wtedy w Kubie też powinniśmy poddać się losowi: zostać w mieście, które jest ważnym ośrodkiem azerbejdżańskich Lezginów, zwiedzić meczety, przejść na drugi brzeg Kudijalczaju do żydowskiego osiedla Krasnaja Słoboda, rzucić okiem na okolicę. Hinalug zawładnął już jednak naszą wyobraźnią. Przyciągał. Hipnotyzował. Odurzał. Znajdowaliśmy się czterdzieści kilometrów od celu i

musieliśmy się bardzo spieszyć - była połowa listopada, w każdej chwili śnieg mógł zasypać przełęcze.

Toasty były jak podpisanie cyrografu.

Kaukaz przykłada do toastów ogromną wagę. Wygłaszane są z namaszczeniem, słuchane zawsze w milczącym skupieniu. Ktoś, kto mówi piękne toasty, zyskuje szacunek otoczenia. Arcymistrzami tej sztuki są Gruzini. Na Kaukazie Północnym kolejność toastów jest sztywna i zależy od okazji, dla której zebrano się za stołem. Jeden porządek obowiązuje na weselu, inny na stypie, a jeszcze inny - gdy świętuje się narodziny dziecka. Poza tym po swojemu biesiadują Ingusze, po swojemu Czerkiesi, Dagestańczycy czy Osetyjczycy. We wszystkich przypadkach listę otwiera jednak zwykle toast za Wielkiego Boga.

Pić za Boga?.

Północny Kaukaz zna wielu bogów. Wcześnie dotarł tam Bóg chrześcijan, na dobre zadomowił się Allah, gdzieniegdzie wierni modlą się do żydowskiego Jahwe. Ta trójca nie wyparła bóstw pogańskich, starszych o tysiąclecia. Religie i kulty przeniknęły się nawzajem, przemieszały i zlały ze sobą. Osetyjski bóg Uastyrdży, opiekun podróżnych i patron wojowników, zwykle przedstawiany jako zbrojny jeździec na białym koniu, upodobnił się z czasem do czczonego w pobliskiej Gruzji świętego Jerzego, ale wciąż domaga się od dawno ochrzczonego ludu ofiary z wódki i barana. Muzułmanie z Inguszetii odwiedzają święte gaje, a muzułmanie z Karaczaju oddają pokłon świętym turniom.

Kaukaski góral szanuje wszystkich bogów, choć najczęściej nie słucha żadnego. Podnosząc kielich za Wielkiego Boga - i przezornie nie nazywając jego imienia - daje wyraz przekonaniu, że wśród wielu bytów nadprzyrodzonych jakaś jedna Istota musi być przecież najważniejsza, największa, najpotężniejsza oraz że owej boskiej hierarchii nie sposób pojąć ludzkim umysłem. I że nieznanemu Wszechmogącemu najlepiej oddać cześć, pijąc zań, a następnie roniąc ostatnie krople na ziemię.

Tak samo postępuje góral, prosząc o pomoc inne, pomniejsze bóstwo, odpowiedzialne za konkretną dziedzinę życia i już wymienione z imienia - również pije za nie i roni kilka kropel.

Następnego dnia wszystko ułożyło się po naszej myśli. O dziewiątej do hotelu przyszedł Bajramow. O dziesiątej zjedliśmy śniadanie. O jedenastej znaleźliśmy człowieka, który właśnie jechał do Hinalugu i zgodził się wziąć nas ze sobą. O dwunastej trzydzieści siedzieliśmy z Jackiem w kabinie GAZa-66, numer rejestracyjny 2955 AGF .

Człowiek nazywał się Gearczin i pokonywał tę trasę dwa razy w tygodniu. Do aułu woził miejskie produkty, z powrotem zabierał kozy i barany, sprzedawane potem na rynku w Kubie. Pracował na własny rachunek. Jego ciężarówka, genialna radziecka maszyna, zaprojektowana na bezdroża i przysadzista niczym chrabąszcz - służyła również jako autobus. Państwowa komunikacja dociera z Kuby - nieregularnie - tylko do wsi Kryzdahna, dalsze

dwadzieścia kilometrów gór trzeba wtedy przejść lub przejechać wierzchem.

Skierowaliśmy się na zachód, w stronę głównego grzbietu Kaukazu.

Asfalt skończył się niedaleko za Kubą. Wkrótce potem skończyła się droga gruntowa. W miejscu, gdzie dolina towarzyszącej nam od miasta rzeki Kudijalczaj raptownie zawęziła się do kanionu, założyliśmy łańcuchy. Rozpoczęło się mozolne, metr po metrze, forsowanie wijącej się pod górę skalnej ścieżki. Co jakiś czas stawaliśmy, by usunąć tarasujące przejazd głazy, kilka razy przeprawialiśmy się przez górskie potoki, zanurzeni w wodę aż po zderzaki. Następnie wspinaliśmy się na przełaj po hali, pokonując stok o trzydziestostopniowym nachyleniu. W pewnym momencie musieliśmy podłożyć pod koła kamienie, bo ciężarówka mimo łańcuchów zaczęła się zsuwać. Wreszcie osiągnęliśmy przełęcz. Z niej zjechaliśmy w rozległą, płaską kotlinę, pooraną siecią strumyków i przeciętą linią słupów elektrycznych, które na tym pustkowiu wyglądały jak część przyrody.

Słupy były znakiem, że zbliżamy się do ludzkich sadyb. Jak na zawołanie zza skały wyłonił się jeździec - siwobrody starzec na białym koniu. Zatrzymał się sto metrów od nas, chwilę patrzył w naszą stronę, po czym spiął wierzchowca i roztopił się w zachodzącym słońcu. Po kilku minutach dostrzegliśmy pierwsze hinalugijskie domostwa.

Jazda trwała pięć godzin. Średnia prędkość wyniosła osiem kilometrów na godzinę.

Hinalug leży na wierzchołku liczącej 2300 metrów góry i przypomina Machu Picchu. Strome zbocza szczelnie oblepiają kamienne domy. Niektóre mają kilkaset lat, inne powstały niedawno, ale wyglądają podobnie, sposób budowania nie zmienił się od wieków. Domy łączą się ze sobą, tworząc zwarte wertykalne lcwartały. Płaskie dachy służą mieszkającym wyżej sąsiadom za podwórza.

Zbocza wznoszących się nad Hinalugiem masywów Szachdagu, Tufandagu i Kyzyłkai (Gyzył Gai) to jeden ogromny cmentarz. Na dziesiątkach hektarów zalegają ludzkie kości, wypłukane z ziemi przez wodę i wygładzone przez wiatr. Są wierną kroniką aułu. Zaświadczają, że człowiek osiedlał się nad górnym Kudijalczajem od zarania dziejów.

Współczesny Hinalug liczy dwa tysiące mieszkańców. Hinalugijczycy stanowią odrębne plemię, a może nawet odrębny naród. Mówią po hinalugijsku, który nie jest zrozumiały nawet w najbliższych wioskach. Mają własny alfabet, utworzony w czasach Chruszczowa na bazie cyrylicy, i składający się z aż siedemdziesięciu siedmiu liter. Większość spośród pięćdziesięciu dziewięciu spółgłosek jest dla Polaka nie do wymówienia.

Zatrzymaliśmy się w domu Husseina Agi, czterdziestopięcioletniego naczelnika osady. Odprowadzał nas wianuszek mężczyzn, ciekawych wieści ze świata, narzucających się ze swoją serdecznością: ktoś wziął nasze torby, ktoś inny częstował po drodze herbatą. Goście rzadko

odwiedzają Hinalug i każda wizyta jest wydarzeniem. Wizytę obcokrajowców wspomina się latami.

Stół w pokoju gościnnym był tak niski, że musieliśmy usiąść w kucki na dywanie. Drugi dywan służył jako obrus. Dywany wisiały także na ścianach i drzwiach. Wszystkie były ręcznie tkane, a ich wzory przypominały nam sztukę Majów. Obok pieca suszyła się pryzma krowiego nawozu. To jedyny opał, na tej wysokości drzewa już nie rosną.

Jedliśmy kotlety wołowe ze śmietaną, chleb, ser i kiszoną czerwoną kapustę.

- To nie sekret, że za Związku Radzieckiego żyło się nam lepiej - zaczął gospodarz. Jak większość tutejszych mężczyzn znał trochę rosyjski, którego nauczył się w armii, i przyzwoicie władał azerbejdżańskim. Miejscowe kobiety rozumiały oba języki, ale mówiły tylko po hinalugijsku.

- Nasz pasterski kołchoz był największy w Azerbejdżanie - wspominał. - W osadzie działały dom kultury i klub sportowy, były biblioteka i poczta. Dostawaliśmy premię za pracę w trudnych warunkach. Teraz nie ma pracy i nie ma pieniędzy. Nikt się o nas nie troszczy. Jesteśmy zdani na siebie.

Górale z Hinalugu żyją z pasterstwa i myślistwa. Mają własne mięso, nabiał i wełnę, ale muszą kupować mąkę, sól, cukier czy herbatę. Wszystko to przywozi się z Kuby - a dojazd do miasteczka kosztuje tyle, ile pensja w bankrutującym kołchozie. Ci, którzy pierwsi poszli na swoje i dochowali się dużych stad, radzą sobie nie najgorzej. Większość trzymała się jednak kołchozu. Teraz nie stać ich

na nic. Masowo wyjeżdżają, zostawiając na pastwę losu domy, gdzie mieszkały pokolenia ich przodków. Zapytaliśmy Husseina, czy ma pomysł, jak zatrzymać ludzi i zapewnić im godziwe życie. - Chciałbym, żeby pomogła nam jakaś zagraniczna organizacja. Najlepiej byłoby uruchomić tutaj fabrykę, rozwinąć przemysł.

Al-ed-Din Babajew, emerytowany nauczyciel rosyjskiego opowiada, że hinalugijska tradycja zaczęła umierać na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Wszystko zaczęło się od drogi - tej, którą przyjechaliśmy z Kuby. W innych warunkach nikt nie nazwałby jej nawet drogą, ale dla Hinalugu przebity w skałach szlak znaczył więcej niż autostrada.

Do wioski zaczęły docierać ciężarówki. Przywoziły nowoczesność: objazdowe kino, muzykę na płytach gramofonowych, piłki do gry, miejskie ubrania i wódkę. Dużo wódki. Wkrótce pojawiła się telewizja - prąd dociągnięto wraz z drogą. Pieśniarze, zwani *aszugami,* którzy akompaniowali sobie na zurmie, starcy, aksakałowie, dzielący się w swoich przypowieściach zagęszczoną mądrością pokoleń, nie mieli z tą konkurencją szans. Zniknęli, rozpłynęli się w oczach, w ciągu kilku, może kilkunastu lat.

Podczas spisu powszechnego w 1979 roku Al-ed-Din Babajew i poeta Rahim Ałchas (jedyny, który wydawał książki po hinalugijsku) zadeklarowali narodowość hinalugijską. Bunt został spacyfikowany w zarodku. Przysłana z Baku komisja wyjaśniła, że ankieta takiej

odpowiedzi nie przewiduje. Babajew i Ałchas zrozumieli i zapisali się jako Azerbejdżanie. Więcej nikt się nie wychylał.

Utraciwszy tradycję, Hinalugijczycy stracili barierę immunologiczną, która chroniła ich odrębność, nie pozwalała rozpuścić się w otaczających nacjach. Został im jeszcze język. Ale języki też nie są nieśmiertelne. W przedostatniej dekadzie dwudziestego wieku zamilkł ubyski, którym niegdyś posługiwało się duże i bitne plemię, spokrewnione z Czerkiesami. Abchaski pisarz Bagrat Szynkuba napisał o Ubychach powieść *Posliednij iz uszedszich* (Ostatni z rodu Ubychów).

Ajwaz zaprowadził nas do cudownego źródła.

Hinalugijczycy uważają się za muzułmanów. Islam przyjęli ponad tysiąc lat temu, jeszcze od Arabów. W aule znajduje się meczet, wybudowany w 968 roku (czyli dwa lata po chrzcie Polski). Jest zupełnie pusty, wszystko wywieziono do muzeum w Baku. Życie religijne toczy się w drugim meczecie, osiemnastowiecznym - zwanym nowym. Modłom i celebrom przewodniczy wioskowy mułła.

Jak niemal wszędzie na Kaukazie, wyznawanie islamu nie przeszkadza wiernym czcić sił przyrody.

Najświętsze miejsce Hinalugu leży spory kawałek za osadą. Wydeptaną przez pokolenia pielgrzymów ścieżką dochodzi się do płytkiej groty. Przed wejściem należy złożyć ofiarę. Wśród powtykanych między kamienie azerbejdżańskich manatów widać jeszcze sporo rubli ZSRR.

Źródło bije w głębi groty i przy dobrym słońcu mieni się tęczą barw. Światło wpada do środka przez czółenkowatą szczelinę w skale. Nocami przez tę szczelinę przechodzą kobiety, które chcą urodzić dziecko. Muszą przejść cztery razy i wypowiedzieć magiczną formułę.

Cudownej wody nie wolno używać do mycia. Można ją tylko pić. Daje jasność umysłu i energię, leczy wszelkie dolegliwości. W cięższych przypadkach można rozprowadzić w niej grudkę ziemi z dna jaskini. Można też zmoczyć fragment bielizny, ręcznika albo prześcieradła, a potem umieścić strzęp na pobliskim zboczu ze słowami: „Wszystko, co we mnie chore, niech tutaj zostanie”.

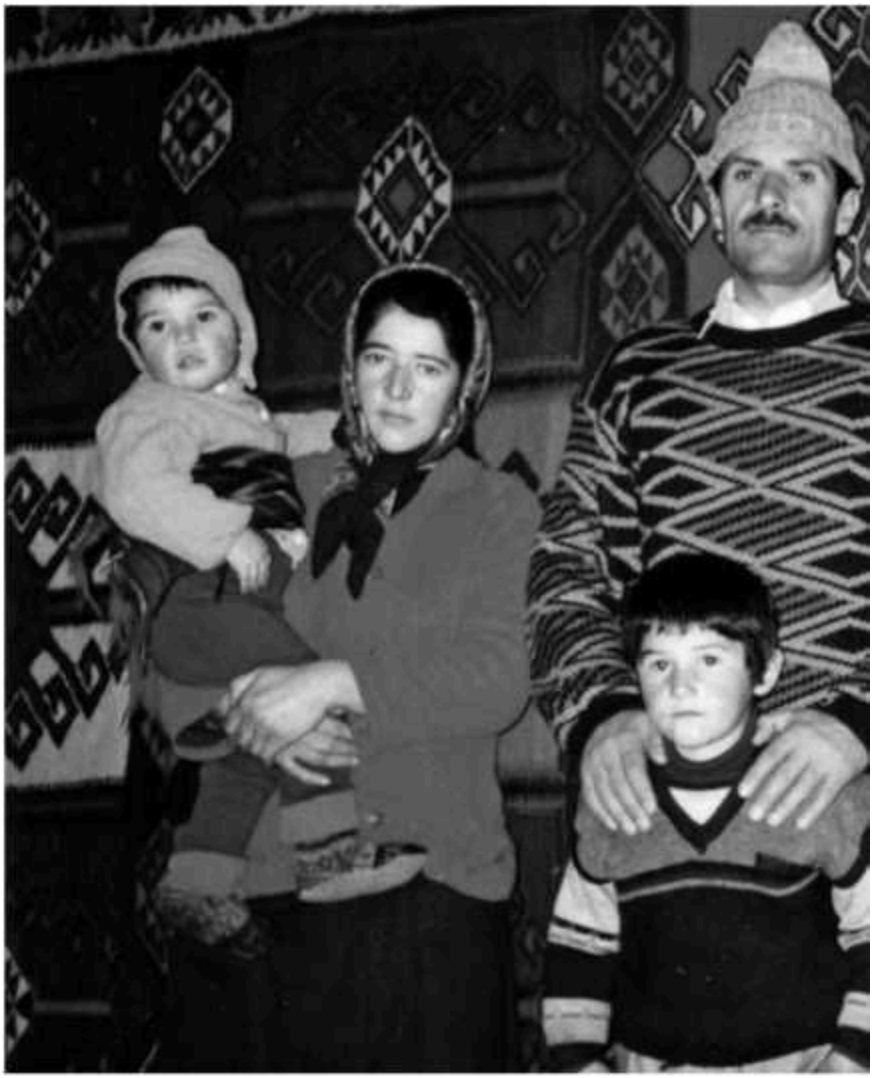

Hinalug

W czasach, których nie sięga pamięć, żyło w tej okolicy czterdziestu braci. Byli to najmądrzejsi, najsprawiedliwsi i najsilniej wierzący w Boga ludzie, jacy kiedykolwiek stąpali po ziemi. Dzielili się ze sobą wszystkim, co mieli, a dni upływały im na pracy i modlitwie. W Hinalugu, nie mówiąc o dalszych aułach, nikt o świątobliwych mężach nie wiedział. Oni sami, zajęci codziennym trudem, także nie odwiedzali sąsiadów. Zdarzyło się jednak nieszczęście. Nad kotlinę napłynęło od strony Dagestanu, zza masywu

Kyzyłkai, zatrute powietrze. Górale zaczęli padać jak muchy i nie było nawet komu chować zmarłych. Czterdziestu braci pośpieszyło na ratunek. Krzykiem z czterdziestu gardeł rozgonili śmiertelne miazmaty. Pozostałych przy życiu kurowali wodą i ziemią. Hinalugijczcycy pielgrzymują do źródła na pamiątkę tamtych wydarzeń.

Dla Ajwaza historia o świętych braciach jest równie realna, jak jego własne wspomnienia z wojska. Nie miał znajomości jak Hussein, który załatwił sobie służbę w Kubie - wysłano go aż na Kołymę. Tam zniszczył zdrowie. Okulał, nabawił się gruźlicy. Po powrocie pracował w kołchozie przy oporządzaniu baranów. Na pastucha już się nie nadawał.

Pół roku przed naszym przyjazdem Ajwaz otworzył bar - pierwszy w dziejach Hinalugu. Gościom oferuje herbatę, tureckie piwo, gruzińską wódkę Stalin i batoniki Mars. Wiedzie mu się nie najlepiej, ale do interesu nie dokłada. Daje zarobić kuzynce, zastępującej go przy bufecie, i Gearczinowi, który dowozi zaopatrzenie. O wyjeździe z aułu nie myśli.

Choroba przyszła wieczorem. Siedzieliśmy z Husseinem w pokoju gościnnym, kiedy nagle złapały mnie dreszcze. Pomyślałem, że się przeziębiłem i wziąłem aspirynę. Dreszcze nie przeszły. Nasiliły się. Zaniepokojony, sięgnąłem po antybiotyk, popiłem gorącą herbatą. Nie pomogło. Trząsłem się z zimna i równocześnie czułem, jak rośnie mi temperatura. Jacek i Hussein położyli mnie spać. Przykryty kilkoma kołdrami, dygotałem coraz bardziej.

Szybkość, z jaką pogarszał się mój stan, przekraczała wyobraźnię. Przejście od zdrowia do choroby trwało niecałą godzinę, bez wcześniejszych objawów, bez sygnałów zbliżającej się niemocy, niemal bez stadiów pośrednich!

Powinniśmy uświadomić sobie to od razu - w Hinalugu działy się rzeczy niewytłumaczalne. Najpierw zwariował japoński zegarek Jacka. Wyświetlacz nagle zamigotał, a cyfry zaczęły układać się w nieistniejące godziny: 21.61, 25.75. (W dniu wyjazdu zegarek sam się nastawił i do końca podróży pokazywał dokładny czas). Potem oszalał mój dyktafon. Nagranie wcześniejsze znalazło się na kasecie za późniejszym, jedna z rozmów zapisała się dwa razy. Własnym życiem żył także mój aparat fotograficzny, ale o tym dowiedziałem się dopiero w kraju. Na kliszy, pomiędzy dwoma zrobionymi po sobie ujęciami rodziny Husseina, znalazł się kadr z pluszowym misiem. W żadnym domu takiego nie było.

Otaczała nas magia, znajdowała się we wdychanym powietrzu i w wodzie. Była czymś oczywistym i zwykłym, czymś, na co przestaje się zwracać uwagę. Znaleźliśmy się pod wpływem sił, których nie rozumieliśmy, lecz których obecność odczuwaliśmy na każdym kroku. Nie demonizowaliśmy ich. Próbowaliśmy za wszelką cenę znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie. Takiego jednak nie było.

Tymczasem osłabłem do tego stopnia, że nie miałem siły ruszyć powieką. Dreszcze kłuły milionem lodowatych igieł. Oddech skrócił się, spłycił, jak po dużym wysiłku. Gorączka

przekroczyła czterdzieści dwa stopnie. Wtem ból powoli ustępuje: unoszę się i płynę, jestem w rodzinnej Łodzi, widzę przerażone oczy Jacka, mam dwanaście lat, nie przygotowałem się z fizyki, a nauczycielka wywołuje mnie do tablicy, jak tu się uczyć, właśnie zaczyna się mundial! Hussein wpatruje się w ścianę, dziś w „Panoramie” ukaże się plakat polskiej drużyny, kiosk jest po drugiej stronie ulicy, przebiegamy na czerwonym świetle, kolega wpada pod autobus.

Na krótko wtedy wróciła mi świadomość i zdałem sobie sprawę, że umieram. Uspokoiłem się. A więc pogrzebią mnie w Hinalugu. Zdumiewająco łatwo żegnałem się ze światem. Śmierć nie jest straszna. Jacku, opowiesz rodzicom.

Konając, nie myśli się o pracy, karierze, zabawie, książkach, podróżach, przyjaciołach. Konając, myśli się o...

Jasność, potem ciemność. Znowu ból.

Wystąpił pierwszy pot. Jednak będę żył.

Gorączka spadła, dreszcze wolno przechodziły. Będę żył - lecz rekonwalescencja potrwa tygodnie. Zostanę tutaj do wiosny. Przełęcze lada moment pokryją się śniegiem.

Na przemian to zasypiałem, to budziłem się. Z niewiarygodnym wysiłkiem, pokonując opór zbuntowanej przepony, opowiadałem Jackowi hinalugijskie przypowieści, zebrane przez Ragima Ałchasa. Zacząłem walczyć. Dopiero teraz.

Rano czułem się obolały i bardzo słaby, ale - było mi lepiej. Pomyślałem, że poleżę parę dni, a potem jednak

spróbujemy zjechać do miasta. Z Kuby trzeba będzie wziąć taksówkę do Baku, następnie - polecieć do Moskwy. Może zdążymy przed śniegiem?

Wyzdrowiałem szybciej niż zachorowałem. W ciągu kwadransa wróciły mi siły i wstałem z łóżka. Wtedy zaniemógł Jacek. Na szczęście cierpiał znacznie krócej ode mnie.

Przyszedł Ajwaz. Dowiedział się o naszych przygodach i przyniósł kilka litrów źródlanej wody:

- Bóg was wysłuchał!

- Jak to?

- Zabrał wam choroby. Obaj mieliście przesilenie.

Wracaliśmy inną drogą, żeby zobaczyć jeszcze jedno miejsce kultu. Był to symboliczny grób pewnego człowieka, który już za życia uchodził za świętego. W chwili śmierci jego ciało zniknęło. Odleciało prosto do Mekki. Syn tego człowieka żyje do dzisiaj. Czasami wpada w szał i biega nago po aule. Uspokaja go dopiero woda z cudownego źródła.

Znowu jechaliśmy GAZ-em 66 (numery: 2231 agf). Tym razem z Khalidem, który był kierowcą w kołchozie i sąsiadem Husseina. Kotlina przed przełęczą wydała się nam mniejsza niż poprzednio, a sama przełęcz - niższa. W miejscu, gdzie wtedy zobaczyliśmy starca na białym koniu, teraz pojawił się tylko biały koń. Potem nad autem szybował przez chwilę orzeł. Znad Tufandagu nadciągały ołowiane chmury. Khalid patrzył na nie z niepokojem, coś mruczał i na ile to było możliwe - dodawał gazu. Nieuchronnie zbliżał

się wielki śnieg, który na trzy miesiące w roku odcina Hinalug od świata. W połowie drogi minęliśmy się z Gearczinem. Też się spieszył. Robił ostatni kurs w sezonie, musiał przed śniegiem zdążyć do Kuby.

Stanęliśmy u wylotu kanionu, żeby zdjąć łańcuchy. Pod nami huczał Kudijalczaj, a nad naszymi głowami rozgrywał się powietrzny teatr. Prące na wschód cumulonimbusy zatrzymywały się na turniach i. zawracały. Bliżej nas lśniło czyste niebo, urozmaicone kilkoma wesołymi obłoczkami i lekką mgiełką. Linia turni wyglądała jak granica dwóch światów. Z naszej strony były Kuba, Siazań, Sumgait i wreszcie Baku, skąd już dokądkolwiek można polecieć samolotem, z tamtej - przełęcz, kotlina oraz auł Hinalug ze swoimi cmentarzami, meczetami i cudownym źródłem.

Z notatek (4)

26 maja 2010

Mail od Moniki Bułaj. Wydaje w Polsce książkę. Tytuł roboczy: *Od bram Kaukazu do Jeruzalem Północy*.

Monika mieszka we Włoszech. Od lat jeździ po obrzeżach Europy. Filmuje, fotografuje i opisuje zapomniane wierzenia, odchodzące tradycje, kulturowe pogranicza i mikroskopijne społeczności, które w epoce globalizacji uparcie bronią swojego prawa do życia. Efektem wędrówek, które z czasem objęły także północną Afrykę i kawał Azji, stał się projekt *Boży ludzie,* który latami dojrzewał, owocował pojedynczymi wystawami i publikacjami, wreszcie przybrał formę książki.

O Hinalugu Monika dowiedziała się z pierwszego wydania *Planety*. Już wtedy myślała o podróżach na Kaukaz i zaczęła pojawiać się w Azerbejdżanie. Mieszkałem w tym czasie w Baku i zdarzało się nam razem jeździć w góry, choć po aułach chodziliśmy zwykle oddzielnie, każde swoją ścieżką. Zebrany przez siebie materiał Monika zawarła w kolejnej książce, *Figli di Noe,* czyli *Dzieci Noego.* Zdążyła w niej jeszcze uchwycić ostatnie mgnienia hinalugijskiej magii.

Tymczasem drogę do Hinalugu wyłożono asfaltem. Dziś można tam pojechać samochodem osobowym. Pojawiły się telefony komórkowe i zaczęli docierać turyści - ale wieś

pustoszeje. Pewnie za kilka lat zupełnie się wyludni. Opisałem to wszystko w *Toaście za przodków*.

Zikr

Widziałem również w tych dniach księżniczkę czeczeńską, którą wypadki wojenne przywiodły aż do Astrachania. Jest niebrzydka i na swój sposób wykształcona, to znaczy zna język turecki, jakim mówią w Szirwanie, nie potrafi się jednak pozbyć przesądów swego plemienia. Uważa, że kraj, w którym nikt nie rabuje na gościńcach, tchnie monotonią i nudą, a skradziona chusta sprawia jej większą radość niż kupiony naszyjnik z pereł. Mówi, że książęta z jej rodziny od początku świata zawsze rabowali podróżnych na drodze wiodącej do Tyflisu lub do Tarki i że za nic w świecie nie chciałaby, żeby jej krewni i przyjaciele dowiedzieli się, iż poślubiła mężczyznę, który nie żyje z grabieży.

Jan Potocki, 1797

O nienawiści do Rosjan nie mówił nikt. Uczucie, jakiego doznawali wszyscy Czeczeńcy od małego do starego, było silniejsze niż nienawiść. Nie była to nienawiść, tylko nieuznawanie tych rosyjskich psów za ludzi i taki wstręt, obrzydzenie i zdumienie wobec bezsensownego okrucieństwa tych istot, iż chęć wytępienia ich, podobnie jak chęć wytępienia szczurów, jadowitych pająków i wilków, była uczuciem równie naturalnym jak instynkt samozachowawczy.

Lew Tołstoj, 1904

Ktoś w Groznym podarował mi kasetę: zbiór czeczeńskich pieśni bojowych. Opowiadały o walce w imię honoru, o świętym obowiązku obrony ojczyzny i o sile czerpanej z islamu. Uderzał w tych pieśniach skrajny indywidualizm. Prawie nie było liczby mnogiej, jakby z wrogiem biły się nie oddziały, nie armie - tylko pojedynczy mudżahid. Uderzała jeszcze wszechobecność śmierci, traktowanej beznamiętnie, wręcz pożądanej. Śmierć w sprawiedliwej wojnie jest zaszczytem, polegli stają się szahidami i idą prosto do raju.

Zaciskam zęby i biorę na wodze swą bojaźń. / W samotnej walce ze sforą szakali nie mam szans, / Ale mimo to napawam się nierównym bojem / Jestem wilkiem i umrę tak, jak mi się podoba! / Ech, coś mną szarpnęło, zdaje się, że mnie trafili. / Odłamek rozerwał mi pierś, chwała Allahowi! / Po ziemskiej wędrówce mogę porzucić me ciało. / Ma dusza jest wolna - teraz dopiero powalczę!

Pieśni były śpiewane po rosyjsku. Choć miały zagrzewać do walki z Rosją. Choć wrogiem byli Rosjanie. Prościutkie melodie składały się z paru akordów. Przypominały niewyszukane dyskotekowe rytmy. W solówkach czuło się fascynację Erikiem Claptonem.

Tacy właśnie są Czeczeni: zachowali tradycję (w której ważne miejsce zajmuje religia), ale nie potrafili obronić się przed rusyfikacją. Teraz chłoną kulturę Zachodu, docierającą w postaci muzyki, filmów i nowinek technicznych.

Jedna z pieśni była utrzymana w rytmie *zikru.*

Zikr to przywołanie imienia Allaha połączone z rozbudowanym obrzędem, gdzie swoje znaczenie mają każdy gest i każdy ruch ciała. Praktykę zikru rozpowszechnił w połowie dziewiętnastego wieku Kunta Hadżi, przywódca sufickiego bractwa kadirija i rywal imama Szamila. Rosjanie pojmali Kuntę i wywieźli na daleką Północ, ale jego nauki przetrwały. Wielu Czeczenów uważa, że mistrz nie umarł i jest jednym z 356 muzułmańskich świętych, którzy stale żyją na ziemi.

Kulminacyjnym momentem zikru jest ekstatyczny taniec religijny, który ma cechy tańca wojennego: uczestnicy poruszają się po kręgu, przestępując z nogi na nogę i kołysząc biodrami. Cały czas przywołują imię Allaha.

Nasz czas już nadchodzi, nasz triumf już blisko,
Zetrzemy w pył bożki świata bezbożnego.
A orzeł dwugłowy legnie rozdwojony,
Matka Rosja przeklnie swych błądzących synów.
Powstań, wielki narodzie Wajnachów!
Zbudź się, nieujarzmiony Kaukazie!

Rosja rozpoczęła ekspansję na południe w szesnastym wieku. Po rozprawieniu się z Chanatem Kazańskim, a następnie Astrachańskim, Iwan Groźny sięgnął po Kabardę - pierwszą krainę na Kaukazie Północnym. Kabardyjczycy poddali się dobrowolnie. Przypieczętowaniem traktatu stał się ślub cara z córką miejscowego władcy. Południową granicę rodzącego się Imperium wyznaczyła na ponad dwa stulecia rzeka Terek.

Początkowo stosunki z góralami układały się poprawnie. Jesienią 1721 roku maszerujące na Persję wojska Piotra i przemierzyły nieniepokojone nizinną Czeczenię. Do pierwszego starcia doszło dopiero kilkanaście lat później. Czeczeni, dowodzeni przez księcia Ajdemira, rozgromili oddział pułkownika Kocha. Wspierał go książę Kazbułat, również Czeczen.

Petersburg stosował wówczas taktykę „pokojowego podboju". Na Kaukaz ruszali kupcy i prawosławni misjonarze; kaukaskim feudałom, którzy godzili się przyjąć rosyjskie poddaństwo, oferowano dożywotnią rentę. Kwitło osadnictwo - wzdłuż Tereku wyrastały chutory i kozackie stanice. Górale prowadzili z nimi ożywiony handel. Do konfliktów dochodziło sporadycznie.

Wszystko zmieniło się w czasach Katarzyny II. Caryca zbudowała system umocnień, które utworzyły linię obronną, ciągnącą się od Morza Azowskiego do Kaspijskiego. Wzniesiono dziesięć potężnych twierdz. Wśród nich Władykaukaz, którego nazwa oznaczała: „Panuj nad Kaukazem".

Imperium już było potęgą, już sięgnęło po Polskę i wypatrywało następnych ofiar.

W roku 1785 wybuchło w Czeczenii pierwsze powstanie antyrosyjskie. Na jego czele stanął muzułmański duchowny Uszurma z Ałdów, który przyjął imię Mansur oraz tytuł szejka. Wystąpienie było spontaniczne, górale chwycili za broń w odpowiedzi na pacyfikacje aułów i brutalność ekspedycji karnych, zapuszczających się daleko za Terek.

Insurekcja szybko upadła. Mansur został zesłany na Wyspy Sołowieckie, gdzie niebawem zmarł od surowego klimatu.

Po pierwszych trzech dekadach dziewiętnastego wieku Rosjanie mieli w ręku prawie cały Kaukaz Południowy, zwany wtedy Zakaukaziem: większą część Gruzji oraz tereny dzisiejszych Armenii i Azerbejdżanu. Nowe nabytki łączyła z metropolią jedna jedyna droga - biegła z Władykaukazu do Tbilisi (nazywanego Tyflisem) przez Wąwóz Darialski i Przełęcz Krzyżową. Kaukaz Północny znalazł się wewnątrz Imperium, lecz pozostawał nieopanowany. Na zachodzie regionu mieszkały wolne ludy czerkieskie, na wschodzie - wajnachskie (czeczeno-inguskie) oraz dagestańskie. Pomiędzy nimi mieszkali powolni Rosji Osetyjczycy i owa jedyna droga prowadziła właśnie przez ich ziemię.

Wojna o Kaukaz Północny była kwestią czasu.

Na razie Rosjanie umacniali pozycje. Budowali warownie. Palili lasy. Pustoszyli auły. Górale burzyli się. Napadali na rosyjskie osady. Strzelali do kozackich patroli.

Szczególnie zawzięci byli Czeczeni.

Johann Blaramberg, carski oficer, który na początku lat trzydziestych dziewiętnastego wieku służył w Tbilisi, zanotował w dzienniku: *Czeczeni to najbardziej okrutne i dzikie plemię na Kaukazie. Są straceńczo odważni i jeszcze waleczniejsi od Lezginów. Nasze wojska nigdy nie zdołały ujarzmić tego krnąbrnego ludu, mimo licznych przedsiębranych przeciwko niemu ekspedycji, które raz po raz pustoszyły jego ziemie. Aby utrzymać Czeczenów w*

ryzach, generał Jermołow stworzył nową wojenną linię umocnioną twierdzami. Główna z nich - Groznaja - leży na lewym brzegu rzeki Sunży. Ale Czeczeni nie zaprzestali naruszania naszych granic, nie zaniechali najazdów .

Naród bandytów?

Blaramberg nie wiedział, że Mikołaj i zdążył już sporządzić reskrypt *O uśmierzeniu na zawsze górskich narodów lub wytępieniu niepokornych* . Adresatem był głównodowodzący rosyjskimi siłami na Kaukazie, generał Iwan Paskiewicz.

Za początek wojny kaukaskiej przyjmuje się rok 1834, kiedy przeciwko Rosji wystąpił imam Szamil, ale toczyła się już wcześniej, z Rosjanami bili się Gazi Mahomet (Kazi-Mułła) i Hamzat-Bek, a przed nimi Bejbułat Tajmijew. Dopiero jednak Szamilowi udało się zjednoczyć Czeczenię i Dagestan oraz stworzyć zalążek państwa. Było to państwo teokratyczne, imamat.

Walki trwały trzydzieści lat. Tyle czasu potrzebowała półmilionowa w porywach armia, by zdusić opór górali. Na wschodzie przełomem okazało się wzięcie Szamila do niewoli w roku 1859. Na zachodzie Rosjanie świętowali swój triumf 21 maja 1864 roku.

Kaukaz Północny obchodzi dziś tę rocznicę jako dzień żałoby.

Po wojnie kraj Czerkiesów został skolonizowany przez Słowian. Tubylców wyparto w góry, milion ludzi wyjechało do Azji Mniejszej i na Bliski Wschód.

Inaczej było z krajem Wajnachów. Tam osadnictwo zamarło. Rosjanie siedzieli w ufortyfikowanych garnizonach i pilnowali przełęczy, auły żyły własnym życiem. Czeczenów, Inguszów i Dagestańczyków nie powoływano do armii, zakazane było szerzenie prawosławia.

Wajnachowie wciąż się burzyli, Imperium dławiło rebelie.

Nadszedł wiek dwudziesty. Po upadku caratu Kaukaz Północny ogłosił niepodległość, proklamowano Górską Republikę. Istniała dwa lata, wysłała ambasadorów do Paryża i Warszawy. Zanim nie pobił jej Denikin, sama zatraciła się w wewnętrznych sporach. Zagrały dawne urazy i nowe ambicje.

Wszyscy bali się Czeczenów - najliczniejszych, najbardziej dynamicznych. To dlatego w wojnie kaukaskiej czerkiescy książęta nie przystąpili do Szamila. Dlatego u schyłku Związku Radzieckiego spali na panewce idea zjednoczenia Kaukazu Północnego, a może i Południowego, w jeden organizm.

Samym Czeczenom także było daleko do jedności.

Jeszcze bolszewicy nie pokonali Denikina, gdy Uzun Hadżi, szejk sufickiego bractwa Nakszbandija założył w Czeczenii nowy imamat i wezwał kaukaskich chwatów, *dżygitów* do świętej wojny z giaurem. Po Uzunie Hadżim był Nadżmuddin z Hatso.

Bolszewicy: terror, pacyfikacje, bombardowania. Wajnachowie: bunty, rebelie, zamachy.

23 lutego 1944 roku rozpoczęła się deportacja. W kilka dni Czeczenów i Inguszów wysiedlono z Kaukazu do Azji

Środkowej. W oddalonych aułach, dokąd nie docierał transport (ludzi zwożono najpierw na stację kolejową, a stamtąd bydlęcymi wagonami na wschód, podróż trwała wiele tygodni), tubylców po prostu wybijano. Mieszkańców wsi Chajbach enkawudziści zapędzili do stajni sowchozu imienia Berii i spalili żywcem. Takich Chajbachów było więcej.

Czeczeńscy starcy szli na tułaczkę uśmiechnięci. Dowcipkowali. Nie dali po sobie poznać strachu, upokorzenia, cierpienia.

Ilana Maschler, siostra Czerwonego Krzyża, świadek tych wydarzeń, zapisała w pamiętniku: *Ślad nie zostanie po małym narodzie Czeczenów i jeszcze mniejszym Inguszów. Zamordowano dwa narody.*

Przetrwali. W roku 1957 wrócili na Kaukaz. Rok później wzniecili zamieszki w Groznym. Opanowali budynek komitetu partii i zdobyli siedzibę milicji.

(W chwili deportacji w wysokogórskiej Czeczenii tliła się kolejna insurekcja. Uczestniczący w niej oddziałek błędnego partyzanta Chasucha Mahomadowa przetrwał i deportację, i Stalina, i Chruszczowa. Został rozbity dopiero w roku 1976, siłami wojsk wewnętrznych i KGB).

W oczach Moskwy - najpierw Chruszczowa, a potem Breżniewa - Wajnachowie wciąż byli elementem niepewnym. Władze utrudniały im dostęp do edukacji i służby zdrowia, nie powoływały na wysokie stanowiska. W Czeczeno-Inguszetii szalało ukryte bezrobocie. W okresie

pierestrojki zaczęły się masowe napady na pociągi towarowe.

W grudniu 1991 roku rozpadł się Związek Radziecki.

W tym samym czasie rozpadła się Czeczeno-Inguszetia.

Prezydentem Czeczenii został generał Dżochar Dudajew.

Myślałem o ułożeniu leksykonu czeczeńskich pojęć. Dobrze byłoby zebrać i objaśnić te spośród prostych, codziennie używanych słów, które Czeczeni rozumieją po swojemu - inaczej niż pozostali mieszkańcy Ziemi, inaczej nawet niż sąsiedzi z Kaukazu. Należałoby także objaśnić słowa czysto czeczeńskie, nieprzetłumaczalne na żaden obcy język. Wiele bzdur, jakie napisano o Czeczenach, zrodziła zła wola albo naiwna idealizacja, lecz jeszcze więcej - niewiedza.

Pierwszym hasłem w takim leksykonie mógłby być NARÓD.

NARÓD to ogół klanów, nazywanych *tejpami,* zamieszkujących obszar między górnym Terekiem, Sunżą i Aktaszem a głównym grzbietem Kaukazu.

Wyobraźnia Czeczena rzadko sięga poza klan. Pierwszym punktem odniesienia jest dla niego „mała rodzina”, czyli rodzice z dziećmi *(diozel),* oraz „duża rodzina”, obejmująca także braci (ca). Dalej Czeczen identyfikuje się ze swoją „wielką rodziną” (neke), w skład której wchodzą wszyscy krewni, wywodzący się od wspólnego męskiego przodka. Następnie - z „rodem” *(gar),* gdzie wspólny przodek jest już postacią na pół mityczną. Kilka rodów tworzy klan. Gdy ród rozrasta się, sam staje się klanem.

Klanów jest ponad 160. Grupują się w *tuchumy,* co można przełożyć jako „plemię” albo „szczep”! Tuchumów jest dziewięć, dlatego w czeczeńskim godle znalazło się dziewięć gwiazd. Od setek lat nic nie zmieniło się ani na jotę.

Głównym zadaniem klanu jest obrona swoich członków - w każdej sytuacji i w każdym miejscu na świecie (zgodnie z tradycją, wszyscy mężczyźni powyżej piętnastego roku życia są równi i nietykalni). W zamian klan może liczyć na lojalność pełną, bezgraniczną. Gdy Czeczenowi udaje się wyjechać za granicę, zaraz zaczyna myśleć, jak sprowadzić współziomków. Gdy zakłada firmę, bierze do pracy kuzynów. Gdy zostaje ministrem, zamienia politykę w rodzinny biznes. Generał Wiktor Biełozierow, który wiele lat kierował czeczeńsko-inguskim KGB, wspominał: *Wśród podległych mi funkcjonariuszy posłuszeństwo wobec klanu było w pewnych przypadkach silniejsze niż posłuszeństwo wobec przełożonego. Być może nawet w większości przypadków* (cytat za książką Wojciecha Zajączkowskiego).

Zobowiązania wobec całego społeczeństwa nie istnieją. Najczcigodniejszy starzec nie ma prawa posłać młodzika po papierosy, jeśli ten pochodzi z innego klanu. Młodzik może wyświadczyć przysługę co najwyżej z własnej woli. W innych częściach Kaukazu nie mieści się to w głowie.

Interesy klanów bywają sprzeczne, dlatego ponadklanowa więź jest tym bardziej wątła. Najczęściej objawia się przy zagrożeniu z zewnątrz.

W niewielkim stopniu funkcję spoiwa pełni PRAWO.

PRAWO to zbiór norm zwyczajowych, tak zwanych adatów, regulujących stosunki między Czeczenami.

Gdy Czeczen potrąci autem drugiego Czeczena, powinien szybko odszukać starców z jego klanu i opowiedzieć, co się stało. Jeżeli wypadek był nieumyślny, starcy mrukną: „Wola Allaha!”, a potem rozejdą się, żeby przygotować pogrzeb. To wszystko.

Czeczen, który przyłapie swą żonę z kochankiem, ma dwa wyjścia. Może oboje zabić albo obojgu wybaczyć. Gdy zabije tylko kochanka, staje się mordercą. Krewni zabitego będą go tropić, aby pomścić przelaną krew. Gdy nie znajdą, dopadną syna. Winę dziedziczy się jak dom albo kindżał.

W odróżnieniu od swojego prawa, opartego na konkrecie i zakorzenionego w tradycji, abstrakcyjne prawo z kodeksów Czeczeni traktują jako obce, narzucone przez Rosję. Pierwsze jest święte, drugie można łamać do woli. E. K. tłumaczył mi to na przykładach. Rozmawialiśmy w czasach czeczeńskiej WOLNOŚCI, pomiędzy pierwszą i drugą interwencją Rosjan:

- Kiedy Czeczen znajdzie się w więzieniu, bo obrabował pociąg albo porywał ludzi, klan zrobi wszystko, żeby go stamtąd wyciągnąć. Krewni mogą ziomka potępiać, ale i tak nie zasną spokojnie, póki on przebywa w niewoli. Dotrą do samego prezydenta. Powiedzą: „Wypuść go, sami go osądzimy”. Jeśli prezydent odmówi, nie zrozumieją. Odmowę przyjmą jako wrogi akt, wymierzony w ich klan. Gotowi są nawet uprowadzić prezydentowi dziecko, by

wymienić na przestępcę. Dlatego tak trudno nam budować państwo.

Z prawem walczył już imam Szamil, który wprowadził prawo koraniczne, szariat. Po zakończeniu wojny kaukaskiej Czeczeni wrócili do adatów. Potem rządy szariatu ogłosił Asłan Maschadow. Kiedy jednak prezydent popadł w konflikt z pewnym człowiekiem, zaś werdykt sądu szariackiego nie zadowolił żadnej ze stron, sprawę powierzono *kchelowi,* tradycyjnemu sądowi klanowej starszyzny.

Kluczowym pojęciem jest dla Czeczenów WOLNOŚĆ. WOLNOŚĆ to pełna swoboda jednostki i klanu, a także całego społeczeństwa, w ramach zakreślonych tradycją.

Krzysztof Galiński, jeden z pięciu Polaków porwanych w grudniu 1997 roku na drodze do Groznego, napisał: *To, co zachwyca w Czeczenii, to irracjonalne, maniackie przekonanie, że mają tam prawo do życia według zasad, jakie sobie wymyślili.*

Na waleczność, hardość i umiłowanie wolności zwracają uwagę wszyscy odwiedzający Czeczenię cudzoziemcy. Współczesne relacje niewiele różnią się od relacji sprzed wielu lat. Nad Sunżą i Terekiem czas jakby zatrzymał się w miejscu.

Gieorgij Tkaczow, 1911:

Kiedy Osetyjczycy, Kabardyjczycy, Nogajowie, Kumycy oraz pozostały górski drobiazg, żyją cicho i w spokoju, nie wyróżniając się z ogólnej masy, o wyczynach Czeczenów i

Inguszów rozprawia ciągle cała gubernia. Kwestię tę już dwa razy podnoszono w Dumie Państwowej.

Aleksander Sołżenicyn, 1973:

Był jednak pewien naród, który nie uznawał żadnych ustępstw wobec psychologii pokory. Chodzi przy tym nie o buntownicze jednostki, mowa o całym narodzie. Byli to Czeczeńcy.

Józef Pietrucin-Pietraszewski, 1918:

Chcieli utrzymać niepodległość, walcząc jak za czasów Szamila, ławą, bez komendy [...]. *Słuchać komendy uważali dla siebie za ujmę.*

Władysław Wilk, 1999:

Formalnie Umar-hadżi był tutaj starszym, ale rozkazów nikomu nie wydawał. Czeczeńcy są zbyt wolni, aby walczyć na rozkaz.

I wreszcie Wojciech Jagielski, 2000:

Desperackie, niemal samobójcze przywiązanie Czeczenów do anarchicznej wolności sprawiło, że praktycznie przez całą historię towarzyszy im widmo zagłady. Zamknięci w strukturach rodowych, postrzegali nowoczesne państwo jako śmiertelne zagrożenie.

Czeczeni

W grudniu 1994 roku na Grozny, stolicę Czeczenii, ruszyły rosyjskie czołgi. Miasto broniło się dwa miesiące. Armia zdobywała je z najwyższym trudem, z ogromnymi stratami w ludziach i sprzęcie.

Rosjanie twierdzili, że bronią integralności państwa. Żadna inna republika nie parła tak zdecydowanie do niepodległości, żadna tak ostentacyjnie nie przeciwstawiała się Moskwie. Przykład Czeczenii, tłumaczył Kreml, może

być zaraźliwy i Federacja rozpadnie się, jak rozpadł się Związek Radziecki.

Tymczasem nikt nie zamierzał Czeczenów naśladować. Pod rządami Dudajewa panował chaos i szalała przestępczość. Stały fabryki, nie działały szkoły, zamarł transport. Nie płacono pensji ani emerytur. Tysiące rodzin dotknęła nędza.

Równocześnie co krok wyrastały tysiącmetrowe wille, a na dziurawe drogi wyjechały mercedesy i jeepy. W zapadłych aułach, gdzie niedawno nie było nawet prądu, rozdzwoniły się telefony satelitarne.

Wille, samochody i telefony należały do czeczeńskiej mafii i jej klientów.

Korzenie tej mafii sięgają lat siedemdziesiątych, gdy czeczeńscy mężczyźni, bez widoków na jakiekolwiek zajęcie, zaczęli emigrować do rosyjskich miast. Osiedlali się w Nowosybirsku, Czelabińsku, Moskwie. Zatrudniali się na budowach albo w handlu. Trzymali się razem, jeden pomagał drugiemu. Nie wybaczali krzywdy ani obrazy. Z czasem przeniknęli do półświatka i narzucili mu własne reguły.

Największe wpływy zyskał Hoż-Achmed Nuchajew. Podczas studiów prawniczych w Moskwie działał w tajnym komitecie na rzecz wyzwolenia Czeczenii. Za posiadanie broni trafił na kilka lat do łagru. Wyszedł pod koniec epoki Gorbaczowa. Wtedy utworzył Organizację, mafię nowoczesną i bezwzględną. Ludzie Nuchajewa, zamiast ściągać haracze od sklepikarzy czy restauratorów, oferowali

opiekę poważnym biznesmenom i dużym zagranicznym inwestorom. Nie chcieli gotówki - żądali wzięcia Czeczena na wspólnika. Wkrótce Organizacja opanowała moskiewski rynek nieruchomości.

Przywódcy wielkich rosyjskich gangów poczuli się zagrożeni. Pod koniec stycznia 1988 roku, podczas spotkania w Café Aist przy Dużej Bronnej, dwunastu czołowych hersztów zaproponowało Czeczenom podział Moskwy. Organizacja miała tylko przyjąć ich złodziejski kodeks honorowy. Nuchajew odmówił. Nie uważał ojców chrzestnych za ludzi honoru. Przeżył strzelaninę, która wybuchła po jego słowach. Dwa lata później nikt z tamtej dwunastki już nie żył. Niezbadane są wyroki Allaha.

Działalność kryminalna była dla Nuchajewa formą walki o niepodległość. Nie uważał, że łamie prawo, po prostu tego prawa nie uznawał, podobnie jak kodeksu rosyjskich złodziei. Był natomiast wierny prawu. Pieniądze Organizacji trafiały na Kaukaz. Za te pieniądze Dudajew próbował budować państwo. Świat polityki, biznesu i mafii zlał się w Czeczenii w jedno.

Dudajew nie znosił opozycji. Rozpędził nieposłuszny parlament i rząd, wprowadził stan wojenny. Stopniowo tracił kontrolę nad republiką. Bunt ogarniał kolejne powiaty. Protestowały dawna nomenklatura i małe klany, pominięte przy rozdziale stanowisk. Na ulice Groznego wyszli lekarze. Zaczęło dochodzić do starć i potyczek.

Opozycjonistów finansowała i uzbrajała Moskwa. Rzadko byli to zaprzańcy czy renegaci. Tak jak inni pamiętali

imperialny knut. Współpracowali z Rosją, bo było to dla nich wygodne, snuli jednak własną intrygę. Jak książę Kazbułat, który nie lubił księcia Ajdemira i dlatego wsparł pułkownika Kocha.

Wojna uratowała Dudajewa. Był lichym politykiem, nie nadawał się na męża stanu. Jako sowiecki oficer spędził długie lata poza ojczyzną, słabo znał własny kraj. W trudnej chwili stanął jednak na wysokości zadania: zjednoczył rodaków i pokierował ruchem oporu. Ze słabnącego autokraty stał się niekwestionowanym wodzem, ponadklanowym liderem. Symbolem niepodległości.

Niewykluczone, że Rosjanom chodziło o kontrolę nad biegnącym przez Czeczenię rurociągiem, którym płynęła kaspijska ropa. Niewykluczone, że do interwencji dążyła armia, pobita w Afganistanie, upokorzona wycofaniem z Europy Środkowej i zagrożona redukcją etatów. Niewykluczone, że wojna miała zatuszować ciemne interesy, jakie prowadzili w Czeczenii wysocy moskiewscy urzędnicy.

Bezpośrednie przyczyny wojny mogły być najprzeróżniejsze - takie albo zupełnie inne.

W sierpniu 1996 roku Czeczeni odbili Grozny i szereg innych miejscowości. Rosjanie musieli zawrzeć pokój. W dokumencie napisano, że status republiki zostanie ustalony za pięć lat. Nie było ani słowa o tym, że Czeczenia jest częścią Federacji Rosyjskiej.

Tym razem górą był wyjątkowo Dawid. Goliat oczywiście nie zginął. Szykował rewanż.

W czeczeńskiej historii uderza powtarzalność wydarzeń, zjawisk i ludzkich zachowań. Odnosi się wrażenie, że za każdym razem wciąż nowi aktorzy odgrywają w zmieniających się dekoracjach ten sam od wieków spektakl.

Prezydentem został Asłan Maschadow, były czeczeński szef sztabu. Zastąpił Zelimchana Jandarbijewa, który objął urząd po Dudajewie: wódz poległ przed końcem walk, rozerwany rakietą powietrze-ziemia.

NARÓD znów rozpadł się na tejpy i tuchumy. Do rządzenia rwała się grupa komendantów polowych, którzy w czasie wojny odznaczyli się brawurą i nieprzeciętnymi zdolnościami. Byli jeszcze młodzi, w patriarchalnej społeczności nikt by się z nimi nie liczył, teraz jednak mieli za sobą setki uzbrojonych, gotowych na wszystko bojowników. Najwybitniejszym w tej grupie był Szamil Basajew, trzydziestolatek, niedoszły inżynier agronom, wielbiciel Diderota i Wysockiego. W czerwcu 1995 roku, gdy Rosjanie zdobyli już nizinne auły i szykowali się do skoku w wysoki Kaukaz, Basajew zaatakował Budionnowsk w Kraju Stawropolskim, barykadując się w miejskim szpitalu z tysiącem zakładników. Po tej akcji walki przycichły na długie miesiące.

- Kim jest Maschadow? Dlaczego to ja nie mogę być prezydentem? - pytał się niejeden z komendantów. (Na pytanie, ilu generałów liczy czeczeńska armia, Dudajew odpowiedział kiedyś: „Ja jestem milion pierwszym”).

Płynęła powoli opowieść o życiu pełnym niebezpieczeństw, walk zwaśnionych sułtanów, zasadzek i porachunków, rodowych zemst przekazywanych z pokolenia na pokolenie, gdzie prawem było męstwo, pogarda dla bólu i śmierci oraz namiętne umiłowanie wolności. Występowała tam także zadawniona, gwałtowna nienawiść do imama Szamila, która nie pozwoliła tym utalentowanym przywódcom ruchu niepodległościowego ludów Czeczenii, Awarii i innych krain iść zgodnie przeciw rosyjskim najeźdźcom. Hadżi-Murat raz był po jego stronie, to znów przechodził na pozycje wroga. Ważną rolę w konflikcie odgrywała jego ambicja, niepozwalająca uznać zależności od Szamila. Ambicja umiejętnie wykorzystywana przez stronę przeciwną. W tym konflikcie dwaj przywódcy zatracali poczucie perspektywy i proporcji. Małe przesłaniało im duże.

To Marek Nowakowski o *Hadżi Muracie* Tołstoja - ale opis mógłby odnosić się do współczesności, wystarczy zmienić nazwiska.

W latach 1996-1999 Czeczenia przekształciła się w luźną federację ziem, kontrolowanych przez poszczególnych komendantów. Służba w prywatnych formacjach zbrojnych, a takie oprócz komendantów miało wielu polityków i biznesmenów, a także niektórzy mułłowie, stała się dla tysięcy mężczyzn jedynym sposobem na życie i jedynym źródłem utrzymania.

Inni utrzymywali się z porwań. Powstał cały przemysł. Ktoś wywiadywał się o potencjalnej ofierze, ktoś

przygotowywał na nią zasadzkę, ktoś przerzucał w bezpieczne miejsce, ktoś zapewniał ochronę, ktoś karmił (nieraz przez kilka miesięcy), ktoś negocjował okup. Ktoś przeprowadzał wymianę.

Nie było prawdą, jak utrzymywały władze w Groznym, że porywaniem ludzi zajmowała się tylko garstka bandytów--wyrzutków. Nie było też prawdą, jak twierdziły władze w Moskwie, że w bandytyzm stoczyła się cała Czeczenia. Tym bardziej, że kilka głośnych, zakończonych śmiercią zakładników uprowadzeń, zainspirowali prawdopodobnie sami Rosjanie.

Jak nazwać wieśniaka, który za parę groszy udostępniał loszek na tymczasowe więzienie? A z czego wykarmiłby rodzinę? Ziemi uprawiać nie mógł - leżały w niej miny. W fabryce pracować nie mógł - fabryk dawno nie było. Do Rosji wyjechać nie mógł - czas saksów należał do przeszłości, teraz rosyjska milicja zawzięcie polowała na „osoby narodowości kaukaskiej”, wyłuskując je na lotniskach, dworcach i bazarach. Zresztą, skąd miałby wziąć na bilet?

Może przystać do wahhabitów?

Nie cieszyli się popularnością. Zdobyli trochę zwolenników w Gudermesie i w okolicach Urus-Martanu, gdzie rozłożył się obozem jordański komendant al-Chattab. Czeczeni uważali ich za obcych. - Nie po to przegoniliśmy Rosjan, żeby wysługiwać się Arabom - powiedział mi taksówkarz z Groznego.

W przeddzień kolejnej rosyjskiej interwencji słyszałem na rynku w Nazraniu, jak stara Czeczenka o złotych zębach wyklina własnego syna:

- Przez was, przez was to wszystko! Przez was bieda i nieszczęście! Zapuściliście brody, ale rozumu macie, co brudu za paznokciem! Precz mi z oczu! Nie będziesz więcej moim dzieckiem!

Maschadow chciał być prezydentem powszechnym. Mianował Basajewa szefem rządu, aby zadowolić komendantów. Wprowadził szariat, aby zadowolić mułłów. Uczestniczył w zik-rze, aby zadowolić tradycjonalistów. Spotkał się z Jelcynem, aby zadowolić Rosjan. Uginał się pod żądaniami, ustępował. Bał się wojny domowej. Przegrał, zanim jeszcze przystąpił do gry.

Czeczeni pragnęli normalności. *Jesteśmy religijni, ale bez przesady. Jesteśmy góralami! Kochamy Boga, wódkę, walkę, kochamy chwalić się, kraść, kantować, fałszować* - deklarował bohater powieści *Nasza gra* Johna le Carré, który był Inguszem, ale nazywał się Czeczejew.

16 sierpnia 1999 roku Duma Państwowa zatwierdziła na stanowisku premiera Rosji mało znanego Władimira Putina. Tydzień wcześniej Basajew wraz z al-Chattabem wkroczyli do Dagestanu i zapowiedzieli utworzenie we wschodnim Kaukazie islamskiego kalifatu. Dwa tygodnie później Rosją wstrząsnęła seria zamachów, w których zginęło prawie trzysta osób.

Putin od razu przystąpił do działania. Rozwinął kampanię wojenną, która okazała się kampanią wyborczą. Wkrótce

był najpopularniejszym politykiem w kraju i bez trudu wygrał wybory prezydenckie. Wystraszeni terroryzmem i fundamentalizmem Rosjanie zawierzyli mocnemu człowiekowi. Nikt nie wnikał, co naprawdę zdarzyło się w Dagestanie i kto stał za zamachami.

Moskiewska gazeta napisała: *Czeczenię koniecznie trzeba postawić przed wyborem: albo przerwie wszelkie działania bojowe na terytorium Rosji, albo cała republika zostanie fizycznie zniszczona. I to nie czołgami, ale siłami lotnictwa strategicznego, bronią biologiczną, gazami psychotropowymi, napalmem... Szybko, skutecznie i okrutnie.*

Kolejna wojna. Jak w zacinającej się płycie. Jak w zikrze.

Jesienią 1996 roku widziałem zikr w zrujnowanym Groznym. Był to zikr zwycięstwa i triumfu. Czeczeni wygrali wojnę, rosyjskie wojska właśnie opuszczały republikę. Rozpoczynał się trzyletni karnawał WOLNOŚCI.

Po niewielkim kręgu truchtała może trzydziestka mężczyzn - początkowo gęsiego, jeden za drugim, później w rozproszeniu i coraz szybciej. Zewnętrznym skrajem gnał starzec z długą siwą brodą, w papasze przepasanej zieloną tasiemką; trzymany w ręku kostur wskazywał na *turkcha,* starostę-organizatora. Natomiast środek kręgu był pusty, w środku kumuluje się boska siła i nikt nie ma prawa tam wkroczyć.

Potem, gdy przyjeżdżałem do Czeczenii albo rozmawiałem z Czeczenem, stale miałem tamten zikr przed oczami: można tancerzy oglądać, można robić im zdjęcia,

można się nawet przyłączyć i spróbować wejść wspólnie w trans, jądro pozostanie jednak dla obcych strefą zakazaną.

Czeczeni przypominają sektę albo tajne stowarzyszenie. Przez dziesięciolecia nauczyli się żyć w rozdwojeniu, w dwóch rzeczywistościach. W pierwszej posiadali sowieckie paszporty, służyli w Armii Czerwonej, pracowali w sowchozach, czasem wstępowali do partii. W drugiej - należeli do tejpu, stawali przed kchelem, wykonywali zikr. Ta druga, podziemna rzeczywistość była dla nich bardziej realna.

Dziś klanowość coraz bardziej ich uwiera. Struktura społeczna ukształtowana ostatecznie w wieku osiemnastym i dobrze sprawdzająca się w dziewiętnastym, w dwudziestym była już anachronizmem, a w dwudziestym pierwszym staje się kagańcem.

Otóż PRAWO , regulujące setki najdrobniejszych spraw, nie mówi o tym, kto ma rządzić całym narodem. Narodem prawie milionowym, największym na Kaukazie Północnym. Parlament mieści się jeszcze w tradycji, prezydent - nie. Stąd wielu Czeczenów miało Dudajewa, a potem Maschadowa za uzurpatorów.

PRAWO może zmienić rada szefów klanów, ta jednak nie zbierała się od trzystu lat.

Wtedy, w Groznym, nie mogłem się napatrzyć. Zikr trwał, uczestnicy byli już w transie. Pewien dagestański psychiatra udowodnił, że taki stan wyzwala z lęku i stresu oraz uwalnia skryty potencjał. Pewnie dlatego Rosjanie

uznali tę praktykę za nielegalną. Od przyjścia Putina tańczy się zikr potajemnie, w stodołach i piwnicach.

Poszedłem coś zjeść, wróciłem, a zikryści wciąż kręcili się w kółeczku. Gdyby biegli przed siebie, przebyliby szmat drogi.

Z notatek (5)

9 kwietnia 2010

W „Tygodniku Powszechnym” - świetny artykuł Macieja Falkowskiego o tym, co się stało w ostatniej dekadzie w Czeczenii i w sąsiadujących republikach.

Falkowski tłumaczy, że bojowników czeczeńskich już nie ma - zastąpili ich mudżahedini, bojownicy islamscy. 31 października 2007 roku przywódca bojowników Dokka Umarow proklamował powstanie regionalnego Emiratu - islamskiego „państwa”, obejmującego cały Kaukaz Północny. Twór, istniejący jedynie w propagandzie *dżihadystów,* zastąpił równie wirtualną pod koniec Czeczeńską Republikę Iczkeria (CZRI) . Umarow był jej piątym prezydentem - po Dudajewie, Jandarbijewie, Maschadowie i Sadułajewie. Zrzekł się tej godności - oraz ogłosił koniec istnienia CZRI - by mianować się emirem Kaukazu. Decyzji nie uznała część czeczeńskiej emigracji niepodległościowej (liderem tego skrzydła pozostaje Ahmed Zakajew).

Aby wyjaśnić, dlaczego narodowowyzwoleńcza walka Czeczenów zamieniła się w kaukaski dżihad, Falkowski cofa się do czasu rozpadu ZSRR :

Po 1991 roku Kreml zostawił Kaukaz na pastwę losu, izolując go jednocześnie od świata zewnętrznego. Gdy sprawy szły za daleko lub gdy Kaukaz potrzebny był w

rozgrywkach na rosyjskiej scenie politycznej, Moskwa słała wojska, które ślepą przemocą przywracały względny spokój. W Rosji, gdzie coraz silniej daje o sobie znać nacjonalizm czy wręcz szowinizm, mieszkańcy Kaukazu ze współobywateli stali się obcymi, „dzikusami", „czarnuchami".

W tej sytuacji mieszkańcy zwrócili się początkowo ku nacjonalizmom. Doprowadziło to do wybuchu konfliktu czeczeńskiego i napięć etnicznych w całym regionie. Ale nacjonalizm przegrał zarówno w wymiarze politycznym (idea czeczeńskiej niepodległości poniosła klęskę), jak i społecznym - nie rozwiązał codziennych problemów. Wówczas część mieszkańców, głównie młodych, zwróciła się ku islamowi. Jako religia uniwersalna mógł on rekompensować radziecki internacjonalizm, a z drugiej strony stanowić atrakcyjną ideologię w warunkach kaukaskiej wieloetniczności.

Ewolucja ruchu czeczeńskiego w kierunku islamskiego separatyzmu może budzić w Polsce zdziwienie graniczące z przerażaniem. Oto „szlachetni bojownicy o wolność", którym współczuliśmy czy wręcz kibicowaliśmy, a których walka z rosyjskim imperium przypominała nam o polskich powstaniach, okazali się „islamskimi terrorystami". Mało kto zdaje sobie jednak sprawę, że na Kaukazie dżihad nie jest czymś nowym, ideą przyniesioną przez wysłanników Osamy bin Ladena. Pod sztandarami islamu walczyli wszyscy wodzowie antyrosyjskich powstań, które

wybuchały tam od końca osiemnastego wieku aż do lat trzydziestych dwudziestego.

Skupiając się na ideologii, Falkowski pominął ewolucję sytuacji wewnętrznej w samej Czeczenii. Otóż Rosjanie - po wprowadzeniu wojsk w 1999 roku - zdołali w ciągu kilku miesięcy opanować republikę (miasta, drogi, przełęcze), ale nie byli w stanie rozbić zbrojnego podziemia, na którego czele stał Asłan Maschadow. Czeczeni prowadzili z kolei skuteczną wojnę partyzancką - ale byli za słabi, żeby odzyskać kontrolę nad republiką czy choćby jej częścią. Pomysłem na wyjście z pata stała się czeczenizacja: formalne przekazanie władzy w republice Czeczenom lojalnym wobec Moskwy i prowadzenie dalszej walki z bojownikami ich rękoma. Kreml liczył, że zajęci sobą Czeczeni porzucą ideę separatyzmu.

Na czele prorosyjskich władz stanął były czeczeński mufti Achmad Kadyrow, który w czasie pierwszej wojny walczył przeciwko Rosjanom. Gdy zginął w zamachu, rządy przejął jego syn Ramzan. Kadyrowowie, na początku skrajnie niepopularni, wywalczyli sobie z czasem bardzo silną pozycję. Dzięki serii amnestii tysiące bojowników zdecydowało się złożyć broń (w większości podejmowali służbę w formacjach zbrojnych kontrolowanych przez Kadyrowów). Zaczęli wracać emigranci polityczni. Po śmierci Maschadowa (w 2005 roku) zdziesiątkowane podziemie wyraźnie ewoluowało już w stronę radykalnego islamu.

Mimo wiernopoddańczych gestów (jedna z alei w Groznym otrzymała na przykład imię Władimira Putina), Ramzan Kadyrow konsekwentnie ograniczał rosyjskie wpływy, między innymi doprowadził do radykalnego zmniejszenia liczebności stacjonujących w republice wojsk. Z czasem pozbył się opozycji, zastraszając oponentów lub zmuszając ich do wyjazdu. Wszystko to za rosyjskie pieniądze, którymi Kreml kupował spokój i stabilizację. Jednocześnie Kadyrowowi udało się stopniowo przywrócić w republice normalne życie: z ruin podnosił się Grozny, znowu działały szkoły i szpitale, kursowały autobusy i pociągi. Dla większości umęczonych wojną Czeczenów okazało się to ważniejsze niż twarda ręka i dyktatorskie ambicje Ramzana.

Kadyrow rozmawia z Moskwą może nie jak równy z równym, ale na pewno nie z pozycji wasala. Osiągnął naprawdę wiele. W kwietniu 2009 roku Kreml ogłosił zakończenie operacji antyterrorystycznej - formalny koniec drugiej wojny czeczeńskiej. Kilka miesięcy później port lotniczy w Groznym otrzymał status lotniska międzynarodowego, co dało Czeczenom możliwość wyjścia na świat (pierwszy rejs był do Arabii Saudyjskiej). Czeczeńscy poborowi odbywają służbę wyłącznie na terenie republiki. Kadyrow pozostaje zakładnikiem Moskwy, której zawdzięcza karierę - ale równocześnie Moskwa stała się zakładniczką Kadyrowa. Gdyby go teraz zabrakło, bez wątpienia powróciłby chaos.

Ramzan dysponuje dziś władzą o wiele większą od tej, którą mieli Dżochar Dudajew i Asłan Maschadow. Podporządkował sobie całą republikę. Nie ma żadnej opozycji (z wyjątkiem mudżahedinów, którzy operują na całym Kaukazie Północnym, oraz części emigracji). Jego poprzednicy mogli o tym tylko marzyć. Paradoksalnie, będąc politykiem prorosyjskim, jest też dużo bardziej niż oni niezależny od Moskwy.

Jeśli nie zginie w zamachu, może rządzić jeszcze długo (jest młody, urodził się w 1976 roku). Z czasem ma szansę przeciągnąć na swoją stronę nawet umiarkowanych dżihadystów - od pewnego czasu wprowadza do czeczeńskiego ustawodawstwa elementy szariatu.

Niewykluczone, że stanie się pierwszym w historii Czeczenii przywódcą, akceptowanym przez cały NARÓD.

Magas

1. Godło Państwowe Republiki Inguszetii stanowi duchowy i historyczny symbol narodu. Występujące w nim elementy są koloru białego, zielonego, czerwonego i żółtego. Biały kolor symbolizuje właściwą narodowi Inguszetii czystość zamiarów i dążeń. Zielony kolor uosabia budzącą się do życia przyrodę, dostatek i urodzajność inguskiej ziemi. Jest również symbolem islamu - religii, którą wyznaje inguski naród. Czerwony kolor wyraża niełatwą wielowiekową walkę narodu z niesprawiedliwością, toczoną o przetrwanie i prawo do życia na ziemi ojców, w zgodzie i pokoju z sąsiadami. Żółty kolor - to kolor Słońca, dającego życie Człowiekowi i Przyrodzie. Inguszetia jest krajem słonecznym. Jasne Słońce, pokój i twórczy trud - to najgłębsze marzenia obywateli Inguszetii.

2. Godło Państwowe Republiki Inguszetii przedstawia sobą krąg, pośrodku którego rozpostarł swoje skrzydła potężny orzeł. Wzdłuż zewnętrznego okręgu i wewnątrz mniejszego biegnie stylizowany ornament Wajnachów. Orzeł - to symbol szlachetności i męstwa, mądrości i wierności. W centrum Godła, powyżej orła, znajduje się baszta bojowa, symbolizująca dawną i nową Inguszetię. Po bokach baszty przedstawione są Góra Stołowa („Mat loam”) i góra Kazbek („Baszloam korta”). Ponad basztą i górami znajduje się

Słońce w zenicie, od którego biegnie siedem prostych promieni. Przy dolnej części mniejszego okręgu umieszczony jest znak solarny. Oznacza nie tylko wieczny ruch Słońca i Wszechświata, ale także wzajemną ze sobą łączność, nieskończoność i wiecznotrwałość wszystkiego, co istnieje. Łukowate ramiona znaku zaginają się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, symbolizując harmonię i tworzenie.

Postanowienie o Godle Państwowym Republiki Inguszetii, 1994

W centrum Nazrania, pomiędzy bazarem a przejazdem kolejowym, siedział malowniczy żebrak. Miał pasiasty kaftan, futrzaną czapę i dziurawe gumiaki. Nagabywał przechodniów, mrucząc pod nosem i stukając laską o krawężnik. Pomyślałem, że w Inguszetii musi być naprawdę źle. Widywałem na Kaukazie żebraków, ale zawsze byli to Rosjanie albo Ukraińcy. Góral nie pójdzie żebrać, w biedzie pomogą mu krewniacy. W ostateczności będzie kradł i rabował. (Jeśli widziałem zataczającego się pijaka, też byłem pewien - Słowianin. Góral lubi wypić, ale gdy przekroczy miarkę, współbiesiadnicy nie wypuszczą go na ulicę, zatrzymają siłą i przypilnują, żeby wytrzeźwiał).

Jak się okazało, żebrak pochodził z Azji Środkowej. Był Karakałpakiem czy Ujgurem, na Kaukaz trafił przedziwnym zrządzeniem losu, a jego życie, jak zwykle w takich przypadkach, przypominało sensacyjny film.

W Inguszetii działo się jednak i tak gorzej niż źle. Republika, proklamowana jesienią 1991 roku (w składzie Federacji Rosyjskiej), istniała tylko na papierze. Była ułudą, fatamorganą.

Nie miała terytorium ani granic. Z byłej Czeczeno-Inguszetii przypadły jej trzy powiaty, gdzie dominowała ludność inguska - ale Czeczeni zgłaszali pretensje do niektórych wiosek. W wytyczeniu granic przeszkodziła pierwsza, a potem druga wojna czeczeńska (zostaną ustalone dopiero w 2009 roku).

Inguszetia

Nie miała stolicy. Nazrań, gdzie tymczasowo ulokowały się władze, posiadał prawa miejskie, ale w rzeczywistości był tylko dużą, chaotycznie zabudowaną wsią.

Nie miała przemysłu. Fabryki zostały w czeczeńskiej części dawnej autonomii. Nie miała również żadnych bogactw naturalnych. W związku z tym większość mieszkańców nie miała pracy. Jesienią 1992 roku napłynęło dodatkowo kilkadziesiąt tysięcy uchodźców z Osetii Północnej, których trzeba było nakarmić i ubrać.

Republika miała natomiast teatr. Powołał go na początku urzędowania prezydent Rusłan Auszew. Był to pierwszy w historii inguski teatr dramatyczny. Mieścił się w Nazraniu, w domu kultury i był wysepką szczęśliwości. Nie brakowało pieniędzy na kostiumy i rekwizyty, aktorzy regularnie otrzymywali pensje i pozostałe świadczenia.

Wystawiali komedie.

Ingusze są kuzynami Czeczenów. Mówią podobnym językiem i dawniej wielu badaczy sądziło, że stanowią dziesiąty czeczeński tuchum. Dzieje obu ludów biegły równolegle, czasem jednak krzyżowały się ze sobą. W 1924 roku bolszewicy powołali Inguski Obwód Autonomiczny, który obejmował ziemie dzisiejszej republiki oraz tak zwany rejon podmiejski. Stolicą obwodu był prawobrzeżny Władykaukaz. Na lewym brzegu mieli stolicę Osetyjczycy. Dziesięć lat później obwód inguski przyłączono do czeczeńskiego. Po kolejnych dwóch latach Czeczeno-Inguszetia otrzymała status republiki autonomicznej (ze stolicą w Groznym).

W 1944 roku, po deportacji Wajnachów, autonomię rozparcelowano. Rejon podmiejski wraz z inguską częścią Władykaukazu przypadły Osetii Północnej. Tereny te

pozostały osetyjskie także po 1957 roku, gdy Chruszczow odtworzył Czeczeno-Inguszetię. Jako rekompensatę republika dostała trzy rejony od Kraju Stawropolskiego. Leżały na północ od Tereku i osiedlali się tam Czeczeni - nie miały połączenia z resztą inguskich ziem. Zabrano Inguszom, oddano Czeczenom.

Deportacje narodów i ciągłe zmiany granic - ważne źródło kaukaskich konfliktów. Dziś na Kaukazie każdy może wskazać skrawek ziemi sąsiada i powiedzieć: „To było kiedyś nasze!”. Stąd tylko krok do obnażonych kindżałów. Potem wystarczy iskra: nieuważny gest, pochopne słowo, czyjaś śmierć. Zawsze znajdzie się watażka, który odurzy, otumani, przypomni dawną chwałę i teraźniejszą mizerię, potrząśnie kindżałem i każe iść za sobą, by przywrócić dziejową sprawiedliwość. Watażka ma zwykle możnych protektorów, obiecujących sławę, tytuły, zaszczyty. Rzadko robi to, w co wierzy.

Aż do lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku Kaukazczycy nie toczyli między sobą wojen. Owszem, bili się bez przerwy - o ziemie, łupy, kobiety. Nigdy jednak nie były to walki na śmierć i życie, prowadzące do całkowitego unicestwienia przeciwnika i zatarcia o nim pamięci. Hamulcem była nieuchronna wendeta. Powiadają, że na Kaukazie raz się strzela, a echo sto lat powtarza wystrzał.

Ingusze wrócili do rejonu podmiejskiego, choć nikt ich tam nie chciał. W ich domostwach żyli obcy ludzie, ich kilimy zdobiły cudze podłogi. Praca była tylko dla Osetyjczyków, podobnie opieka medyczna i wstęp na

wyższe uczelnie. Ingusz nie zostawi jednak swoich mogił. Wie, że kiedyś syn spyta go o ojczysty auł. Pod koniec istnienia Związku Radzieckiego w Osetii Północnej mieszkało czterdzieści tysięcy Inguszów.

Osetyjczycy bali się, że prędzej czy później przyjdzie im zapłacić za domy i kilimy. Strach tłumili opowieściami o swoich przodkach - Alanach, mieszkających nad górnym Terekiem do piątego wieku naszej ery, a więc na długo przed Wajnachami (ci zaczęli schodzić z gór i osiedlać się na równinach w wieku szesnastym). Przeciwstawiali tę starożytną indoeuropejską tradycję dzikiej, nieokrzesanej cywilizacji gór. Ze strachu zbroili się.

Zbroili się także Ingusze.

20 października 1992 roku transporter wojskowy przejechał we Władykaukazie inguską dziewczynkę. Następnego dnia osetyjska milicja napadła na kondukt pogrzebowy. Ingusze uderzyli. Spalili parę osetyjskich wiosek. Zabili kilkaset osób. W odpowiedzi Osetyjczycy spalili jeszcze więcej wiosek i zabili trzy razy tylu Inguszów. Na to Ingusze skrzyknęli się i pomaszerowali na Władykaukaz. Wtedy wkroczyło rosyjskie wojsko i wsparło Osetyjczyków. Ingusze uciekli do Inguszetii.

Wojna trwała niespełna tydzień. Była to jawna prowokacja.

Zanim cokolwiek się wydarzyło, do Nazrania przybyli agitatorzy: „Mordują waszych braci, a wy milczycie! Czy nie ma tu prawdziwych dżygitów?!” Wtedy jak spod ziemi wyrosły zbrojne oddziały i ruszyły w kierunku Osetii.

Ingusze z rejonu podmiejskiego nic nie wiedzieli. Przyłączyli się dopiero później.

Tego samego dnia we Władykaukazie pojawiły się ulotki: *Obywatele Osetii Północnej! Nie wolno mordować bliźnich! Nie jest grzechem być zabitym, ale jest grzechem zabijać! Nie wolno pogrążać się w grzechu, zabijając kobiety, dzieci i starców! Opamiętajcie się, inaczej przeklnie was Bóg, Cerkiew i cały myślący Naród!* Podpisano - Cerkiew Prawosławna. Ponoć ktoś wtajemniczony wyznał podczas spowiedzi, co się szykuje, a przejęty batiuszka próbował zapobiec tragedii.

Prowokatorami byli najpewniej Rosjanie. Mogli obiecać Osetyjczykom, że na zawsze pozbędą się Inguszów, a Inguszom, że dostaną z powrotem rejon podmiejski. Dzięki temu rejonowi Moskwa trzyma na uwięzi obie republiki. Kłótnie o sporne wsie, o powrót uchodźców i zapewnienie im bezpieczeństwa, o dziesiątki spraw, które trzeba załatwić przechodząc od wojny do pokoju, zajmą Osetyjczykom i Inguszom wiele lat. Pamięć o przelanej krwi będzie trwać pokoleniami.

Niewykluczone, że gra toczyła się także o Czeczenię. Gdyby Czeczeni przyszli Inguszom na pomoc, daliby Moskwie doskonały pretekst do interwencji. Dudajew zachował jednak zimną krew. Rosyjskie czołgi zaatakują więc Grozny dopiero dwa lata później.

Sachirat była w ósmym miesiącu, prawie nie wychodziła z domu. W południe usłyszała kanonadę. Pamięta, że krzyknęła na pierworodnego, który bawił się na podwórku, i

pomyślała o mężu. Tego dnia Sułtan wraz z innymi robotnikami naprawiał drogę - akurat w miejscu, skąd dochodziły strzały. Potem przybiegła sąsiadka, krzycząc: „Wojna! Wojna!”, a za nią wpadli Osetyjczycy. Szukali bojowników. Wrzucili do piwnicy granat, rozpruli wszystkie szafy. Na koniec podpalili dom: „Wynoście się!” Sachirat ruszyła w drogę z innymi kobietami. Każda z gromadką dzieci, każda w żałobie. Sułtan przynajmniej się nie męczył, zginął od razu, innych przed śmiercią torturowano. Szły cztery dni przez góry, szosa była zablokowana. Żywiły się korą i śniegiem. Nocami próbowały grzać się przy ognisku.

Urodziła w krzakach. Drugi syn! Dała mu Sułtan, po mężu. Kiedy podrośnie, pomści ojca. Zamieszkała w kontenerze, w jednym z wielu uchodźczych miasteczek, jakie wyrosły na obrzeżach Nazrania. Żyła z zasiłków. Czasem za parę rubli sprzątała u komendanta milicji. Ich „miasteczko” liczyło 620 osób, stałą pracę miało 10.

Spytałem ją, ile jeszcze wytrzyma. Powiedziała, że kilka miesięcy. Jeśli nie pozwolą im wrócić, sama weźmie automat i pójdzie walczyć. Lepiej umrzeć jak człowiek, niż żyć jak *sobaka* . Jak pies.

Wytrzymała dłużej. Po pięciu latach wciąż tkwiła w kontenerze. Tymczasem przetoczyły się dwie wojny czeczeńskie i uchodźców liczono już w setkach tysięcy. Nowi przybysze opowiadali historie, przy których bladły przeżycia Sachirat i jej koleżanek. U progu trzeciego tysiąclecia na jednego obywatela Inguszetii przypadał jeden uchodźca.

Wtedy, zaraz po exodusie z Osetii Północnej, chciałem zrobić Sachirat zdjęcie. Zgodziła się, przyczesała włosy - Inguszki w przeciwieństwie do Czeczenek rzadko zakładają chustę - wzięła chłopców, usiadła na wersalce. Sułtan od razu zasnął na kolanach, starszy Said kręcił się niespokojnie, aż Sachirat dała mu klapsa. Gdy błysnął flesz, chłopiec momentalnie uchylił się i zasłonił głowę rękoma: błyska - strzelają - trzeba się ratować! Dałem Saidowi aparat, objaśniłem, jak działa lampa. Mama wytłumaczyła wszystko jeszcze raz po ingusku. Kiwnął głową. Zrozumiał. Będzie już grzeczny. Ponowiłem próbę. Said zakrył rękami głowę.

- Gramy komedie, żeby na chwilę oderwać ludzi od tragedii - tłumaczył mi reżyser Hasan Agasijew. - Wystawiliśmy Goldoniego, Gogola i gruzińskiego dramaturga Cagarelego. Prawie zawsze są komplety. Przychodzą także uchodźcy, którzy nie płacą za bilet. Zwykle oddajemy im honoraria.

Trafiłem na próbę akademii ku czci Idrisa Bazorkina, organizowanej w rocznicę jego śmierci. Bazorkin był największym inguskim pisarzem. Sięgał po tematy historyczne. Kreślił panoramę kaukaskiego losu na przestrzeni historii. Hasan zainscenizował urywek jego powieści *Iz t'my wiekow* (Z głębi dziejów). Jest to rzecz o zakończeniu wojny kaukaskiej i nawróceniu Inguszów na islam.

- Pełnej wersji na razie nie wystawimy. Nie chcemy spekulować na autorytecie Bazorkina i pokazywać byle

czego, a zagrać na takim poziomie, aby wydobyć całą wielkość jego dzieła, jeszcze nie umiemy - powiedział reżyser.

Ingusze przyjęli islam jako ostatni z kaukaskich ludów. Zachowały się świadectwa z aułu Gwileti, którego mieszkańcy zostali muzułmanami w roku 1861. Było to dla nich symboliczne przedłużenie *gazawatu* , świętej wojny z niewiernymi.

Wcześniej dominowało chrześcijaństwo, przyniesione przed wiekami przez Gruzinów. U podnóża Gór Arżałmskich, niedaleko ujścia Targimu do Assy, stoi świątynka Tchaba-Erda, gdzie w dorocznym obrzędzie przeplatają się ze sobą obie religie, a pielgrzymi często wzdychają do bóstw z prastarego wajnachskiego panteonu.

(Jesienią 2001 roku żołnierze z rosyjskiej Pięćdziesiątej Ósmej Armii, odbywający w okolicy ćwiczenia, rozebrali dach świątyni. Głazy były im potrzebne do budowy zagród dla ciężkich wozów bojowych).

Po akademii siedliśmy w teatralnej garderobie. Byli reżyser Hasan i łysy jak kolano Selim Kurejszew, pierwszy bodaj Ingusz, któremu pozwolono studiować aktorstwo (otrzymał dyplom w 1978 roku w Leningradzie). Przyszedł stary Mahomet-Girej Chadzijew, który zadebiutował pod koniec lat czterdziestych w amatorskiej trupie, grającej w łagrze pod Karagandą ku uciesze teatromanów z nkwd.

Były chleb, ser, zielenina, wino.

Wszyscy aktorzy grali dawniej w Groznym, w państwowym teatrze Czeczeno-Inguszetii. Z rzadka

pozwalano im wystawić coś po ingusku, ale jednym ze spektakli wygrali Festiwal Czechowowski w Taganrogu. Kiedy indziej, tuż przed premierą, aktorów Inguszów powołano na ćwiczenia wojskowe.

- Byliśmy mniejszością w mniejszości - wspominał Selim - taką mniejszością do kwadratu. Inni mieli jednego starszego brata, my mieliśmy dwóch: Rosjan i Czeczenów. Czeczeni zawsze się wywyższali. Opowiadali o nas głupie dowcipy, a nasze dzieci, jeśli trafiły w szkole do czeczeńskiej klasy, nie miały łatwego życia. To bolało, bo uważaliśmy ich za braci. Kiedy ogłosili niepodległość, nawet o nas nie pomyśleli. Nie przyłączymy się do żadnej Wajnachskiej Republiki. Wolimy być z Rosją. Moskwa leży dalej niż Grozny.

Rozmowa zeszła na Bazorkina. Jego życie, dowodził Mahomet-Girej, odbija jak w zwierciadle dwudziestowieczną historię Inguszów. Stary zbierał listy pisarza, wysyłane do władz radzieckich w imieniu inguskich literatów, inguskiej inteligencji, inguskiego narodu, wszystkich narodów Kaukazu. Zebrałaby się gruba księga, obszerniejsza niż wszystkie powieści i poematy Bazorkina razem wzięte.

Pierwszy list wysłał jako początkujący poeta. Protestował przeciwko przyłączeniu obwodu inguskiego do czeczeńskiego. Potem pisał z zesłania: *W imieniu setek tysięcy kaukaskich górali, którym śmierć jawi się łaską wolności, wyzwoleniem od niewolniczego bytu, w imieniu ich dzieci, przyszłych członków społeczeństwa*

komunistycznego, w imieniu sprawiedliwości wołam: przeczytajcie ten list, który mógłby być pisany łzami i krwią. Przecież to od was zależy los narodów!

Pisał do Chruszczowa, domagając się zwrócenia Inguszom rejonu podmiejskiego. Pisał do Breżniewa, po rozgromieniu w 1973 roku pokojowej inguskiej demonstracji w Groznym. Po tamtym liście na wiele lat trafił na indeks i nie mógł publikować.

Pisał w okresie pierestrojki: *Oto przyszła wiadomość, że w Kazachstanie doszło do antyinguskich zamieszek i żąda się, byśmy wracali na Kaukaz. Do Groznego przyjechali już nawet pierwsi uchodźcy... Jeżeli mordują nas tam, dokąd wysiedlił nas Stalin, i jeżeli tutaj na Kaukazie nasze ojczyste ziemie i wioski wciąż okupują sąsiedzi, to pytam się, co mamy robić, gdzie szukać pomocy? Dlaczego jedne narody wciąż dominują nad drugimi, dlaczego nikt nie słyszy naszego głosu? Czym i przed kim zawiniliśmy?*

Ostatni list napisał po wypadkach z jesieni 1992 roku. Prezes rosyjskiego związku pisarzy powiadomił go, że w zaistniałych okolicznościach nie widzi potrzeby wydawania w Moskwie inguskiej literatury: *Przeczytałem. Zrozumiałem. Dziękuję za lekcję* .

Zmarł w 1993 roku w wieku 83 lat. Spoczął nad Assą, w górskim aule Egi-Kal, gdzie zachowało się najwięcej inguskich baszt. Baszty te powstawały między jedenastym a siedemnastym wiekiem. Dzieliły się na mieszkalne, półbojowe i bojowe - z wysuniętymi machikułami i wejściem

na wysokości drugiej kondygnacji. Wszystkie wzniesiono z ociosanego kamienia.

Największe wrażenie robią baszty bojowe. Są wysokie na dwadzieścia pięć do trzydziestu metrów, u podstawy mają szerokość pięć-sześć metrów, potem zwężają się. W środku kryją kilka pięter, czasem także jedno- lub dwukondygnacyjną piwnicę. Przypominają rakiety.

Stoją w ciasnych wąwozach, na skalnych występach, nad brzegami rzek. Zlewają się z otoczeniem. Jak turnie, piętrzą się ku słońcu.

Jedna z Egi-Kalińskich baszt należała do przodków Sachirat - dumnych górali, którzy nigdy nie pogodzili się z rosyjskim panowaniem.

- To wielka rzecz, stolica! - entuzjazmuje się Jakub Patijew, poeta i urzędnik jednego z inguskich ministerstw. - Najpierw stolicą był Władykaukaz. Niby nasz, a osetyjski. Potem Grozny: niby nasz, a czeczeński. Teraz nareszcie będziemy mieć coś własnego!

Ingusze wznoszą swą stolicę od zera, w szczerym polu, kilka kilometrów na południowy wschód od Nazrania. Postawili już pałac prezydencki, parlament i gmachy ministerstw. Wyasfaltowali ulice, doprowadzili wodę, gaz i prąd. Skończą, choćby mieli pracować za darmo. Dla synów. Dla następnych pokoleń.

Stolica będzie nazywać się Magas, czyli miasto słońca.

Dawniej każdy inguski auł posiadał legendę o swoim powstaniu. Magas też już ma legendę. Archeolodzy, którzy uwijają się wśród buldożerów, znaleźli trzy kurhany, cztery

miejsca pochówków i dwa grodziska. Odkopali sporo ceramiki, ozdób i miedzianych monet. Przedmioty pochodzą z późnej epoki brązu, wczesnej epoki żelaza i wczesnego średniowiecza. Dla uczonych to dowód, że starożytni Ingusze - bo kto inny? - osiedlali się na równinie tysiące lat temu. Dużo wcześniej niż Alanowie.

Z notatek (6)

5 czerwca 2010

W „Gazecie Wyborczej” artykuł Wacława Radziwinowicza o korupcji w rosyjskiej oświacie. Łapówkom za egzaminy wstępne na wyższe uczelnie miała zapobiec ujednolicona matura, ale jej wprowadzenie nie rozwiązało problemu:

Łapówki zaczęli brać nauczyciele szkół średnich pomagający uczniom zdobyć na JeGE [skrót oznaczający nową maturę] *liczbę punktów decydujących o przyjęciu na uczelnię. Proceder rozkwita szczególnie bujnie w regionach Kaukazu Północnego, gdzie nauczyciel po prostu nie może nie pomóc młodemu członkowi swojego klanu. Efekt jest taki, że we wrześniu, kiedy w Rosji zaczyna się rok akademicki, prestiżowe uczelnie zostały zalane przez przybyszy z Kaukazu, którzy masowo zaliczali JeGE z maksymalną liczbą punktów, co automatycznie dawało im miejsce na uczelni.*

Przypomniał mi się wywiad z nowo mianowanym prezydentem Inguszetii Junus-Bekiem Jewkurowem. Dziennikarz zapytał, czy już proponowano mu łapówkę:

- Tak, ale nie wziąłem.
- A ile?
- Dwa miliony siedemset tysięcy amerykańskich dolarów.
- Za co?

- Też się spytałem. Powiedzieli: „Za nic. To tak na pierwszy ogień, na drobne wydatki”.

Darial

Cała Osetia składa się z wąwozów między górskimi łańcuchami Wielkiego Kaukazu. Łańcuchy te dzielą się na wiele odnóg i także w nich, w różnych kierunkach, przebiegają wąwozy.

Aleksandr Janowskij, 1836

Droga z Nazrania do Władykaukazu: szpalery buków i jaworów, mostek, cmentarzyk. Po paru minutach dobijamy do głównej szosy. Opuszczamy Inguszetię. *A w naszym stujęzycznym Kaukazie* - pisał w połowie dziewiętnastego wieku Michał Butowt Andrzejkowicz - *jedziesz, zapalisz fajkę u ogniska jednego narodu, a nim ją skończysz, już miniesz kilka krajów i narodów.*

Jeszcze chwila i Czermen. Jesteśmy w rejonie podmiejskim, otaczającym Władykaukaz. Pełno tu rosyjskiego wojska i osetyjskiej milicji, pełno zasieków, szlabanów, posterunków.

Trwa wojna w Czeczenii, ale tu „wojna” wciąż oznacza rok 1992. Ona wcale się nie skończyła, przekonują miejscowi. Nie ma tygodnia, aby Ingusze nie dali o sobie znać: zakradają się nocą, mordują, gonią bydło. Miejscowi nie wspominają, że Osetyjczycy rewanżują się tym samym. W stawropolskiej gazecie przeczytałem o rozbiciu gangu, który specjalizował się w kradzieżach samochodów. W szajce było dwóch Rosjan, dwóch Inguszów i dwóch

Osetyjczyków. *Przestępcy nie mają narodowości* - skomentował dziennikarz.

Na rondzie w Czermenie trzeba skręcić w lewo. Mija się wieś i już widać Władykaukaz. Trasa liczy dwadzieścia parę kilometrów.

Inguskie uciekinierki, które poznałem w Nazraniu, nalegały, abym obejrzał ich zniszczone domostwa. Kobiety mieszkały w Redancie. „Ach, jakie tam były łąki, jakie sady!” - wspominały. Jadę, wyposażony w dawno nieaktualne adresy, nagryzmolone na szczątku serwetki.

Redant składa się z jednej ulicy, biegnącej równolegle do Tereku i szosy prowadzącej do Gruzji. Trudno tu znaleźć cały budynek. Przeważnie zostały resztki ścian, czasem same fundamenty. Podwórza zarosły wysoką trawą. W trawie kryją się dziurawe wiadra, stelaże od łóżek, zardzewiała armatura. Pod zdziczałą jabłonią parkuje wrak wołgi, pozbawiony wszystkiego, co może się przydać w nowym aucie.

Wśród ruin odnajduję kilkanaście zadbanych osetyjskich domów. Na płotach zachowały się napisy „Iron” i „Digoron”. Są to nazwy własne Osetyjczyków. Malowano je, aby napastnicy wiedzieli, kogo oszczędzić. Mieszkańcy nie chcą rozmawiać o byłych sąsiadach. „Było, minęło” - ucinają każde pytanie.

Przez wyrwę po oknie patrzę na Kaukaz, na dalekie ośnieżone szczyty i Górę Stołową, wysuwającą się przed szereg głównego grzbietu, na żółtawo-niebieską nitkę Tereku. Kaukaskie wojny są fotogeniczne, majestatyczna

sceneria dobrze komponuje się w telewizyjnym obrazie z krwią, panterkami bojowników i blachami czołgów. Z miejsca, gdzie stoję, operator mógłby ująć odległy lodowiec, następnie przejechać przez bliższe pagórki i rzekę i zatrzymać się na pobojowiskach Redantu.

Na gwoździu wbitym we framugę nieistniejących drzwi wisi yaleowski klucz. Od tego klucza operator mógłby rozpocząć opowieść o uchodźcach.

- Czujemy się ofiarami agresji - mówi mi Szurik Dzadzijew. - Agresji ze strony Inguszów.

Wylicza fakty:

- Rejon podmiejski zrósł się z Władykaukazem i Osetią. Zdążyliśmy założyć tu przemysł, wybudowaliśmy drogi. Właśnie rodzi się trzecie pokolenie Osetyjczyków, dla których będzie to ojczyzna. Do Inguszetii rejon należał tylko dwadzieścia lat. Wcześniej byli tutaj Kozacy.

- Przed Kozakami też byli Ingusze.

- Ale jeszcze przed nimi Alanowie.

Śmiejemy się. Ingusze, Czeczeni i Osetyjczycy zeszli z gór w podobnym czasie. Trudno uznać przedkaukaskie pogórze za wyłączne dziedzictwo jednego narodu.

A jednak historia stała się pułapką, labiryntem bez wyjścia.

Władykaukaskie księgarnie oferują wielki wybór pozycji o starożytnych indoeuropejskich ludach Scytów, Sarmatów, a zwłaszcza Alanów, którzy po wymieszaniu się z góralami Kaukazu dali początek współczesnym Osetyjczykom. W większości z tych prac naukowa refleksja łączy się z

doraźną publicystyką. Widać to nawet w tytułach: *Osetyjczycy - pradawny naród Kaukazu, Szkice alańsko-osetyjskie, Od Scytów do Osetyjczyków. Materiały osetynoznawcze.*

W książkach o tematyce współczesnej cytowani są: Herodot, Pliniusz Młodszy, Arrian z Nikodemii, Strabon, Demokryt, Plutarch.

Padły ostatnie reduty zdrowego rozsądku i dobrego smaku. W broszurze *Dawid Sosłan, Fryderyk Barbarossa... Alania od Palestyny do Brytanii,* dwaj autorzy dowodzą osetyjskości Chrystusa, który miał nazywać się Joszo Czyryszti. Narodziny w stajence, piszą, zgodne są ze scytyjską tradycją, a zwyczaj mycia komuś nóg w geście szacunku i miłości, zachował się do dziś w niektórych aułach Osetii Północnej. Dziełko ukazało się jako dodatek do kwartalnika literackiego, wydawanego przez tutejszy związek pisarzy.

- To nie tylko nasza specjalność - broni się Dzadzijew, gdy kładę mu na stół zakupioną literaturę. - Wajnachowie twierdzą, że są dziedzicami kultury urartyjskiej, a Bałkarzy i Karaczajowie mają się za spadkobierców Sumeru i Akadu. My rzeczywiście poszliśmy dalej, wulgarny historyzm stał się obowiązującą ideologią. Władze trąbią o odrodzeniu Alanii. Mój Boże, przecież nigdy nie było takiego państwa, były hordy Alanów koczujące w stepie.

Osetia Północna-Alania. Tak od lat dziewięćdziesiątych nazywa się republika.

Dzadzijew słabo mówi po osetyjsku. Chodził do szkoły w latach sześćdziesiątych, kiedy ojczysty język nie był wykładany, na dodatek wychowywał się w mieście. Studiował historię na uniwersytecie we Władykaukazie, doktoryzował się w Instytucie Etnografii w Moskwie, potem zajął się socjologią i politologią. Wykłada, prowadzi badania, sporo publikuje, także na Zachodzie, jeździ na międzynarodowe konferencje. Żona Nina, z pochodzenia Ormianka, pracuje jako socjolog. Córka Elżbieta, dwudziestoletnia piękność, kończy historię i ma inguskiego kolegę, z którym spotyka się w Nalczyku w Kabardyno-Bałkarii. Poznali się na stypendium, w Lozannie czy w Londynie.

- Kaukaz zaatakowały dwa wirusy. - Dzadzijew nalewa nam wódki, jakby chciał zaraz odkazić zainfekowane miejsce.

Siedzimy rosyjskim zwyczajem w kuchni, wódkę zagryzamy bakłażanami, goście, którzy wpadli na moment, a zostali przez cały wieczór, już sobie poszli, kobiety śpią, musli na jutro przygotowane (niemieckie, z otrębami i rodzynkami, można je dostać tylko w delikatesach), e-maile wysłane (na szczęście był prąd). Szurik co chwila zrywa się, biegnie do pokoju, wraca z książką, gazetą, wydrukiem, pokazuje, komentuje i znów się zrywa. Na stole rośnie sterta materiałów, które muszę koniecznie skserować.

- Pierwszy wirus to „najnaizm”, drugi to „samość” - tłumaczy. - Zarażony osobnik uważa, że jego naród jest najstarszy, najdzielniejszy i najgościnniejszy, ale też

najbardziej pokrzywdzony. Aby w pełni rozwinął skrzydła, musi odgrodzić się od wrogiego otoczenia i zacząć samemu się rządzić, samemu bronić, samemu pisać swoją historię. Najlepiej we własnym państwie, własnej republice. Z chwilą wywieszenia flagi i odśpiewania hymnu skończą się wszystkie kłopoty! Choroba dotyka elity, inteligencję. Prosty chłop nigdy nie słyszał o Alanach ani o starożytnych pra-Wajnachach. Dopiero gdy jakiś miły pan wyjaśnił mu na wiecu, że sowchozy nie płacą pensji, bo pieniądze idą na zasiłki dla wielodzietnych inguskich rodzin, chłop poczuł, jak wzbiera w nim narodowa duma. Celem takich panów jest władza. Nawet na dwóch tysiącach kilometrów kwadratowych. Nawet nad garstką współobywateli, etniczną podpodgrupą. Nawet za cenę krwi.

W starej epoce, w niespokojnym roku 1991, Dzadzijew proponował, aby wsiom z rejonu podmiejskiego przywrócić inguskie nazwy, otworzyć tam inguskie szkoły i powołać inguski samorząd. Nie był sam, podobnie myślała cała grupa ekspertów, przygotowująca analizy dla północnoosetyjskiego kierownictwa. Teraz boi się dzieci, które dorastają w kontenerach pod Nazraniem. Boi się, że któregoś dnia Ingusze znowu ruszą na Władykaukaz.

Pytam go, czy wirusy „najnaizmu” i „samości” to syndrom postkolonialny. Odpowiada, że nie. Kiedy przyszła Rosja, tłumaczy, górale żyli jeszcze we wspólnocie pierwotnej. Władza sowiecka dała przemysł, edukację, wreszcie państwowość w postaci autonomii. Tego i owego pominięto, z większych ludów Abazynów, Nogajów oraz Kumyków, ale

obowiązywał internacjonalizm, nie było ważne, kto gdzie mieszka. Wszystkich traktowano równo, wyjątkiem były stalinizm i deportacje. To nie był kolonializm w stylu angielskim.

Dzadzijew nie tęskni za starym, odnalazł się w nowych czasach. Jest człowiekiem światłym, demokratą. Jest jednak również Osetyjczykiem. Gdyby był Inguszem, nigdy by tak nie powiedział.

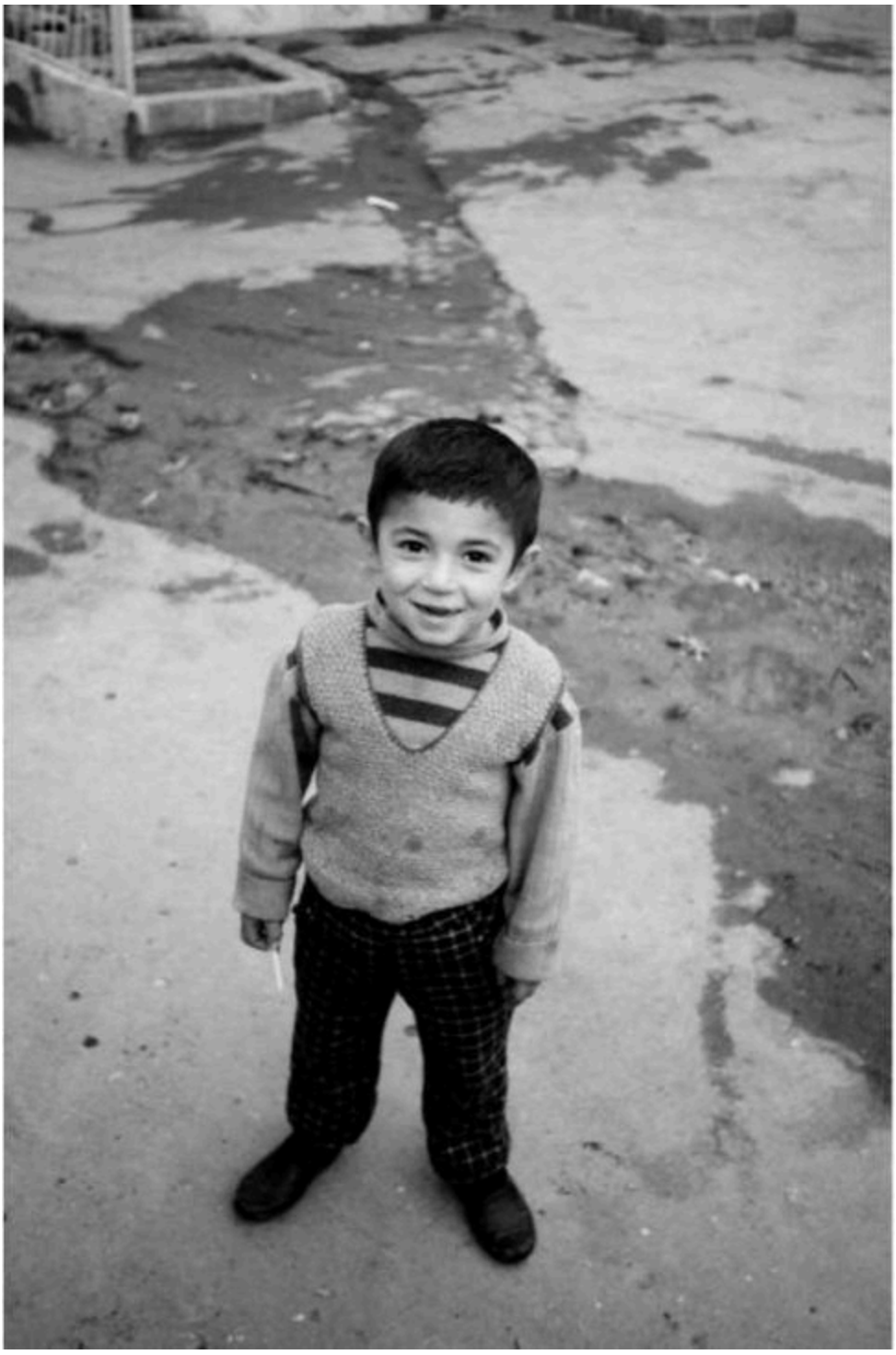

Derbent, Dagestan

***

Aleja Pokoju: dwie jezdnie, pośrodku wysadzany platanami bulwar dla spacerowiczów. Niska, secesyjna zabudowa z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Ruch niewielki, chociaż to ścisłe centrum, nie czuć oddechu trzystutysięcznej metropolii.

Próbuję wyobrazić sobie Władykaukaz sto lat temu, gdy Aleja Pokoju była Prospektem Aleksandrowskim, a zamiast Osetii Północnej był obwód terecki. Miasto liczyło pięćdziesiąt tysięcy dusz. Deptakiem przechadzały się panie w długich sukniach, z parasolkami od słońca. Wśród kamizelek i surdutów migały góralskie płaszcze, *beszmety*. Cerkiewne dzwony zagłuszały śpiew muezina. W kierunku hotelu Europejskiego ciągnęła procesja dorożek - właśnie przybył pociąg z Rostowa nad Donem.

Rosyjski teatr wystawiał Moliera i Schillera, muzeum kaukaskie zapraszało na wystawę górskich kamieni, otwarto bibliotekę publiczną. Miłośnicy kozackiej przeszłości Tereku założyli towarzystwo oświatowe.

W powietrzu wisiał zapewne niepokój, tak charakterystyczny dla miast przyfrontownych. Dawno ujarzmieni Wajnacho-wie znowu podnosili głowy: coraz częściej zdarzały się napady na pobliskie wsie, w tajemniczych okolicznościach ograbiono i zamordowano kilku szanowanych kupców. Miejscowy garnizon nie bardzo sobie z tym radził, głównym zadaniem żołnierzy była ochrona starej Gruzińskiej Drogi Wojennej, prowadzącej do Tyflisu (dziś Tbilisi), i właśnie oddanej Osetyjskiej Drogi Wojennej, łączącej Władykaukaz z Kutaisem (Kutaisi).

Pierwsza z nich miała dla Rosji większe znaczenie niż cała Czeczeno-Inguszetia, razem z nogajskim stepem i krajem Czerkiesów.

Szlak wiedzie przez Darial, czyli „wrota Alanów”. To jedyne naturalne przejście przez Kaukaz, tylko w tym jednym miejscu góry rozchylają się i tworzą szczelinę. Nigdzie indziej na całej tysiąckilometrowej długości głównego grzbietu nie da się przekroczyć Kaukazu z wojskiem i ciężkim sprzętem. Wiele ludów przechodziło tędy od zarania dziejów, wiele bitew stoczono o ten przesmyk. Bo Darial zawsze oznaczał władzę. Kto wziął Darial, brał wszystko dokoła. Kto tutaj dotarł - zostawał panem południa i północy.

Kiedy w 1774 roku Rosja przyłączyła Osetię, już nic nie mogło jej powstrzymać przed zagarnięciem Gruzji, Azerbejdżanu i Armenii. Dlatego strzegła Wąwozu Darialskiego jak najcenniejszego klejnotu. Inne szlaki nie były aż tak ważne. Trakty biegnące wybrzeżem Morza Czarnego i Morza Kaspijskiego miały charakter lokalny. Droga Osetyjska wraz z przebitą w tym samym czasie Drogą Suchumską nadawały się do użytku jedynie latem.

Osetyjczycy wspierali Rosjan. Trudno powiedzieć, na ile był to poryw serca, na ile chłodna kalkulacja - nękani przez książąt Kabardy i wajnachskich zbójników, od dawna trzymali się cienistych wąwozów i wysokich przełęczy. Dzięki Rosjanom mogli odetchnąć od sąsiadów i zejść na równinę.

Zachowywali się inaczej niż pozostali górale. Nie wzniecali powstań, chętnie przyjmowali chrzest (niektórzy po kilka razy, bo misjonarze płacili za nawrócenie żywą gotówką). Posyłali dzieci do szkół parafialnych, które zaczęto otwierać w roku 1860, czyli tuż po klęsce Szamila. W przededniu bolszewickiej rewolty aż piętnaście procent Osetyjczyków umiało czytać i pisać. Wśród ludów muzułmańskich, które nie miały żadnych szkół, ten odsetek nie przekraczał jednego procenta.

Masowo zaciągali się do wojska. W dwudziestym wieku żaden inny naród nie dał Rosji, najpierw carskiej, a potem sowieckiej, tylu generałów i zawodowych oficerów (w stosunku do liczby ludności).

Najprawdopodobniej korzenie osetyjskie miał Józef Stalin (pisał o tym nawet Mandelsztam).

Osetyjczycy dochowali się rzesz prawników, lekarzy, artystów. Ojcem założycielem nowożytnej osetyjskiej kultury był Kosta Chetagurow z aułu Nar (1859-1906), zdolny malarz i wielki poeta, poza tym publicysta, etnograf, muzykolog, działacz oświatowy. Pisał po osetyjsku i rosyjsku. Stał się patronem kilku pokoleń górskiej inteligencji.

Jest niedziela. W parku imienia Chetagurowa, leżącym między Terekiem a Aleją Pokoju, ludno i gwarno. Na ławeczce siedzi bezzębny dziadzio, gra na akordeonie skoczne melodie. Od razu gromadzą się słuchacze, najpierw podrygują, potem zaczynają tańczyć.

Po drugiej stronie rzeki stoi barwny meczet z początków dwudziestego wieku. Przez wiele lat mieścił muzeum, wierni odzyskali świątynię za Gorbaczowa. W 1996 roku ktoś podłożył tam bombę, ofiar nie było. Wiosną 1999 roku bomba wybuchła na pobliskim rynku. Zginęły sześćdziesiąt cztery osoby. W listopadzie 2008 roku samobójczy zamach w marsz-rutce kosztował życie dwunastu ludzi.

Tama znajduje się u wejścia do Wąwozu Darialskiego, na wysokości punktu granicznego „Górny Lars". Przegradza Terek. Spiętrzona woda napędza turbiny elektrowni - tutaj rodzi się prąd dla Władykaukazu oraz rejonu podmiejskiego. Operator zapory ma na imię Biesłan i jest Inguszem. Bodaj jedynym, który pozostał w Osetii.

- Tego dnia pojechałem do miasta - opowiada. - Zobaczył mnie znajomy Osetyjczyk: „Nie wiesz, co się dzieje?!" Wróciliśmy jego autem na tamę. Zabarykadowałem się z żoną i dziećmi w służbówce. Ktoś strzelał, ale trafił tylko w posążek robotnika, który stał obok transformatora. Wieczorem Osetyjczycy weszli do mojego domu. Mieszkaliśmy niedaleko, w Czmi. Wszystko widziałem - na dowód podsuwa mi lornetkę.

Rzeczywiście, dobrze widać zgliszcza.

- Dom spalili później - objaśnia. - Jak bojownicy sobie poszli, to przyszli sąsiedzi. Dwa dni wynosili rzeczy. Chciałem żenić najstarszego syna, wszystko przygotowałem do wesela, a oni to wynosili. Co myślałem? Nic nie myślałem. Ile byś nie myślał, lżej nie będzie. Potem trochę się uspokoiło i mogłem wyprawić rodzinę do Nazrania. Gdy

przyjechałem, domu już nie było. Na szczęście ocalała spiżarka, trzymaliśmy tam ziemniaki i suchary. Miałem co jeść przez dwa miesiące. Dlaczego zostałem? Bo w Inguszetii jest nędza, nie potrzebują jeszcze jednej gęby do wykarmienia. Tutaj zawsze było lepiej. Poza tym ktoś musiał pilnować tamy.

Częstuje herbatą. - Na źródlanej wodzie! - zachwala.

- Urodziłem się we wsi po stronie gruzińskiej. W chwili deportacji miałem dwa tygodnie. Trafiliśmy do obwodu kokczetawskiego w Kazachstanie. Tam zmarli mój ojciec, mój dziadek i moi bracia. W tym czasie do naszej *sakli* wprowadzili się Gruzini. Przyzwoici ludzie, gdy wróciliśmy, oddali nam połowę domu. Nie mieli dokąd pójść, więc zamieszkaliśmy razem.

Do Czmi najpierw przeniosła się matka. Dostała posadę szwaczki we Władykaukazie. W Gruzji nie było żadnej pracy, tu było odrobinę lepiej. Jak zwolnili mnie z wojska, też zostałem w Czmi. Ożeniłem się, urodziły się dzieci. Jeździłem karetką w pogotowiu. W osiemdziesiątym czwartym znajomy załatwił mi tę tamę. Dla Ingusza to wielka kariera.

Teraz idzie na obchód. Musi sprawdzić poziom zbiornika.

- Kto zawinił? Ci, którzy zaczęli. Prowodyrzy. I ci, którzy przyłączyli się do nich, poparli. Miałem osetyjskich przyjaciół, żyliśmy jak bracia. Kiedy raz spóźniłem się na autobus, to jeden mnie przenocował, choć mieszkał z żoną w małym pokoju. Nie wiem, co w ludzi wstąpiło.

Poziom w normie.

- I jeszcze zawinił Gorbaczow - dodaje z przekonaniem. - Nie musiał rozwalać ZSRR, przynajmniej nie tak od razu. Żyliśmy dobrze, bez żadnych granic, były praca i pieniądze. Było prawo, a teraz nie ma żadnego prawa. Każdy robi, co chce, alkoholizm się szerzy, narkomania. Choć może ta demokracja nie jest taka zła, może ona tylko na początku tak strasznie wygląda, może jeszcze będzie lepiej.

Ma trudności z zasypianiem, więc czyta. Ostatnio *Bohaterskie podziemie*, o radzieckich partyzantach. Najbardziej lubi Dickensa. *Olivera Twista* zna prawie na pamięć.

Nie boi się. Dyrektor wyrobił mu specjalną przepustkę. Ale do Władykaukazu nie jeździ, po co kusić los. Sprawunki załatwiają mu sąsiedzi.

Jak żyje z sąsiadami? Z tymi, którzy wynosili jego dobytek?

- Nikogo za rękę nie złapałem. Matka uczyła mnie, że złodziej ma na sumieniu jeden grzech, a ten, kogo okradli, ma wiele grzechów, bo podejrzewa tamtego, owego, jednego, drugiego, trzeciego. Jeżeli oni są uczciwi, to wobec każdego z nich grzeszy.

Co dalej?

- Będziemy ze sobą żyć, nie przeprowadzimy się na księżyc - mówi z przekonaniem. - Musi minąć trochę czasu, przynajmniej jedno albo dwa pokolenia. Nasi starcy muszą spotkać się z osetyjskimi, a potem powiedzieć narodowi, co robić. Ojcowie muszą powstrzymywać synów, studzić rozpalone głowy. Dużo jest chuliganerii, ale dobrych,

rozumnych chłopaków też nie brakuje. I po naszej stronie, i po tamtej.

Biesłan zamyśla się. - Są rodziny, które straciły po dziesięć, jedenaście osób - zgina palce, jakby rachował w pamięci. - Ci ludzie nigdy nie zapomną, nawet za sto lat. U nas, w Czmi, żaden Ingusz nie miał nawet samopału, nie było jak bronić własnego domu, rodziny...

Herbata, obchód, herbata.

Pora wracać do Władykaukazu.

Nagle uświadamiam sobie, że Władykaukaz jest zdany na łaskę tego drobnego człowieczka, Ingusza w śmiesznym berecie, operatora tamy! Ma potężną władzę. Los tysięcy Osetyjczyków jest w jego ręku. A oni o niczym nie wiedzą.

- Biesłan - mówię - mogłeś zniszczyć miasto, mogłeś je zalać albo pozbawić prądu. Mogłeś nasypać jakiegoś świństwa do Tereku. Władykaukaz bierze z tej rzeki wodę.

Patrzy na mnie zdumiony. Nie rozumie. Przecież to nie honor strzelać zza węgła.

Jest mi cholernie wstyd.

Jedziemy na wycieczkę: Szurik Dzadzijew, jego dwóch kolegów i ja.

Stajemy nad górnym Gizeldonem, w pobliżu wsi Dargaws. Na łagodnym stoku jednego z masywów tkwi dziewięćdziesiąt pięć grobowców, wyglądających jak kolonia domków kempingowych. Zbudowane są na planie kwadratu, mają kamienne, bielone ściany i spiczaste dachy, ułożone z poziomych warstw czarnych łupków. Każdy łypie

na świat jednym malutkim okienkiem, wybitym przy samej ziemi.

Miasto umarłych, tak nazywa to miejsce naród.

Najstarsze pochówki datują się na piąty wiek, pierwsze, częściowo podziemne mogiły na dziewiąty. „Domki” wznoszono od czternastego do osiemnastego wieku.

Mają po dwie izby. Nieboszczyka kładziono zawsze w pierwszej, z okienkiem. Gdy umierała następna osoba, szczątki przenoszono do drugiej, zwalniając miejsce dla nowego przybysza. Każdy grobowiec należał do innego rodu.

Archeolodzy weszli do miasta umarłych dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych. Długo bali się klątwy nieznanych pokoleń. Bali się jej także rabusie. Okazało się, że przedmioty, kładzione przy zmarłych - ceramika, srebrna biżuteria, drewniane naczynia - były nietknięte. Spoczywały obok dawnych właścicieli przez kilkaset lat.

Witalij Tmienow, który jest z nami, uczestniczył w wykopaliskach od samego początku. Zrobił z grobowców doktorat i habilitował się. Pisze o nich do dziś w fachowych periodykach i prasie codziennej.

Pytam go, kto tu leży.

- Ludzie - odpowiada. - Tacy jak my wszyscy.

Z notatek (7)

2 lipca 2009

Odszedł Szurik - Aleksandr Borysowicz Dzadzijew. Osetyjczyk. Jeden z tych, którzy uczyli mnie Kaukazu. Niezastąpiony przewodnik po świecie klanów, adatów i zagmatwanej kaukaskiej polityki.

Był Kaukazczykiem z krwi i kości, ale umiał spojrzeć na region z zewnątrz. Tępił aksjomaty, stereotypy, objawione prawdy. Za artykuły o konflikcie osetyjsko-inguskim dostawało mu się i od Inguszów, i od rodaków.

Poznałem go na początku niespokojnych lat dziewięćdziesiątych. Potem wpadałem do niego zawsze jak byłem w okolicy. Widziałem, jak z pełnego energii uczonego, który przy każdej okazji wyrywa się w teren, kąpanego w gorącej wodzie polemisty, intelektualnego dżygita - zamienia się w kaukaskiego mędrca, aksakała.

Ostatni raz widzieliśmy się w maju 2008, gdy jeździłem po Kaukazie z W. K. Gadaliśmy kilka godzin, potem Szurik zorganizował chleb, kiełbasę, wódkę, popitkę i ładę niwę - i ruszyliśmy na szybki piknik do miasta umarłych.

Opowiedział nam dowcip o trzech Gruzinach (znał tysiące dowcipów, najbardziej lubił takie, w których spotykali się przedstawiciele różnych narodów, opowiadał je genialnie i jestem prawie pewien, że niektóre wymyślał sam).

- Nie wiesz - pyta Soso Gogiego - co się dzieje z naszym Giwim? Sto lat go nie widziałem.

- Ożenił się w zeszłym miesiącu.

- Nie bujaj! - nie dowierza Soso. - Ten niechluj i pijus znalazł sobie kobietę?

- Jak matkę kocham! - zaklina się Gogi.

- No, no, co ty powiesz. A kto jest tą wybranką?

- Polka.

- No nie, teraz to już naprawdę przegiąłeś!

Ty przegiąłeś, Szura. Umawialiśmy się, że tam, nad Gizeldonem, będziemy świętować Twoje stulecie. Że kupimy wagon wódki i osetyjskich pierogów. Że zamówimy orkiestrę.

Zabrakło Ci czterdziestu lat.

Uastyrdży

Z niepokojem przyjęliśmy wiadomość, że do Osetii Południowej, która proklamowała u siebie Republikę Sowiecką, skierowane zostały, w celu obalenia tejże republiki, gruzińskie wojska. Jeżeli to prawda - będziemy stanowczo domagać się ich wycofania, gdyż uważamy, że Osetyjczycy powinni mieć taką władzę, jakiej sami sobie życzą. Akcja Gruzji w Osetii Południowej byłaby niczym nieusprawiedliwioną ingerencją w cudze wewnętrzne sprawy.

Gieorgij Cziczerin, 17 maja 1920

- Miron.
- Kazbek.
- Sosłan, ale mówcie mi Sasza.

Nie budzili zaufania. Mieli po dwadzieścia parę lat i ogolone głowy, nosili dresy i czarne okulary. Zachowywali się hałaśliwie, klepali nas po plecach jak starych, dawno niewidzianych znajomych, bez powodu wybuchali śmiechem. Jednocześnie rozglądali się nerwowo, nasłuchiwali, węszyli. Chcieli wyglądać na panów tej drogi, tego miasta, a może nawet całego Kaukazu, ale im bardziej się starali, tym mniej byli przekonujący.

Podobnych chłopaków widywałem w Dagestanie, w Kabardyno-Bałkarii, w Adygei i w Gruzji. Kręcili się zwykle w pobliżu dyskotek i dworców, proponowali drobne usługi

w rodzaju wymiany pieniędzy, zorganizowania alkoholu lub panienki na godziny. Potrafili być serdeczni i bezinteresowni - kiedyś w Nalczyku, gdy nie miałem gdzie spać, jeden zawiózł mnie do swojej babci. Zgrywali wielką mafię, ale zamiast jeepów mieli radzieckie rzęchy, czasem wysłużonego golfa czy escorta. Żyli w nieustannym strachu i cała fanfaronada, cały knajacki sznyt były zaklinaniem Fortuny. Bali się rzeczywistych ojców chrzestnych, innych wyrostków oraz siebie nawzajem, bali się milicji i wszelkich służb mundurowych.

Było to nowe pokolenie *bezprizornych* , dzieci popierestrojkowych zawirowań i kryzysu lat dziewięćdziesiątych. Pochodzili często z rozbitych, patologicznych rodzin, nie uczyli się, nie pracowali. Wcześnie poznali narkotyki, jeszcze wcześniej broń. Każdego dnia musieli na nowo walczyć o przetrwanie. Kaukascy bezprizorni różnili się od kolegów z innych części dawnego Związku Radzieckiego. Mieli jakąś godność i dumę i rzadko rozrabiali na własnym podwórku.

Tamta trójka podróżowała ładą z przyciemnionymi szybami i fantazyjnym spoilerem. Szerokie opony wystawały poza linię karoserii. W środku pachniało wodą kolońską i kiepskim tytoniem. Dwa miejsca były wolne.

- Wsiadajcie!

Dochodziła dziesiąta. Zapadał zmierzch, który wróżył kłopoty. O tej porze Cchinwali przechodziło we władanie uzbrojonych band, przy których podrzędni kombinatorzy, na jakich wyglądali Miron, Kazbek i Sasza, stanowili

uosobienie cnót. W okolicy pozostawało sporo opuszczonych mieszkań, nierozszabrowanych gospodarstw i fabrycznych składów, i to one, obok samochodów i zdziczałego bydła, były celem rabusiów. Bandy składały się z osetyjskich bojowników i gruzińskich gwardzistów, którzy po ogłoszeniu rozejmu nie potrafili znaleźć dla siebie miejsca. Dołączyli do nich renegaci z całego regionu, szukający w Osetii Południowej azylu przed wymiarem sprawiedliwości i rodową zemstą. Prawem stał się tu kałasznikow, automaty sprzedawano na rynku po pięćdziesiąt dolarów.

Życie w mieście zamierało późnym popołudniem. Ludzie chowali się po domach, milicja barykadowała się w komisariatach. Potem szybko gasły lampy naftowe i kaganki. Zdawało się, że Cchinwali chce się ukryć, zataić swoje istnienie, wstrzymać oddech. Z pierwszą gwiazdą rozlegały się strzały - i nie milkły przez całą noc. Rankiem miasto liczyło straty.

Tamtego dnia obrabowano dom Dzukajewów przy ulicy Kirowa. Zginął dziadek Beso. Ponoć rzucił się na bandytów z nożem i nawet jednego zranił. Dzukajewowie dawno przenieśli się do Rosji, dziadek został, aby pilnować dobytku. Był weteranem wojny ojczyźnianej, myślał, że zostawią go w spokoju.

Przyjechaliśmy z Igorem tylko na chwilę i musieliśmy zaraz wracać do Władykaukazu. Wydostać się z Cchinwali nie było łatwo. Autobusy jeździły nieregularnie, taksówkarze bali się ruszać w dalsze trasy. Postanowiliśmy

szukać szczęścia na rogatkach, gdzie rozłożył się posterunek rosyjskiego batalionu pokojowego. Żołnierze pochodzili z Wyborga, nie wiedzieli, kogo i przed czym ochraniają. Kazano im sprawdzać dokumenty i zabierać broń. Sprawdzali więc, a przy okazji pytali kierowców o cel podróży. Niestety, auta jechały tylko do pobliskich wiosek albo były wypchane towarem i ludźmi. Po paru godzinach straciliśmy nadzieję. Igor uważał, że powinniśmy zostać na posterunku - było tu bezpiecznie i mogliśmy zdrzemnąć się na workach z piaskiem. Ja chciałem iść do centrum. W mieście zawsze ktoś by nas przygarnął.

Łada stanęła pod szlabanem dokładnie w chwili, gdy od strony Dżawy dobiegły pierwsze tej nocy wystrzały. Musieliśmy szybko podjąć decyzję.

- Jedziecie czy nie? Śpieszymy się.

Są dwie Osetie. Północna należy do Rosji, Południowa znajduje się w Gruzji. Pomiędzy nimi rozciąga się główny grzbiet Kaukazu. Tamtędy przebiega granica.

Nazwa „Osetia” jest pochodzenia gruzińskiego.

Osetyjczycy zaczęli kolonizować południowe zbocza gór około trzynastego wieku naszej ery. Swoim zwyczajem osiedlali się głównie w wąwozach. Gruzińskim książętom i możno-władcom, *erystawom* nie przeszkadzali - chętnie wstępowali do ich drużyn, zadziwiając wszystkich wojenną sztuką. Z czasem wykształcili odrębny dialekt i własny obyczaj, nie zerwali jednak kontaktów z braćmi z północy.

Osetię Południową jako odrębną jednostkę administracyjną wymyślili bolszewicy. Armia Czerwona,

która wkroczyła do Gruzji w roku 1921, kładąc kres jej trzyletniej niepodległości, wykorzystała jako pretekst panujące tam antyosetyjskie nastroje. Osetyjczycy w przeciwieństwie do Gruzinów poparli władzę sowiecką. Moskwa ogłosiła, że „bierze Osetyjczyków pod swoją opiekę”! Południowoosetyjski Obwód Autonomiczny utworzono w sercu gruzińskich ziem, parę kilometrów od Gori, niemal na przedmieściach Tbilisi.

Gdy pod koniec lat osiemdziesiątych Gruzja znów chciała się usamodzielnić, władze w Cchinwali przekształciły obwód w republikę i ogłosiły zamiar połączenia się z Północą. Była to faktyczna secesja, bo zjednoczona Osetia miałaby wejść w skład Federacji Rosyjskiej. Tbilisi tylko dolało oliwy do ognia, likwidując w odpowiedzi południowoosetyjską autonomię.

W 1990 roku wybuchła wojna, która toczyła się z przerwami przez dwa lata. Winne były obie strony. Zachłyśnięci wolnością Gruzini zlekceważyli żądania mniejszości, Osetyjczycy domagali się zbyt wiele. Między narodami nie było nienawiści, zdarzały się mieszane małżeństwa i gruzińsko-osetyjskie wsie. Potem, niemal w jednej chwili, jedni i drudzy oszaleli, uwierzyli w knute przez stronę przeciwną spiski i zakulisowe intrygi. Wrogiem stał się najbliższy sąsiad, kolega z pracy, przyjaciel ze studiów. Uprzedzeniom sprzyjały brak poczucia bezpieczeństwa i nieuleczalna kaukaska mitomania (ktoś powiedział, że Kaukazczycy są okrutni i naiwni jak dzieci). Drogi zapełniły się uchodźcami, Gruzini uciekali z

Cchinwali, Osetyjczycy z Gruzji „właściwej”, nieautonomicznej. Separatyści wygrali wojnę i utworzyli przedziwną republikę, nieuznaną przez żadne państwo ani organizację międzynarodową.

W 2000 roku Osetia Południowa świętowała dziesięciolecie. Miała własne godło, flagę i hymn, a także prezydenta i parlament, wojsko i policję, sądy i prokuraturę. Emitowała znaczki pocztowe, zawierała traktaty z innymi parapaństwami: Naddniestrzem, Karabachem, Gagauzją. Kolejne rundy rozmów z Tbilisi kończyły się fiaskiem.

Wtedy, w roku 1994, ślady wojny były świeże i niezabliźnione.

Po mieście oprowadzał nas Batras Charebow, minister informacji w samozwańczym południowoosetyjskim rządzie, z wykształcenia demograf. W chwili kryzysu do polityki trafiają ludzie najrozmaitszych profesji, na Kaukazie spotykało się ministrów matematyków, parlamentarzystów weterynarzy, a nawet premiera trenera dżudo. Najwięcej było wojskowych. Generałami byli dwaj prezydenci Czeczenii, Dudajew i Maschadow, prezydent Inguszetii Auszew, przywódca Bałkarów Bieppajew, lider Karaczajów Siemionow, oponent kałmuckiego satrapy Ilumżynowa, Oczyrow. Kaukaz pragnął wodza, śnił o dzielnym i prawym hetmanie.

Politycy z Cchinwali byli małymi karierowiczami. Przy pierwszej okazji porzucili swoje zajęcie i ludzi, których prowadzili kiedyś na gruzińskie czołgi. Czmychali do Osetii

Północnej, do Moskwy albo na Zachód, zakładali firmy, handlowali. Premier Oleg Tezijew miał wywieźć do Austrii osiem milionów dolarów, wyprowadzonych z rosyjskich banków na sfałszowane awiza. Wiceprzewodniczący parlamentu Alan Czoczijew, skorumpowany do szpiku kości, schronił się we władykaukaskim instytucie, gdzie wykładał socjologię i politologię. Po latach z pierwszego, „niepodległościowego" kierownictwa na miejscu zostanie jeden Charebow, z wolna staczający się w alkoholizm, oraz paru działaczy niższego szczebla.

Ofiary wojny spoczywały na podwórzu szkoły numer 5 - w czasie walk miejski cmentarz znalazł się na linii ognia. Prowizoryczna nekropolia przypominała ogródek. Mogiły układały się w kilkanaście rzędów - rabatek, ostatnie prawie dotykały bloku mieszkalnego, który zamykał podwórze od wschodu. Na tabliczkach powtarzały się daty 1991 i 1992, ale były także późniejsze. W jednym z grobów leżał dwudziestoparoletni Gabi, który stracił na wojnie obie nogi. Kilka tygodni przed naszym przyjazdem zginął z rąk terroryzujących miasto rzezimieszków.

Charebow tłumaczył, że bandytyzmu nie dało się uniknąć - towarzyszy powojennemu rozprężeniu zawsze i pod każdą szerokością geograficzną. Wojna, mówił, to wielkie moralne bagno, pochłaniające ludzkie dusze. To rodzaj choroby wirusowej, na którą zapada się od pierwszych godzin konfliktu. Potem w pewnym momencie karabiny milkną, ale tamten bakcyl wciąż działa. Część ludzi nie daje sobie z nim rady: oni w dalszym ciągu chorują, w dalszym ciągu walczą.

Nie ma już wroga zewnętrznego, więc walczą z jakimś wrogiem wewnętrznym.

Wojna jest łatwiejsza niż pokój. Na wojnie wszystko jest białe albo czarne, są przyjaciele i nieprzyjaciele. Jest wreszcie broń, która daje władzę i poczucie panowania nad losem. Pokój to nieskończone odcienie szarości, trudne wybory i rozczarowanie nowym życiem - bo po wojnie nic nie jest takie samo jak dawniej.

W Osetii Południowej panowała nędza: Charebow dostawał miesięczną pensję raz na pół roku, robotnikom płacono kaszą albo wódką. Trzeci rok nie było prądu. Niewielka pomoc szła z Władykaukazu, trochę pieniędzy przysyłała Moskwa. Starczało na paliwo do służbowych aut i prowizoryczną naprawę zniszczonych mostów. Na szczęście prawie każdy miał kawałek ziemi albo przynajmniej rodzinę na wsi - to pozwalało przeżyć. Wracał też drobny handel.

(Potem szybko odnowiły się zerwane kontakty z Gruzją. Nie polityczne - ale biznesowe, towarzyskie i rodzinne. W roku 1996 z Tbilisi do Cchinwali wyruszyły pierwsze autobusy. Linii demarkacyjnej nikt już wtedy właściwie nie kontrolował. Na hurtowym rynku w południowoosetyjskiej stolicy znów zaopatrywała się połowa Gruzji. W grudniu 2000 roku dotarłem tam bez przeszkód polonezem na warszawskich numerach. Podobne zbliżenie między Osetyjczykami i Inguszami czy Gruzinami i Abchazami nie mieściło się w głowie).

Z Charebowem zwiedziliśmy *jewriejski kwartał,* dzielnicę żydowską. Najbardziej zrujnowaną dzielnicę miasta. W domach z balkonami na całą długość budynku, z drewnianymi gankami i mnogością dobudówek, mieszkało za Gorbaczowa tysiąc dwustu cchinwalskich Żydów. Prawie wszystkim udało się wyjechać. Po wojnie zgliszcza splądrowali poszukiwacze skarbów.

Zaryzykowaliśmy, wsiedliśmy do łady. Prowadził Miron, który gardził przepisami ruchu drogowego i zdrowym rozsądkiem. Zakręty brał setką, śmiał się, kiedy uderzaliśmy głowami w sufit na kolejnym wyboju. Nagle zwolnił i zjechał w leśny dukt. Serca podeszły nam do gardeł.

- Mam nóż - szepnął Igor.

- Poczekajmy - odszepnąłem.

Czułem, że gdyby chcieli nas obrabować albo zabić, zrobiliby to wprost na szosie. Było ciemno i zupełnie pusto. Po co mieli tłuc się po wertepach?

Wkrótce zza lasu wyłoniła się wioska. Nie widzieliśmy chałup, domyślaliśmy się ich obecności po bladych poświatach, pewnie od świeczek albo jakichś pochodni. Zaszczekały psy. Psy! W Cchinwali nie widziałem ani jednego! Pomyślałem, że trzeba wyjaśnić, co się z nimi stało.

Chłopcy przestali zwracać na nas uwagę. Przeszli na osetyjski, chyba o coś się pokłócili. Auto niespodziewanie stanęło. Zobaczyliśmy szerokie wierzeje. Dwóch wyszło,

niewidoczny gospodarz wpuścił ich do środka. Kierowca został z nami. - Pięć minut! - rzucił przez ramię.

Tamci wrócili z węzełkiem. Pokazali zawartość: dwa bochenki chleba i krążek sera. Nie poczęstowali nas, sami też nie jedli. Pakunek rzucili do bagażnika. Ruszyliśmy.

Po kilku kilometrach zjechaliśmy do innej wsi. Tym razem po wódkę. - Osetyjski supermarket! - zaśmiał się Kazbek. Obok prowiantu w bagażniku wylądowały cztery półlitrówki Stolicznej.

W trzeciej wiosce trochę kluczyliśmy, trzeba było wypytywać o drogę. Zatrzymaliśmy się przed małym domkiem. Po dłuższym pukaniu, w drzwiach stanął rozespany dziadek z wielką chochlą. Okazało się, że prowadził stację benzynową. Trzymał w sadzie parę dwustulitrowych beczek i zestaw wiader różnej objętości. Nabierał do nich paliwo, a potem tankował samochód za pomocą lejka. Przyjmował ruble, dolary i marki. Gdy obsługiwał naszą ładę, zagapił się i parę kropel etyliny spłynęło na karoserię. Starł je gorliwie wyciągniętą z kalesonów szmatką:

- Z Bogiem!

Jechaliśmy jedyną drogą łączącą bezpośrednio obie Osetie. Oddano ją w ostatnich latach ZSRR . Prowadziła przez kilkukilometrowy tunel, wykuty pod głównym grzbietem Kaukazu w pobliżu Przełęczy Rokijskiej, na wysokości prawie trzech tysięcy metrów.

Rosja rozpoczynała właśnie budowę infrastruktury granicznej. Kilka miesięcy wcześniej na przejściach z

Gruzją i Azerbejdżanem pojawiły się pierwsze posterunki. Trasę do Cchinwali, a także dwie Drogi Wojenne, Gruzińską i Osetyjską, biegnące z Władykaukazu do Tbilisi i Kutaisi, przegrodziły szlabany.

Po raz pierwszy w historii Kaukaz został tak dokładnie przepołowiony, po raz pierwszy granica państwowa przebiegała na całej długości gór, od Morza Czarnego do Kaspijskiego.

(- Kaukaz jest przechodnim podwórzem - tłumaczył mi kiedyś profesor Jurij Woronow, wicepremier separatystycznego rządu Abchazji, zamordowany w 1995 roku w Suchumi. - Tu zawsze rządzili obcy: Rzymianie, Bizantyjczycy, Persowie, Turcy, Rosjanie. Zawsze też zewnętrzna siła starała się opanować cały region, gdyż jest on jednym organizmem, dzielenie go na pół rodzi konflikty i upadek gospodarki. Zablokowanie szlaków z północy na południe paraliżuje cały Kaukaz. Zaczyna się coś, co porównałbym do ucisku naczynia krwionośnego. Krew nie może spokojnie płynąć, pojawia się najpierw sinizna, a potem obumieranie tkanek i gangrena).

Poprzedniego dnia rozmawialiśmy we Władykaukazie z pułkownikiem z rosyjskich wojsk ochrony pograniczna. Był to człowiek niemłody, znał życie. Mówił przyciszonym, lekko zachrypłym głosem.

- Przypadł nam stusiedemdziesięciokilometrowy odcinek granicy, który obejmuje wysokie góry, lodowce i dzikie przełęcze. Pod naszą opieką znalazły się trzy najważniejsze drogi z Rosji na Zakaukazie. Musimy nie tylko sprawdzać

paszporty, lecz także zatrzymywać kontrabandę. A przewozi się tędy wszystko: kawior, spirytus, opiaty oraz broń, od granatów i karabinów po działa i moździerze. Region jest tak nasycony bronią, że sto lat można prowadzić wojnę.

Nie ma romantyki. Przemytnicy podkładają miny, strzelają do naszych jak do kaczek. Ludzi mam różnych. W większości są na kontraktach, poborowych nie przysyłają. Trafiają się alkoholicy, narkomani i osoby niezrównoważone psychicznie. Inni zgłosili się dla pieniędzy, biorą łapówki. Sam bym brał. Lepiej dostać trochę dolarów niż kulę w plecy.

Nie wiem, o co chodzi mojemu państwu - bezradnie rozłożył ręce. - Czasem Moskwa każe puścić konwój bojowników, innym razem mysz się ma nie prześlizgnąć. Ciekawe, jak to zrobić? Potrzebujemy minimum sześciuset pograniczników, a mamy raptem sześćdziesięciu.

Najprościej postawić żołnierzyka z karabinem, niech strzeże ojczyzny! - po raz pierwszy podniósł głos. - Rozkaz to rozkaz, nie ma dyskusji, ale wpierw należałoby załagodzić konflikty, odbudować gospodarkę, dać ludziom pracę... Tak myślę.

Dzięki uprzejmości pułkownika nocowaliśmy na samej granicy, u wlotu do tunelu. Strażnicą na Przełęczy Rokijskiej twardą ręką dowodził Kostia, trzydziestoparoletni porucznik. Do pomocy miał rubasznego sierżanta Walerę, który dokonywał cudów, by na posterunku dało się żyć. Gdy kolejny tydzień nie dowozili obiecanych konserw, Walera

nabył w pobliskim aule kilka prosiaków na odchowanie. Dokarmiała je cała załoga, wszyscy czekali na świniobicie.

Rankiem żołnierze ulokowali nas w przygodnym mikrobusie. Kostia żegnał się dziwnie wylewnie:

- Proszę was, wróćcie przed zmrokiem! Tam naprawdę jest niebezpiecznie!

W piosence Włodzimierza Wysockiego do dowódcy radzieckiego posterunku na granicy z bliżej nieokreślonym państwem azjatyckim przyjeżdża narzeczona. Domaga się kwiatów, te jednak rosną w strefie niczyjej. Dowódca bierze kilku ludzi i nocą przedziera się przez zasieki. Odurza go cudowny zapach. Pada zemdlony i śni mu się świat bez wart i szlabanów.

A na neutralnej ziemi kwiatów łan,
Najurodziwszych, jakie znam!

Ściany tunelu między Osetią a Osetią były porośnięte mchem.

Stanęliśmy na poboczu, tuż nad urwiskiem. Gdzieś w dole płynęła Liachwi, dochodził do nas odległy szum spienionej wody. Chłopcy wyjęli zakupy i zanieśli do pobliskiej wiaty, którą początkowo wziąłem za przystanek autobusowy. W środku były stół z nieheblowanych desek, ława i kosz na odpadki. Miron włączył długie światła i wtedy zobaczyłem jeszcze kamienną płytę z osetyjskim napisem.

- To święte miejsce - objaśnił Kazbek. - Tutaj trzeba oddać cześć bogu Uastyrdżemu. Kto tego nie zrobi, będzie miał kłopoty. Pewien człowiek nie zatrzymał się i na najbliższym

zakręcie spadł w przepaść. Nie wolno lekceważyć Uastyrdżego.

Dresiarze zmienili się nie do poznania. Teraz byli poważni, wręcz uroczyści. W milczeniu przygotowywali ofiarną ucztę. Jeden wyciągnął zza pazuchy kuchenny nóż i pokroił chleb (biedny Igorze, chciałeś mierzyć się swoim kozikiem z takim majchrem!), drugi zabrał się za ser. Trzeci rozdał rogi. Będziemy pić wódkę z rogów. Co za profanacja! W Gruzji nawet dziecko wie, że róg służy tylko do wina i to przy wyjątkowych okazjach...

- Przepraszamy Cię, Uastyrdży, za nasze grzechy!
- Przepraszamy!
- Dziękujemy Ci, Uastyrdży, za dobrą drogę!
- Dziękujemy!
- Prosimy Cię, Uastyrdży, o dalszą opiekę!
- Prosimy!

W ciągu paru minut wypiliśmy całe dwa litry. Wypadło po czterysta gramów na gardło. Rogu nie można odstawić, bo się przewróci, nie da się oszukać współbiesiadników. Kierowca Miron pił ze wszystkimi.

Kult Uastyrdżego przetrwał czasy carskie i komunistyczne. Kłaniano się mu w świętych gajach, na przełęczach i przy przełomach rzek. Uastyrdży (Uaskergi w dialekcie digorskim) jest bogiem wielkim i potężnym, opiekuje się mężczyznami, wojownikami i podróżnymi. Kobiecie nie wolno wymówić jego imienia.

W latach osiemdziesiątych działacze osetyjskich ruchów narodowych wykreowali Uastyrdżego na patrona narodu, a

z prastarych świętych miejsc uczynili polityczne kluby. Potem za organizację obrzędów wzięły się władze Osetii Północnej. To, co dawniej było spontaniczne i niewymuszone, stało się kolejną oficjałką. Polało się morze wódki. Pijanym w sztok pątnikom bóstwo myliło się z aktualnym prezydentem. Sarkała starszyzna i prawosławni batiuszkowie, ale nikt ich nie słuchał.

23 stycznia 1992 roku w północnoosetyjskim miasteczku Digora Uastyrdży ukazał się grupie uczniów ze szkoły numer 1. Dzieci bawiły się na zamarzniętej rzece Astaudon, gdy nagle z nieba zstąpił starzec w białych szatach, na białym skrzydlatym rumaku: zamajaczył wśród obłoków, miękko spłynął w dół i osiadł na dachu budującej się willi. Majram Kewrosow, łobuziak z piątego oddziału, chwycił kamień i zamachnął się na przybysza. Wtedy pękł pod nim lód. Krzyk usłyszał wracający z pracy Siergiej Kuckijew. Wyciągnął chłopca na brzeg, spojrzał na willę. Starzec był tam jeszcze. Patrzył na zgromadzonych i grzmiał: „Módlcie się i chrońcie waszą młodzież!”. Potem wzniósł się w przestworza. Na blasze zostały ślady kopyt.

Dla Mirona, Kazbeka i Saszy święty musiał być naprawdę ważny. Widziałem, w jakim skupieniu strząsali na ziemię krople wódki i jak starannie sprzątnęli święte miejsce, *swiatiliszcze,* by nie pozostał nawet okruszek. Butelki położyli w koszu - znajdzie je jakaś babina i sprzeda. Potem przez chwilę mruczeli pogańskie psalmy, zasłoniwszy rękoma twarze.

Gdy byliśmy już w samochodzie, spytałem, czym się zajmują. Odpowiedzieli, że niczym. A z czego żyją? Roześmiali się tupeciarsko, jak dwie godziny wcześniej, kiedy poznawaliśmy się w Cchinwali. Prysła nabożna powaga, zdezelowany samochodowy odtwarzacz znów dudnił ciężkim rockiem, podochocony Miron wywijał młynki na serpentynach.

Przemycali *anaszę,* kaukaską marihuanę. W Osetii Południowej mieli na niej trzykrotne przebicie.

Kostia powitał nas, jakbyśmy wrócili z zaświatów.

- Już wyprawiliśmy wam pominki…

Mówił prawdę. Stół w baraku dowódcy był ładnie nakryty, paliły się dwie świeczki, które wyczarował nieoceniony Walera. Obaj byli przekonani, że stało się najgorsze. Następnego dnia planowali zawiadomić Władykaukaz.

- Trzeba to oblać!

Pomyślałem, że znaleźli dobry pretekst do wypitki. Musieli się potwornie nudzić, jedyną atrakcją był tu magnetowid i filmy z przygodami Rambo, zdarte od ciągłego oglądania.

Miałem już dosyć wódki, ale czułem, że powinienem się zgodzić. Są chwile, kiedy należy pić i nie myśleć o jutrze.

Pierwszy odpadł Igor. Mój przyjaciel, fotograf ze Stawropola, był pół-Rosjaninem, pół-Niemcem. Kiedy ruszaliśmy razem w podróż, górę brała niemiecka część jego duszy. Zawsze wszystko przygotowywał, studiował rozkłady jazdy, słuchał prognozy pogody, wymyślał różne warianty i zastanawiał się, jak sobie poradzimy, gdy

ugrzęźniemy w tunelu albo gdy porwą nasz autobus. Dopiero teraz opadło z niego napięcie.

Przez chwilę rej wodził Walera, który rozprawiał z przejęciem o swoim domku pod Kurskiem. Sierżant gadał i gadał, aż nagle zamilkł i znieruchomiał.

Wtedy przemówił Kostia - twardy Kostia, przywykły, zdawałoby się, tylko do komend i rozkazów. Potoczyła się opowieść o sierocińcu gdzieś w obwodzie wołogodzkim, o wielkiej miłości i ślubie bez wesela, o córce Annie, o szkole wojskowej i tułaczce po garnizonach. O strażnicy w Astarze, na przejściu drogowym z Iranem. W Astarze Anna poszła do szkoły. Któregoś dnia koleżanki powiedziały, że jej tata jest okupantem, a sąsiadki przestały odkłaniać się żonie. Był rok 1989. Azerbejdżan właśnie wybijał się na niepodległość. Postanowili przenieść się do Rosji. Po kilku latach przyjechali na Kaukaz. Żona z córką zamieszkały w internacie we Władykaukazie. Odwiedzał je raz w miesiącu, gdy brał żołd dla załogi. Odkładali na mieszkanie, musieli pogodzić się z rozłąką. Na Przełęczy Rokijskiej słyszał słowo „okupant” częściej niż w Azerbejdżanie. Raz jakiś małolat wykrzyczał Kostii, że rozdziela jego naród i powinien wisieć. (Był to pewnie Osetyjczyk z Południa, na Północy nikt już nie mówił o zjednoczeniu. Północni mają Południowców za zbirów i leni, którzy chcieliby żyć na obcym garnuszku, z kolei Południowcy zarzucają Północnym zdradę interesów narodowych).

Po Kostii nie było widać zmęczenia i wypitego alkoholu. Pewną ręką napełniał kieliszki. Z kamienną twarzą mówił o

granicy, której szczerze nienawidził. Bo dla Rosji granica zawsze oznaczała kolczasty drut. Tak ich wychowywali. Tak uczyli w szkole dla oficerów. A może na Kaukazie powinno się ochraniać ją inaczej? Może wyjściem byłaby policja graniczna, operująca w kilkudziesięciokilometrowym nadgranicznym pasie? Tak zrobili w USA przy granicy z Meksykiem. Podobno to się sprawdza. Nie był w Stanach ani w Meksyku, ale widział film na szkoleniu.

Odpadł Walera. Zsunął się cichutko z krzesła i zachrapał. Kostia wyniósł go, a potem zaryglował drzwi i otworzył sejf. Wyciągnął stamtąd różowy kajet, zapisany starannym pismem zdolnego czwartoklasisty. Były to wiersze. Bardzo piękne i bardzo grafomańskie. Porucznik powierzył mi swoją największą tajemnicę.

Za oknem wstawał górski świt z kiczowatej pocztówki.

A na neutralnej ziemi kwiatów łan,
Najurodziwszych, jakie znam!

Z notatek (8)

17 września 2009

Rosyjska gazeta „Kommiersant” podała, że w Cchinwali spalono około tony książek z biblioteki Południowoosetyjskiego Uniwersytetu Państwowego. Rektor tłumaczył, że „utylizowano” tylko niepotrzebne, przestarzałe pozycje, dotyczące marksizmu-leninizmu i dziejów Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, ale świadkowie dostrzegli na stosie m.in. *Średniowieczną poezję religijną, Historię literatury francuskiej* oraz poezję Goethego. Gazeta sugerowała, że potrzebne było miejsce dla stu tysięcy tomów, przysłanych właśnie z Rosji jako dar dla Cchinwali „podnoszącego się z ruin po gruzińskiej agresji”.

Po podróży z 1994 roku, którą opisałem w reportażu *Uastyrdży,* byłem w Osetii Południowej jeszcze trzykrotnie: w 1997, 2000 i 2007. Za każdym razem wpadałem z Tbilisi. Łatwy wjazd skończył się po rewolucji róż, gdy prezydent Gruzji Micheil Saakaszwili podjął pierwszą próbę odzyskania prowincji, co omal nie doprowadziło do wznowienia walk, a następnie powołał alternatywny wobec separatystów, progruziński rząd Osetii z Dmitrijem Sanakojewem - drogę z Gori do Cchinwali znów przegrodziły zasieki, druty kolczaste i betonowe zapory, a zgodę na wizytę wydawał południowoosetyjski „minister

spraw zagranicznych”. Po wojnie pięciodniowej z 2008 roku, poprzedzonej długotrwałą eskalacją napięcia i prowokacjami ze strony Osetyjczyków, a rozpoczętej atakiem Gruzinów na Cchinwali, Rosja uznała Osetię Południową i Abchazję za niepodległe państwa. Reszta świata - z wyjątkiem Nikaragui, Wenezueli i Nauru - uważa obie prowincje za część Gruzji.

Ostatnim razem znów zajął się mną Batras Charebow, który teraz pracował w parlamencie. Czekając na niego w zdewastowanym budynku rządowym, przypominającym szkołę albo prowincjonalny dworzec kolejowy, zapytałem przechodzącego urzędnika, dlaczego napisy są po rosyjsku (po osetyjsku był tylko okolicznościowy plakat z Uastyrdżym, wiszący obok wejścia).

- Bo my wszystko mamy rosyjskie. Podręczniki, formularze, teksty ustaw i rozporządzeń. Po co odkrywać Amerykę, jak są gotowe wzory.

Czerkieska

Dziś mogę już stwierdzić, że jeśli studia etnograficzne Kaukazu są bardzo pożyteczne dla etnologów, co porównawczo badają ogólnie kulturę wiejską Słowian, to dla etnologów, oddających się takimż specjalnym badaniom Bałkanów są one niemal niezbędne.

Kazimierz Moszyński, 1933

Ponad tysiąc lat Albańczycy i Słowianie ścierali się tutaj bez wytchnienia. Kłócili się o wszystko: o ziemie, granice, pastwiska, kaskady i nikt by się nie zdziwił, gdyby dowiedział się, że również tęcza jest jednym z obiektów niezgody. I jakby tego wszystkiego było mało, spierali się o antyczną epopeję, która potęgując jeszcze fatalny bieg rzeczy, istniała w dwóch językach - albańskim i serbsko-chorwackim. Każdy z dwóch narodów twierdził z uporem, że to właśnie on był twórcą epopei, zostawiając drugiemu do wyboru albo jej kradzież, albo - w najlepszym przypadku - naśladownictwo.

Ismail Kadare, 1980

Ali ostrzegał, żebym uważał na słowa. Żebym nie powtarzał kolejnym rozmówcom, co usłyszałem od poprzednich. Na Kaukazie słowo ma wielką moc. Rzucone nieopatrznie może poróżnić narody. Tak zaczynało się wiele konfliktów - od drwiny, obelgi, żartu. Dochodzenie prawdy

jest tutaj żmudne i mozolne. Każda strona nosi w sobie własną prawdę.

Alemu Kazichanowowi ufałem jak mało komu. Przez wiele lat był przedstawicielem „Izwiestii” na cały Kaukaz Północny - kimś znacznie ważniejszym od tuzinkowego korespondenta. Należał do nomenklatury. Miał służbowe auto z kierowcą, służbową daczę, biura w Nalczyku i w Groznym. Podlegała mu dwudziestka dziennikarzy. Od Soczi do Machaczkały i od Stawropola po Darial - znał wszystkich sekretarzy partii, szefów lokalnych administracji, dyrektorów kołchozów.

Poznał także tysiące zwyczajnych ludzi. W wolnych chwilach, wbrew zwyczajom swojej kasty, uciekał w góry. Włóczył się po aułach, pijał z pastuchami, odwiedzał cerkwie, meczety i pogańskie swiatiliszcza. Noce spędzał na dyskusjach z etnografami, historykami, socjologami. W archiwach wertował tajne dokumenty z czasów stalinowskich. Wcześniej niż inni wyczuł nadchodzące zmiany.

Jesienią 1990 roku rzucił posadę i założył własną gazetę. Nazwał ją po prostu - „Kaukaz Północny”. Zaangażował samych dwudziestolatków, studentów. Żaden nie pracował wcześniej w mediach. Dawni towarzysze kiwali głowami i wieszczyli klapę, ale nakład rósł z tygodnia na tydzień, a pod kioskami ustawiały się długie kolejki. Wkrótce powstała sieć oddziałów, agencja fotograficzna i biuro reklamy.

Pismo zamieszczało wywiady z działaczami ruchów narodowych i pierwszymi biznesmenami, artykuły o

„białych plamach”, raporty o narkomanii i prostytucji, dużo informacji z regionu. Język był żywy, w niczym nie przypominał sowieckiej nowomowy. Poręczny format ułatwiał lekturę w autobusie. „Kaukaz Północny” podbił Kaukaz Północny.

Ali stał się człowiekiem zamożnym. Jeździł mercedesem, mieszkał w luksusowym domu, zakupy robił w Paryżu, a odpoczywał na Cyprze. Równocześnie zgorzkniał i popadł w cynizm. Za dużo rozumiał. Przewidział, że po Jelcynowskim rozprężeniu nadejdą w Rosji rządy twardej ręki. Przepowiedział wojnę w Czeczenii. W szaleńczym pędzie historii, który ogarnął Kaukaz, dostrzegał ukryte procesy i niepokojące prawidłowości.

- Nie daj się zwieść pozorom - powtarzał mi. - Mamy komputery i samochody, nosimy dżinsy, mówimy nawet trochę po angielsku, ale wewnątrz jesteśmy dzikusami. Moralnie stoimy niżej niż w dziewiętnastym wieku. Zatraciliśmy naszą górską kulturę, zapomnieliśmy o naszych obyczajach, a te resztki, które gdzieniegdzie pozostały, coraz bardziej przypominają powierzchowny folklor. Do kultury zachodniej nie dołączymy nigdy. Nie przyswoimy sobie tamtej tradycji, bo mamy inny temperament i inną wrażliwość. zsrr uczynił z nas ludzi sowieckich.

Nalczyk, stolica Kabardyno-Bałkarii, wydawał się oazą spokoju. Miasto tonęło w zieleni. Ulicami ciągnęli pierwsi od lat turyści, polujący na transport w stronę Tyrnyauzu i majaczącego w oddali Elbrusu. W knajpkach rozbrzmiewała

rosyjska popsa. Sporo dziewcząt nosiło czadory - były to uczennice szkoły muzułmańskiej, ulokowanej w samym centrum, aby władze mogły mieć islam na oku. Ich koleżanki, wymalowane małolaty w krótkich spódniczkach, tuliły się na skwerkach do chłopców w wieku przedpoborowym.

Zdaniem profesora Hasana Dumanowa, dyrektora instytutu humanistycznego, stabilność i względny dobrobyt były zasługą republikańskiego kierownictwa.

Walerij Chatażukow, przywódca opozycyjnego ugrupowania Adyge Chase tłumaczył, że rządząca ekipa trzyma się tylko na rosyjskich bagnetach, a konkretnie na dwunastu tysiącach milicjantów, pułku żołnierzy wojsk wewnętrznych i kilku jednostkach zwykłego wojska.

Ali miał rację. Tu każdy wiedział swoje.

Własną prawdę miała także Swietłana Akkijewa, doktor historii, z narodowości Bałkarka. Twierdziła, że najważniejsze urzędy zdominowali Kabardyjczycy, którzy dyskryminowali drugi z miejscowych narodów i prześladowali mniejszościową inteligencję. Przytaczała dane z wyższych uczelni - na prestiżowych fakultetach prawie nie spotykało się bałkarskich studentów. Opowiadała, jak profesor Dumanow, u którego pracowała, pytał ją retorycznie przy każdej okazji: „Kim wy, Bałkarzy, jesteście? Mieliście parę nędznych aułów, a teraz za ciasno wam w republice? Czego wy właściwie chcecie?”.

Konflikt etniczny, niewidoczny dla chwilowego przybysza, tlił się od wielu dziesięcioleci. Bez zamieszek, bez

strzelaniny i trupów, Bałkarzy i Kabardyjczycy prowadzili ze sobą wyniszczającą wojnę.

Kabardyno-Bałkaria (w skrócie: KBR) jest tworem sztucznym, tak jak graniczącą z nią od zachodu Karaczajo-Czerkiesja (KCzR). Obie republiki są bliźniaczo podobne. Stanowią swoje negatywowe odbicia.

Kabardyjczycy to bliscy krewni Czerkiesów. Należą do jednej grupy językowej. Razem z Adygejczykami i Szapsugami tworzą zachodniokaukaską rodzinę Adygów. (Rosyjskie słowo Czerkies, które rozpowszechniło się także na Zachodzie, oznaczało pierwotnie każdego Adyga).

Z kolei Bałkarzy są braćmi Karaczajów i należą do wielkiej rodziny narodów tureckich, rozrzuconej od Bosforu po Jakucję.

Mieszkają obok siebie od setek lat. Należy podkreślić, że obok, a nie ze sobą. Adygowie i kaukascy Turcy nigdy nie osiedlali się w tych samych aułach, nie łączyli w pary małżeńskie. Odkąd sięgnąć pamięcią, ścierali się nieustannie. Nie mogło być inaczej. Jedni uprawiali ziemię, drudzy zajmowali się pasterstwem. Spory o letnie pastwiska, o przegon bydła i dostęp do przełęczy przechodziły z pokolenia na pokolenie.

Weteran z Karaczajo-Czerkiesji

Czy byli wrogami? Bez wątpienia! Książęta Kabardy długo podbijali Karaczaj i Bałkarię, leżące w najwyższych partiach gór. W końcu podbili i kazali płacić sobie trybut, ale właśnie wtedy na Kaukazie zjawili się Rosjanie, którzy mieli zagarnąć wszystko. Wcześniej hordy tureckich Nogajów najeżdżały i pustoszyły czerkieskie osiedla nad Kubaniem.

Czy się nienawidzili? Nie, to zbyt mocne słowo. Można było mówić o obcości, niechęci i wrogości, ale nie o nienawiści. Nie wyrzynali się przecież w pień, nie palili sobie aułów. Na swój sposób nawet się szanowali. Byli swojakami! Stanowili dla siebie stałe punkty odniesienia, jak słońce albo wierzchołki Elbrusu: to jest mój dom, to moja wieś, to moje plemię, a to mój wróg, własny i dobrze znany. Wrogowie musieli istnieć, żeby babcie miały kim straszyć niesforne wnuczęta, a ojcowie do kogo porównać niewydarzonych synów, czyniąc im wstyd przed bardziej pojętnym rodzeństwem.

Ubierali się identycznie - w długie, wcięte w pasie sukmany, z dwoma rzędami ładownic przyszytymi na wysokości piersi. Strój ten, nazywany *czerkieską,* nosili wszyscy mężczyźni Kaukazu. Przejęli go także Kozacy, którzy zaczęli napływać na te ziemie w początkach dziewiętnastego wieku.

Niewiele różniły się ich pieśni, tańce i obrzędy. Badacze mówią, że zwyczaje kaukaskich ludów pokrywały się w osiemdziesięciu-dziewięćdziesięciu procentach. O odrębności danej grupy decydowało więc pozostałe

dziesięć-dwadzieścia procent. Na tyle mało, by chronić świadomość pankaukaskiej wspólnoty i wystarczająco dużo, by nie stracić plemiennej identyfikacji.

W Kabardyno-Bałkarii i Karaczajo-Czerkiesji do procentów doszły odmienne języki oraz poczucie krzywdy.

Powołanie mieszanych republik było pomysłem szatańskim, fajerwerkiem bolszewickiego makiawelizmu. Podzieleni Adygowie (większość w KBR) i podzieleni Turcy (dominujący w KCzR) nie dysponowali siłą zdolną zagrozić nowej władzy. Całą energię skupili na rywalizacji z sąsiadami. Moskwa wspierała raz jednych, raz drugich. Wysokie urzędy chętnie powierzano przedstawicielom mniejszości, z mniejszości rekrutowali się milicjanci i funkcjonariusze służby bezpieczeństwa. Moskwa dzieliła i rządziła, głosząc przy tym, że spełnia narodowe aspiracje: za cara na Kaukazie były przecież gubernie i gubernatorzy.

Dopiero przy komunistach zrodziła się nienawiść.

Pod koniec lat osiemdziesiątych wszystkie powstające na zachodzie Kaukazu organizacje etniczne domagały się parcelacji KBR i KCzR. Proklamowano - na papierze - republiki Kabardy, Czerkiesji i Karaczaju, a republikę Bałkarii nawet dwukrotnie. Nikt głośno nie mówił o secesji, republiki miały wchodzić w skład Federacji Rosyjskiej. Ten i ów marzył jednak o suwerenności, inny o zjednoczeniu Kaukazu - pod własnym przewodem. Niebawem doszło do precedensu: rozpadła się Czeczeno-Inguszetia.

Adygowie i Turcy nie potrafili się porozumieć. Ludy te w różnych okresach zajmowały różne terytoria - i teraz każdy

odwoływał się do tych historycznych granic, które były dla niego najkorzystniejsze. Gdy udawało się znaleźć kompromis, krzyk podnosili radykałowie, oskarżający idących na ustępstwa rodaków o zdradę. Rozmowy wracały do punktu wyjścia.

Narastała wzajemna nieufność. Turcy podejrzewali Adygów o plany utworzenia Wielkiej Czerkiesji - niepodległego państwa, w którym nie będzie miejsca dla Karaczajów, Bałkarów ani Nogajów. Adygowie gotowi byli przysiąc, że sąsiedzi myślą wyłącznie o Wielkim Turanie, turkojęzycznej konfederacji obejmującej Bałkany, Kaukaz i Azję Centralną.

Narody zamknęły się w mentalnych gettach.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych podziałem republik nie było się już komu zajmować. Przywódcy ruchów narodowych objęli ministerialne posady albo otworzyli prywatne firmy. Ich mniej przebojowi koledzy schronili się na uniwersytetach.

Działalność kontynuowali nieliczni marzyciele i wieczni rewolucjoniści - ci siedzieli kątem w zaprzyjaźnionej redakcji, wydawali odezwy, których nie czytała nawet najbliższa rodzina, i zwoływali wiece, gromadzące paru zagubionych przechodniów. Władzę utrzymała stara nomenklatura. W Nalczyku nikt już nie wierzył w powstanie republik monoetnicznych. „Źle się stało, że połączono nas w taki sposób, ale musimy nauczyć się z tym żyć. Nie można wiecznie patrzyć w przeszłość” - mówili intelektualiści.

„Ważne, żeby było co do garnka włożyć” - wtórowali szeregowi Bałkarzy i Kabardyjczycy.

O zapatrzenie w przeszłość i o to, że garnek rzadko bywał pełny, tradycyjnie obwiniano sąsiadów.

Wybrałem się na akademię z okazji 135. rocznicy zakończenia wojny kaukaskiej, którą nazywano tutaj „rosyjsko-kaukaską”. W sali teatru miejskiego zebrało się kilkaset osób, wszyscy w czerni, tylko paru dziadków założyło kolorowe czerkieski. Usiedli w pierwszym rzędzie i zaraz zapadli w drzemkę. Ich wielkie papachy drżały leciutko jak mimozy.

Czerkiesja opierała się Rosji kilkadziesiąt lat. Dłużej niż Czeczenia. Wojna była okrutna, wyniszczająca. Obróciła kraj w perzynę. Urodzajną ziemię wytrawił ogień, z bogatych aułów została kupa kamieni. Rosjanie wymordowali kilkaset tysięcy górali, a gdy wreszcie przyłączyli Czerkiesję do Imperium, resztę wypędzili. *Machadżyrstwo* - wielka tułaczka - objęło co najmniej milion osób. Adygowie (a wraz z nimi część kaukaskich Turków i przedstawicieli innych ludów) uchodzili na Bliski Wschód, do Egiptu i Anatolii. Dołączali do swych braci, którzy emigrowali w latach trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych. W roku 1910 tylko w Stambule mieszkało sto tysięcy Czerkiesów. Na Kaukazie utrzymała się ich garstka, parędziesiąt tysięcy. Z tego ciosu nie otrząsnęli się do dzisiaj.

- Uczcijmy - rzekł prowadzący - pamięć ofiar. Sala wstała, nawet dziadkowie, szturchając jeden drugiego, ocknęli się i

podnieśli z foteli. Wielu miało wilgotne oczy. W grobowej ciszy nalczyński mułła wyrecytował muzułmańską modlitwę za zmarłych. Po nim wyszedł na scenę batiuszka, który z cerkiewnym chórem odśpiewał *Wiecznuju pamiat'.*

- Wspominamy dziś wszystkich poległych - mówił dalej prowadzący. - Nie tylko naszych, lecz także Rosjan. Rosyjski naród w niczym nam nie zawinił. Prostych żołnierzy nie pytano, czy chcą ginąć za Kaukaz. Winny był carski imperializm, który tę wojnę rozniecił. Potem winne były sowieckie elity, skrywające prawdę o niej w imię fałszywego internacjonalizmu. Teraz można wreszcie powiedzieć, że dokonało się ludobójstwo.

Do mikrofonu podchodzili kolejni mówcy.

Sekretarz Kongresu Narodu Kabardyjskiego zauważył, że władza carska unicestwiała Adygów fizycznie, a władza sowiecka - moralnie, niszcząc religię i obyczaj.

Przewodniczący ruchu Kabarda zaapelował do rosyjskiego rządu o odszkodowania dla potomków ofiar: jeśli obecna Rosja jest prawną następczynią Związku Radzieckiego, to tym bardziej powinna zadośćuczynić ludziom za krzywdy, których doznali od Rosji carskiej!

Działacz Adyge Chase przypomniał ideę repatriacji Adygów, mieszkających za granicą. Dużo mówiło się o tym po upadku ZSRR, ale wtedy zabrakło pieniędzy. Wygnańcy powinni móc w końcu wrócić do ojczystych dolin.

W teatrze byli sami Kabardyjczycy. Organizatorzy nie zaprosili ani jednego Bałkara.

Bałkarzy mają własny dzień żałoby. Przypada w rocznicę deportacji. 8 marca 1944 roku Stalin zesłał ich na Syberię. Wcześniej, 2 listopada 1943 roku, wysiedlił Karaczajów. Wrócili po czternastu latach - zdziesiątkowani, wyniszczeni przez choroby. Na bałkarskie pominki nie przychodzą Adygowie. Tego dnia bawią się i piją, jak wszyscy. Obchodzą Dzień Kobiet.

Z Nalczyka pojechałem do Karaczajo-Czerkiesji. W republice właśnie odbyły się wybory prezydenckie. Pierwszą turę wygrał Czerkies Stanisław Dieriew, który zdobył czterdzieści procent głosów. Było to niespodzianką, bo Czerkiesów jest w KCzR tylko dziesięć procent. Dieriewowi udało się co prawda przeciągnąć na swoją stronę Abazynów i część Rosjan, ale większe znaczenie miało chyba rozproszenie głosów karaczajskich. Karaczajowie wystawili kilku kandydatów. Najlepszy spośród nich wynik - osiemnaście procent - uzyskał generał Władimir Siemionow.

W drugiej turze Dieriew nie miał żadnych szans: Karaczajowie zgodnie poparli Siemionowa. Głosowaniu towarzyszyły zamachy bombowe i podpalenia, wzajemnie oskarżano się o różne machinacje i fałszerstwa. Czerkiesi nie pogodzili się z porażką. Dieriewowscy aktywiści zajęli centralny plac stolicy i zażądali unieważnienia elekcji. Ogłosili, że będą protestować do skutku. Generał czekał na rozwój wypadków. Moskwa milczała.

Sztaby obu kandydatów przypominały warowne twierdze. Przy wejściach stali uzbrojeni ochroniarze, goście musieli

przechodzić do głównych pomieszczeń przez ciąg korytarzy-śluz. W każdym czuwali strażnicy, którzy sprawdzali dokumenty, zaglądali do toreb i wypytywali o cel wizyty.

Histeria osiągnęła apogeum.

W sztabie Dieriewa ucieszyli się, że jeszcze nie byłem u Karaczajów:

- Od razu by cię kupili. Oni kupują dziennikarzy. Zapłacili moskiewskiej telewizji, która filmowała nasz mityng. Operator specjalnie pokazał plac w porze obiadu, kiedy część ludzi rozeszła się. Naród zjechał z całej republiki, demonstruje pięćdziesiąt tysięcy osób, a w dzienniku zrobili z nas grupkę ekstremistów.

W sztabie Siemionowa na wieść o pięćdziesięciu tysiącach popukali się w czoło:

- Człowieku, tam się zmieści najwyżej pięć tysięcy. To mały plac. Z początku mogły być ze trzy tysiące demonstrantów, teraz nie więcej niż ośmiuset. Moskiewską telewizję kupili Czerkiesi, to pewne. Filmowano ciągle te same osoby, żeby powstało wrażenie tłumów.

Przy pożegnaniu pełnomocnik generała odciągnął mnie na bok:

- A tobie ile dali? Nie bój się, nikomu nie powtórzę. Z ciekawości pytam.

Żadnej ze stron nie mieściło się w głowie, że uczciwy człowiek może nie przyznać jej racji, nawet - że może mieć jakąkolwiek wątpliwość. Przecież ich prawda była prawdą

jedyną i niepodważalną. Jeśli się tej prawdy nie przyjmowało, obnażało się swą nieuczciwość.

Tego dnia demonstrantów było na oko pięć-osiem tysięcy. Mityng ciągnął się już trzeci tydzień. Plac obrósł infrastrukturą - wzdłuż trawnika dymiły kuchnie polowe, za prowizoryczną trybuną rozłożył się punkt medyczny, nieco dalej ustawiono sanitariaty. Co jakiś czas ktoś ze sztabu Dieriewa informował, co słychać w komisji wyborczej i w republikańskim sądzie. Gdy nowin nie było, mikrofon podtykano gapiom. Przyplątała się rosyjska babcia. Przyjechała ze stanicy Storożewaja odwiedzić wnuki, zaszła popatrzeć i nagle znalazła się na trybunie.

- Babcia opowie nam, jak Karaczajowie gnębią Rosjan - zapowiedział chłopak w skórzanej kurtce. - Powitajmy babcię!

Natychmiast rozległy się okrzyki:

- Niech żyje babcia! Niech żyje stanica Storożewaja!

Kobiecina zaczerwieniła się. Zaczęła mamrotać o młodzieńcach, którzy obserwowali, jak wsiadała do autobusu: widziała ich już dzień wcześniej, na pewno mieli złe zamiary, ani chybi polityczne, bo dlaczego by obserwowali, co im do takiej starej.

- Sami zobaczcie - podsumował chłopak. - Nikomu nie dadzą spokoju!

Tłum zawył z oburzenia:

- Uuu! Precz z Siemionowem!

Stolica KCzR - Czerkiesk - wyglądała jak po huraganie. Na chodnikach walały się tony papieru: ulotki, plakaty,

kalendarzyki, gazetki, programy, cała przedwyborcza galanteria, której nie miał kto sprzątać. Agitki były brutalne i dosadne, tutaj nie było miejsca na aluzje i wyrafinowaną perswazję: GŁOSUJ NA DIERIEWA, ZOSTANIESZ UCHODŹCĄ! Albo: DZIŚ UKRADLI CI KROWĘ - JUTRO ZGWAŁCĄ CI MATKĘ, ŻONĘ I CÓRKĘ, A MOŻE CIEBIE SAMEGO! CZY NADAL CHCESZ GŁOSOWAĆ NA SIEMIONOWA? To samo w wersji dla Rosjan - na rysunku widać spaloną cerkiew i trupa popa, nad którym płacze zgwałcona żona. Podpis: ONI GŁOSOWALI NA SIEMIONOWA! I jeszcze: ZWYCIĘŻYMY DIERIEWOWSKICH KOZŁOJEBÓW!

Na murze fabryki odzieżowej kłuł w oczy gigantyczny napis: DIERIEW TO WOJNA! Naprzeciwko, na domu mieszkalnym, inny napis ostrzegał: SIEMIONOW TO WOJNA!

Miasto żyło niespiesznym rytmem południowej prowincji. Trolejbusy, o dziwo, jeździły, sklepy mimo całego zamętu pracowały normalnie. Na skrzyżowaniach zgarbione babuszki handlowały słonecznikami.

W jedynej księgarni znalazłem kilka rzeczy o historii Karaczaju i Bałkarii, karaczajski almanach „As-Alan” oraz rozmówki rosyjsko-tureckie. Nie było nic o Adygach: o Czerkiesach, Kabardyjczykach i Szapsugach. Odwrotnie niż w księgarniach w Nalczyku. Tam ignorowano kaukaskich Turków.

Wsie w KCzR były karaczajskie, czerkieskie albo rosyjskie, rzadko: rosyjsko-karaczajskie i rosyjsko-czerkieskie. Nieliczne osady abazyńskie i nogajskie leżały w pobliżu stolicy. Abazyni trzymali z Czerkiesami, a Nogajowie z Karaczajami.

Portret Siemionowa, wiszący na tablicy z nazwą miejscowości wskazywał, że wjeżdżamy do wsi karaczajskiej. Agitatorzy Dieriewa takie wsie omijali. W najlepszym przypadku mogli stracić zęby. Tu nie trzeba było nawet liczyć głosów - wiadomo, że wszystko wziął generał.

Portret Dieriewa nieomylnie oznaczał bastion Czerkiesów.

Poza portretami wioski niczym się nie różniły. Przed sklepikiem, na placyku, gdzie staje autobus - w każdej siedziały w kucki grupy mężczyzn w średnim wieku. Niektórzy sączyli tanie wino, chowane potem wstydliwie przed przybyszem, inni palili. Nie rozmawiali ze sobą, bo o czym, znali na pamięć swoje historie, wiedzieli, kto gdzie pracował, na co choruje żona i jak uczą się dzieci. Prawie nie poruszali się, jakby chcieli oszczędzić siły, obracali tylko głowy za przejeżdżającym samochodem, patrzyli na pasażerów, wysypujących się z autobusów. Gdy pojawił się obcy, gapili się tylko na niego, w końcu to rzadka atrakcja, a kto to jest? a jaki ma interes? z wolna wstawali z kucek, że niby nic, że nogi trzeba rozprostować, i już wokół obcego krążyli, już go otaczali, potem najodważniejszy podchodził bliżej, potem ściągali następni i tworzyli wianuszek.

Żaden nie miał pracy. Żyli z powietrza, z paru metrów ogródka, z emerytury dziadunia. Nie znali górskiego wiatru. Wsie na przedgórzu to nie auły, tutaj górale trudzili się w kołchozach i państwowych ośrodkach maszynowych. Teraz wszystko padło. Młodzi uciekli do miasta, starcy dogorywali w chałupach, kobiety krzątały się po obejściu, a oni nie mieli zajęcia. Zjadała ich nuda, trochę dorobili przy wyborach, rozklejając ulotki, ale pieniądze już się skończyły, poszły na spłacenie długów i gorzałkę.

W KCzR bezrobocie wynosiło pięćdziesiąt procent. Podobnie było w innych republikach - nieco lepiej w Adygei i Kabardyno-Bałkarii, znacznie gorzej w Inguszetii i Dagestanie. Cały Kaukaz Północny pogrążył się w nędzy. Republiki były przeludnione, wszędzie nadmiar żołądków do wykarmienia, wszędzie za mało ziemi.

Związek Radziecki traktował Kaukaz jak wewnętrzną kolonię, w nic nie inwestował. Przemysłu było tyle, żeby kobiety wyciągnąć z domów - wytwarzały prymitywne tekstylia i niedobre konserwy. Pracowało kilka kopalń, za Breżniewa oddano rafinerię w Groznym, to wszystko. Rolnictwo też stało licho, w zbożu specjalizował się Kraj Stawropolski, a w owocach Kraj Krasnodarski. W republikach narodowych chodziło tylko o to, żeby mężczyźni też mieli jakieś zajęcie.

Mieszkańcy z siemionowowskiej wioski wiedzieli jednak swoje:

- Czerkiesi żyją dużo lepiej, pojedź i zobacz. Mają u siebie i gaz, i wodociąg, i wszystko. Wykarmili się na naszej

krzywdzie i ciągle im mało. Już ostrzą na nas kindżały. Zachciewa im się Wielkiej Czerkiesji!

Wieś dieriewowska także nie miała złudzeń:

- Karaczajom powodzi się lepiej, sprawdź, jeśli nie wierzysz. Wszędzie jest gaz i bieżąca woda. Na zesłaniu płodzili się jak króliki, tak kazali im starcy. Niech będzie przeklęty dzień, w którym wrócili na Kaukaz. Teraz szykują wojnę, żeby nas wysiedlić.

Z jednej wsi do drugiej było dwadzieścia kilometrów.

W Czerkiesku poszedłem na koncert. Męski chór wykonywał dawne adygskie pieśni. W Europie nie usłyszycie takiego chóru. Stary solista przodownik to deklamował, to śpiewał poszczególne zwrotki, jakby opowiadając zdarzenie, a chórzyści komentowali je powtarzanym w tle refrenem.

Pierwsza pieśń była o Demir-Chanie. Demir to zniekształcona forma imienia Timur, czyli Tamerlan. Okrutny władca najechał Kaukaz, spalił wiele aułów i zabił wielu dżygitów. Chciał ujarzmić górskie plemiona. Adygowie musieli ustąpić przed ślepą siłą, ale nie poddali się. Uszli w najwyższe góry. Umocnili przełęcze. Barbarzyńska ręka nie sięgnęła orlich gniazd. W końcu górale odparli Tamerlana.

Opowieść toczyła się z wolna, dostojnie. Śpiewacy w czerkieskach, z przytroczonymi do pasów kindżałami, sami wyglądali jak tamci kaukascy wojownicy z dawnych wieków - pewni swej siły mężczyźni, którzy wiedzą, czego chcą, nie

ulegają słabościom i budzą szacunek nawet w oczach wroga.

Wojna w KCzR nie wybuchła. Moskwa najpierw zwlekała z decyzją, aż zaczęły opadać emocje. Potem Centralna Komisja Wyborcza uznała zwycięstwo Siemionowa, czym w pełni zadowoliła Karaczajów. Jakiś czas później Dieriew otrzymał stanowisko w przedstawicielstwie prezydenta Rosji na Kaukaz Północny. W ten sposób usatysfakcjonowano Czerkiesów.

Wracałem przez Nalczyk. Po drodze zaszedłem do Kazichanowa.

- Historia niczego nas nie nauczyła - powiedział. - Kolejny raz nie potrafiliśmy się porozumieć. Nie próbowaliśmy nawet rozmawiać! Wciąż zachowujemy się jak dzieci i tak samo jak trzysta, dwieście i sto lat temu, jesteśmy igraszką w ręku zewnętrznych sił.

Na dworcu usłyszałem dowcip o tym, jak Karaczaj, Czerkies i Rosjanin poszli się razem napić.

Pierwszy toast przypadł Karaczajowi:

- Piję za to, żeby na naszej świętej karaczajskiej ziemi nie było ani jednego Czerkiesa!

Z kolei przemówił Czerkies:

- A ja piję za to, żeby z naszej świętej ziemi czerkieskiej zniknęli wszyscy Karaczajowie!

Na końcu kielich wzniósł Rosjanin:

- Przyłączam się do waszych toastów!

Z notatek (9)

16 maja 2008

Taksówkarz, który wiezie nas z dworca w Czerkiesku opowiada, że dawniej żadna kaukaska dziewczyna nie chciała wyjść za chłopaka, który nie był w wojsku. Patrzono na takiego jak na wybrakowany egzemplarz, niegodny miana prawdziwego mężczyzny, plotkowano o ukrytych wadach, które zdyskwalifikowały go przed komisją. Dziś przeciwnie, żadna dziewczyna nie chce chłopaka po wojsku. Dał się wziąć, znaczy - frajer. Nie umiał zatroszczyć się o siebie, to i o rodzinę nie zatroszczy się jak należy.

Szoana

Wszystko poplątało się i przemieszało. Chrześcijanie sprawowali pogańskie obrzędy, szczególnie przy okazji ślubów i pogrzebów; na podobieństwo muzułmanów golili głowy i dokonywali ablucji. Z kolei muzułmanie jedli wieprzowinę i pili wino, jawnie drwiąc ze swojej tradycji. Poganie natomiast przestrzegali wielu chrześcijańskich przykazań - zachowywali Wielki Post i czcili Matkę Boską, zwaną tutaj Madi-Majram.

Gedeon, Metropolita Stawropolski i Bakijski, 1960

W Stawropolu spóźniłem się na autobus. Następnego nie było. Na taksówkę nie miałem pieniędzy.

Aby podróżować po Rosji, trzeba dużo pieniędzy albo dużo czasu. Jeżeli masz pieniądze, bez trudu znajdziesz szofera, który pojedzie choćby do Ufy, w górach wynajmiesz śmigłowiec, a dłuższe trasy pokonasz samolotem. Gdy masz czas - wszędzie dotrzesz pociągiem. Możesz wybrać najtańszy, *obszczij* wagon sypialny, gdzie nie ma przedziałów, a składane na noc stoliki tworzą dodatkowe prycze. Możesz dać konduktorowi flaszkę i zająć jego przedzialik.

Wolę drugi sposób podróżowania, nawet gdy nie brakuje mi gotówki. Jadąc koleją, czuję, że naprawdę się przemieszczam. Widzę każdy przebyty kilometr, odhaczony tabliczką na słupie trakcyjnym. Chłonę zmieniające się w

niespiesznym rytmie kraj obrazy, typy domostw i ludzkie rysy. W Rosji ludzie wydają się dopełnieniem przestrzeni: inni są na podmoskiewskiej wsi, inni w okolicach Orła i Tambowa, jeszcze inni zaludniają stepowy czarnoziem. W pociągu poznaje się wszystkich. Rozmowa przychodzi sama, nie sposób milczeć przez czterdzieści godzin. Ktoś wyciąga kanapki i częstuje współpasażerów, więc zaczyna się od tych kanapek, że smaczne, potem mówi się o dzieciach, że Saszeńka nie lubi dżemu, a Oleńka przepada, potem o polityce, a pod wieczór zazwyczaj o religii i wieczności.

W Stawropolu jedynym wyjściem był autostop. Podjechałem trolejbusem na rogatki. Jak w każdym rosyjskim mieście, stał tam posterunek milicji drogowej gai. W pobliżu okrągłego, przeszklonego budyneczku kręciło się czterech funkcjonariuszy, wyposażonych w biało-czarne pałki, którymi zatrzymywali samochody.

Podszedłem do siwiutkiego sierżanta w rozpiętym mundurze i domowych pantoflach.

- Przyjacielu - powiedziałem - muszę dostać się do Karaczajewska.

Milicjant spojrzał na mój aparat fotograficzny i zupełnie poważnie zapytał:

- Co, znów się tam tłuką?

Działo się to kilka lat przed republikańskimi wyborami prezydenckimi, kiedy Karaczajowie i Czerkiesi skoczyli sobie do gardeł i omal nie doszło do wojny. Mniejsze i większe zamieszki wybuchały jednak już dawniej. Sierżantowi nie przyszło do głowy, że dziennikarza może

interesować na Kaukazie coś innego niż wybuchy, zamachy i krwawe starcia.

Powiedziałem, że jadę na uroczystości świętego Jerzego.

- Ale to nie w samym Karaczajewsku, tylko w Chumarze, piętnaście kilometrów bliżej - wyjaśnił.

Niespodziewanie sięgnął do kieszeni i wręczył mi zwitek rubli:

- Zapal za mnie świecę w szoanińskiej cerkwi. Mam na imię Wołodia.

Stałem najwyżej trzy minuty. Już pierwszy samochód, wielgachny kamaz załadowany jabłkami, jechał w pożądanym kierunku.

Obok pieniędzy i czasu w Rosji przydaje się szczęście.

Za Czerkieskiem szosa przytula się do Kubania i biegnie dnem płytkiego kanionu raz po jednej, raz po drugiej stronie rzeki. Od Ust-Dżeguty teren zaczyna falować. Pojawiają się skalne formacje - z początku pojedyncze i niewysokie, potem coraz masywniejsze, spiętrzające się w kilometrowe łańcuchy. Kanion zwęża się i pogłębia. Na kolejnym wirażu znika panorama Wielkiego Kaukazu.

Zatrzymaliśmy się przy kiosku, aby kupić papierosy. Interesu pilnował paroletni berbeć. Upewniwszy się, że na pewno zaczekamy, pobiegł po mamę. Popatrzyłem za nim i o mało nie upadłem z wrażenia. Na łagodnym w tym miejscu brzegu Kubania stały dwa ośmiopiętrowe wieżowce. Między balkonami wisiały sznury i suszyła się bielizna. Po podwórzu uwijał się na koniu nastoletni dżygit,

spędzający stado owiec do odrutowanej zagrody. Była to górska wioska sowieckiego pomysłu.

Na ławeczce za kioskiem siedział przygarbiony starzec. Mama nie nadchodziła, więc podszedłem i pozdrowiłem go:

- Salam alejkum!

- Alejkum salam, synku! - odpowiedział.

Dziadek miał wytartą marynarkę i kilka krzyży za wojnę ojczyźnianą. Mieszkał z dziećmi i wnukami na ostatnim piętrze. Codziennie rano zięć sprowadzał go na dół, a wieczorem zabierał z powrotem. Winda nie działała, w wiosce dawno nie było prądu. Nie było też innych wygód: zimą pękła rura gazowa, biegnąca na zewnątrz elewacji, a wodociąg zepsuł się jeszcze jesienią. Na szczęście rzekę mieli pod blokiem.

Stary grzał się na słoneczku, wspominał dawne czasy. Robił w kołchozie, był pastuchem. Wszyscy dyrektorzy kradli. Zwłaszcza ostatni, który sprawił sobie mercedesa. Świat tak już jest urządzony, tłumaczył bez zawiści, że ci na górze zawsze kradną. Tutaj kradną i tak niewiele, w Czerkiesku dużo, dużo więcej. A w Moskwie - o, tam dopiero muszą kraść! Nic na to nie poradzisz. Niech kradną, byleby nas nie obrażali.

Byleby nie poniżali.

Do celu zostało niewiele kilometrów. Wkrótce minęliśmy pierwszych pątników. Szli grupkami, taszcząc kosze, koce i wypchane reklamówki. Z męskich teczek wystawały szyjki butelek. Wyglądali, jakby wybierali się na majówkę. W miarę jak zbliżaliśmy się do Chumary, ludzi było coraz

więcej. Już nie mieścili się na poboczu i po kawałku anektowali jezdnię. Przed samą Chumarą tłum całkiem zablokował przejazd.

Pożegnałem się z kierowcą i dalej ruszyłem pieszo.

Droga do cerkwi odchodziła z centrum miasteczka. Szeroki, ubity trakt wznosił się pod górę łagodnymi zakolami. Zbocza porastały rododendron i berberys, nieco wyżej zaczynała się strefa cisowego lasu. Gdzieniegdzie leżały jeszcze płachty śniegu.

Po półgodzinnej wędrówce zobaczyłem wyłaniającą się zza drzew górę Szoana. Cerkiew stała na jej szczycie. Była klasycznie piękna - kwadratowa bryła z trzema skierowanymi na wschód apsydami, zwieńczona pękatą, sześcioboczną wieżą. Przywodziła na myśl greckie świątynie z Azji Mniejszej.

U podnóża Szoany rozpościerała się przestronna polana, zapełniona teraz pielgrzymami. Otwierał się stąd widok na okolicę: na pobliskie dwutysięczniki i potężne masywy głównego grzbietu.

Dalej, przez Teberdę i Przełęcz Kłuchorską, wiódł pieszy szlak do Abchazji. To stara trasa, przemierzona stopą wielu ludów. Tędy ciągnęli Scytowie i Alanowie, tędy wieźli swoje towary kupcy z Miletu i rzemieślnicy z Chorezmu. Karawany zatrzymywały się w Chumarze, gdzie niezawodne w stepie wielbłądy zamieniano na muły. Po przejściu Kaukazu podróżnicy przesiadali się na statki. Czarnomorski port w Sebastopolis (dzisiejsze Suchumi) zatrudniał na początku naszej ery tłumaczy z dwudziestu pięciu języków.

Za panowania dynastii izauryjskiej i macedońskiej przybyli tędy bizantyjscy mnisi, nawracający kaukaskie ludy na chrześcijaństwo. To oni, na przełomie dziewiątego i dziesiątego wieku, wznieśli szoanińską świątynię i szereg innych cerkwi.

Założone przez mnichów gminy przetrwały kilkaset lat. Z czasem z chrześcijańskich nauk pozostała czysta obrzędowość, splatająca się coraz mocniej z prastarą pogańską tradycją. Później inni misjonarze przynieśli religię Proroka.

Górale nie śmieli tknąć greckich świątyń. W pierwszych dekadach dziewiętnastego wieku kubańscy Kozacy, podbijający zachodni Kaukaz dla matuszki Rosji, ze zdumieniem odkrywali je w górskich uroczyskach.

W roku 1895 cerkiew na Szoanie została odrestaurowana i ponownie konsekrowana. Zaopiekowali się nią ojcowie z klasztoru aleksandryjsko-afońskiego w Zelenczuku, którzy zbudowali dla siebie niewielki *skit*, pustelnię. Rok wcześniej odnowiono przejście przez Przełęcz Kłuchorską. Teraz nosiło nazwę Suchumskiej Drogi Wojennej.

Dzień patrona cerkwi, świętego Jerzego, przyciągał rzesze pielgrzymów. Byli wśród nich prawosławni Rosjanie i Grecy oraz nowo ochrzczeni Osetyjczycy, ale zaglądali też pojedynczy Adygowie i kaukascy Turcy. Trudno powiedzieć, dlaczego święty Jerzy cieszył się na Kaukazie takim szacunkiem. Czy dlatego, że był rycerzem? A może dlatego, że zabił gadzinę? Albo dlatego, że przypominał pogańskiego boga Uastyrdżego?

Na Szoanie zebrały się trzy tysiące osób: radosnych, podnieconych, ale nie odświętnych. Mało kto miał na sobie krzyżyk, chyba nikt nie miał ikony. Każdy wypatrywał znajomych, a gdy znalazł, machał do nich ręką i przepychał się przez tłum. W cisowym gaju dzieci bawiły się w chowanego.

Niebawem przyjechał ojciec Wasyl, prawosławny administrator Czerkiesji i Karaczaju. Batiuszka dotarł na środek placu, stanął na pierwszym lepszym kamieniu i szybko odprawił modły. Po chwili młody diakon ze świty ojca Wasyla przyprowadził skądś wierzgającą owieczkę. Z pomocą dwóch krzepkich Osetyjczyków skrępował ją postronkiem i powiódł w stronę świątyni. Ruszyła za nim niewielka procesja, kilkanaście ubranych z wiejska babć i dziadków. Staruszkowie gramolili się pod górę z najwyższym trudem, potykali o kamienie, ale nie rezygnowali. Wściekli na własną słabość, na odmawiające posłuszeństwa nogi, kontynuowali wspinaczkę, jakby za wszelką cenę chcieli udowodnić, że są jeszcze w pełni sił. Przyłączyłem się. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, choć musiałem wyróżniać się strojem i karnacją. Trzy razy okrążyliśmy cerkiew, po czym weszliśmy do środka.

Wnętrze było mroczne i zupełnie puste: gołe mury, pokryte wulgarnymi napisami i niewybrednym graffiti. Jedna ze ścian była całkiem osmalona od dymu. Z braku świeczników wierni przymocowywali tutaj zapalone świeczki. Dołączyłem do nich swoją, nabytą jeszcze w

Chumarze od przygodnej handlarki - w intencji milicjanta Wołodii.

Tymczasem diakon zmówił modlitwę i wyprowadził owieczkę. Czekający przed cerkwią mężczyzna pewnym ruchem poderżnął zwierzęciu gardło.

To był sygnał. Sygnał do jedzenia.

Widziałem teraz całą polanę. Wszędzie rozkładano koce, gazety i foliowe worki. Z toreb wyciągano przytaszczone wiktuały. Zaczynała się rytualna uczta.

Posiotok Nowokumski

- Synku, chodź do nas! - usłyszałem za plecami. Przede mną stała drobna kobiecina w kwiecistej chuście. - Jestem ciocia Zoja z Chumary. Siadaj i jedz. W dniu świętego Jerzego nikt nie może być głodny.

Przykucnąłem na ziemi, wśród wielopokoleniowej rodziny Osetyjczyków. Na pierwszy ogień poszły ogromne, trójkątne pierogi z serem:

- My się tymi pierogami modlimy, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego - przeżegnała się Zoja. - Ważne, żeby w domu były choć trzy pierogi dla niespodziewanego gościa. Bo gość to boży posłaniec.

Potem jedliśmy barani szaszłyk i piliśmy miękkie domowe piwo.

Nie wyglądała na swoje osiemdziesiąt lat. Żwawo dzieliła mięso, rozlewała alkohol i doglądała chmary dzieciaków, buszujących w pobliskich zaroślach. Gęba się jej przy tym nie zamykała:

- Nie ukrywam, że jestem wierząca, a zresztą co tu ukrywać, teraz już nie trzeba ukrywać. Znam pacierze i czytam Pismo. Zawsze chodzę do cerkwi, to moja pociecha. Tylko dzieci źle wychowałam, moje urwisy nie lubią nabożeństw. - Wskazała na pięćdziesięcioletnich, łysiejących mężczyzn i pogroziła im palcem. - Ale na świętego Jerzego przyjeżdżają!

Staruszka zaczęła odwiedzać Szoanę w latach dwudziestych. Przychodziła z rodzicami. W cerkwi stał wtedy ikonostas, a pielgrzymów witał głos dzwonu. Mnisi mieli w swoim skicie refektarz i raz zaprosili ją na poczęstunek. Zapamiętała, że wszystko było drewniane: stoły, ławy, a nawet łyżki. Jadła grzyby i ziemniaki w mundurkach.

W trzydziestym siódmym władze zburzyły skit i zamknęły świątynię, wywożąc wcześniej dzwon i wszystkie ikony. Mnisi rozpierzchli się po Związku Radzieckim - ktoś pojechał do Kijowa, ktoś do Zagorska, inni zaszyli się w dzikich górach. Żyli w wykonanych własnym przemysłem celach, w dziuplach i pieczarach. Żywili się korzonkami, czasem próbowali uprawiać ziemię. Chwytani w milicyjnych obławach trafiali bądź do łagru - za niedopełnienie obowiązków meldunkowych - bądź do psychuszki z diagnozą: „religijna obsesja”.

Ludzie nie zaprzestali corocznych pielgrzymek. Każdego roku 6 maja wspinali się na Szoanę. Władze przeszkadzały, jak mogły. Gdy święty Jerzy wypadał w dzień roboczy, nie udzielano urlopów. Gdy w niedzielę - organizowano czyny społeczne. Najbardziej wytrwali przychodzili więc bladym świtem, przed pracą. Na to też znalazł się sposób. Któregoś razu milicja zamknęła po prostu drogę i nikogo nie przepuściła. Kiedy indziej funkcjonariusze zarekwirowali pielgrzymom buty. Szykan zaprzestano dopiero w latach osiemdziesiątych.

Ciocia Zoja kończyła opowieść, sprzątając jednocześnie po posiłku i próbując wyswatać mnie z najmłodszą wnuczką. Na Kaukazie Północnym, mimo rozbudowanej tradycji i zawiłych obyczajów, stosunki międzyludzkie są proste i naturalne.

Moi Osetyjczycy ustawili się w kółku i zaczęli tańczyć, klaszcząc rytmicznie w dłonie. Inne grupy też utworzyły kółka, które spontanicznie połączyły się z naszym. Polana

zawirowała od korowodów. Zajęczał akordeon, tu i ówdzie rozległy się stare kaukaskie pieśni. Zobaczyłem, że kilku mężczyzn zatacza się.

Chrześcijaństwo znowu splatało się z pogaństwem.

Ojciec Wasyl siedział wraz z diakonami przy stole ustawionym na fundamentach skitu. Obok dogasało ognisko: na trójnogu kołysał się potężny kocioł, w którym ugotowano ofiarne jagnię. Starzec z brodą do pasa prosił właśnie batiuszkę, by przysłał na Szoanę choć kilka ikon. Obiecywał, że dopilnuje cerkwi, że przyszykuje sobie komórkę i będzie tu mieszkał.

- Na Kaukazie nie ma narodów pogańskich - powiedział mi jeden z duchownych. - Poza jednostkami, nie ma też zadeklarowanych pogan. Można natomiast mówić o elementach pogaństwa w kaukaskim chrześcijaństwie i kaukaskim islamie. Te elementy widać w obyczaju i systemie wartości. Kaukazczycy nie chcą tworzyć synkretycznej religii ani własnego Kościoła. Mają cerkiew i meczet. Uważają się za prawdziwych chrześcijan lub prawdziwych muzułmanów, tyle że bycie nimi oznacza dla nich naśladowanie we wszystkim swoich ojców i dziadów.

- To nieważne - wtrącił ojciec Wasyl - że ludzie jedzą tu i tańczą. Ważne, że dusze mają czyste, że czczą świętego Jerzego, że przyszli na Szoanę i modlili się. Pana można wychwalać na wiele sposobów. W tym samym czasie, w całej Karaczajo-Czerkiesji iluś młodych ludzi wzięło narkotyk, coś ukradło albo kogoś pobiło...

Batiuszce nie przeszkadzało, że jestem katolikiem:

- Różnice między nami są niewielkie. Przede wszystkim jesteśmy chrześcijanami, dopiero potem katolikami i prawosławnymi. Decyzję, że wstąpię do seminarium, podjąłem w Polsce. Zobaczyłem tam pełne kościoły i prawdziwie wierzących ludzi. Zrozumiałem, że odrodzenie Rosji trzeba zacząć od uleczenia jej chorej duszy.

Spytałem, kiedy był w Polsce. - W czterdziestym czwartym i czterdziestym piątym. Wyzwalałem Warszawę.

Wracając do Stawropola zaszedłem na posterunek GAI i odnalazłem Wołodię. Milicjant ucieszył się, że dotarłem do cerkwi i zapaliłem świeczkę. Pokazał mi kieszonkową ikonkę ze świętym Jerzym: podobno przynosiła mu szczęście. Dawniej, wspominał, bywał na Szoanie bardzo często.

Może to on zabierał pielgrzymom buty?

Z notatek (10)

16 marca 2010

Moskwa. Centrum imienia Andrieja Sacharowa. Dyskusja o Kaukazie. Biorę w niej udział razem ze Swietłaną Gannuszkiną (działaczką Memoriału), Siergiejem Markiedonowem (konfliktologiem i publicystą) i Wiktorem Mizinem (politologiem z MGIMO). Najpierw omawiamy tematy przygotowane przez organizatorów - Konflikty zbrojne w ciągu ostatnich dwudziestu lat; Kaukaz Północny i Południowy: ani pokój, ani wojna; Perspektywy Północnokaukaskiego Okręgu Federalnego. Potem odpowiadamy na pytania publiczności:

- Czy tam się zawsze będą tak tłukli?
- Jak w ogóle z nimi rozmawiać?
- Co by się stało, gdyby Rosja wyszła z Kaukazu?

Padają także pytania mądre i ciekawe - ale większość świadczy o znikomej wiedzy, a czasem zupełnej ignorancji. A także o tym, że jest to dla tych ludzi ziemia obca, jakieś terytoria plemienne, jakieś bantustany. Równie dobrze mogłyby leżeć w Afryce albo na Księżycu!

Zastanawiam się, co sobie myślą, gdy spotykają żywego Czeczena albo Kabardyjczyka.

Machadżyrowie

Doświadczyliśmy od Rosjan wiele nieprawości, lecz nieskończenie boleśniejsze są potwarze, jakie na nas rzucają.

List Adygów do królowej Anglii, 1838

Główną ulicą Majkopu ciągnął kozacki pochód.

Miasto zamarło. Przechodnie pochowali się po bramach, kierowcy w pośpiechu zabierali auta i znikali w przylegających zaułkach. Nawet milicja usunęła się z drogi. Z okien okolicznych domów, zza dyskretnie uchylonych firanek wyglądały czujne, wystraszone oczy.

Na czele szli brodaci atamani w długich czarnych czerkieskach, z kindżałami u pasów i krzyżami georgijewskimi na piersiach. Nieśli czarno-pomarańczowo-białe flagi monarchii Romanowów i stare chorągwie kubańskiego wojska. Za nimi tłoczyła się kozacka młodzież, dwustu-trzystu podrostków ubranych jak popadło - ktoś w wojskowej bluzie i baraniej czapie, ktoś w czerkiesce i tenisówkach, ktoś w beszmecie i dżinsach.

Ci przebierańcy opanowali miasto. Nikt nie mógł się im przeciwstawić.

Upojeni swą siłą mężczyźni skandowali do pustych chodników i pozamykanych okien: „Adygejczycy, wynoście się!”, „Majkop - to rosyjskie miasto!”, „Idźcie precz w wasze góry!”

Pochód był już bardzo blisko, gdy czyjaś litościwa ręka wciągnęła mnie do bramy. W samą porę! Sekundę później na ścianę, przy której stałem, posypały się kamienie.

Mój wybawca, niepozorny staruszek o szczeciniastym zaroście, metodycznie zaryglował drzwi i westchnął:

- Ich dziadowie wyrzucali naszych dziadów, oni wyrzucają nas.

Archeolog Nurbi Łowpacze ma błękitne oczy i jasne włosy. Gdyby nie odrobinę śniada karnacja, w niczym nie przypominałby Kaukazczyka. Powiedziałem mu o tym. Roześmiał się. Płynęła w nim najczystsza adygejska krew, bez skaz i domieszek. Znał imiona przodków do czternastego pokolenia. W amerykańskiej terminologii wszyscy biali są „Kaukazczykami", białą rasę nazywa się w Stanach „kaukaską". A pradawni mieszkańcy Kaukazu wyglądali dokładnie jak Nurbi. Dopiero z napływem ałtajskich i indoeuropejskich genów ukształtował się dzisiejszy typ urody.

Zwiedzaliśmy majkopski kurhan, wznoszący się na wschodnim przedmieściu adygejskiej stolicy. Pochodził z epoki miedzi, z trzeciego tysiąclecia przed naszą erą. Znaleziono tu srebrne wazy, złote figury byków i lwów, miedziane topory i noże. Przypominały do złudzenia sztukę Mezopotamii. Znaleziono także mezopotamską kolumnę, wyciosaną z miejscowego kamienia, i pozostałości baldachimu, okalającego grób nieznanego wodza. Znaleziono wreszcie narzędzia rolnicze, które wskazywały na bliskie związki z kulturą egejską. Kaukaz Północny

należał do najważniejszych ośrodków cywilizacyjnych ówczesnego świata. Podręczniki historii starożytnej zbywają to milczeniem.

Nurbi winą za to obarczał rosyjski imperializm: najpierw carski, a potem komunistyczny. Przejawiał się on również w archeologii. Żaden zamieszkujący Rosję naród nie mógł okazać się starszy albo bardziej rozwinięty od rosyjskiego - dlatego imperialni uczeni naciągali fakty i wysuwali karkołomne teorie. Kurhan z Majkopu, rozkopany jeszcze w końcu dziewiętnastego wieku, bezpowrotnie zniszczono. Znaleziska wywieziono do Petersburga. Kulturę majkopską zinterpretowano jako odprysk kultur Bliskiego Wschodu, a wytworzone na miejscu przedmioty - jako zwykłe „importy” Podobny los spotkał setki innych kurhanów, grodzisk i osiedli obronnych pozostałych po Meotach, Zychach i innych praadygskich plemionach. Kaukaz nie doczekał się swojego Schliemanna.

Gdy kalif Omar zdobył Aleksandrię, rozkazał spalić znajdującą się tam bibliotekę:

- Jeśli przechowywane w niej księgi - rzekł - zgodne są z naszą religią, to nie potrzebujemy ich, bo wszystko jest w świętym Koranie. Jeżeli są sprzeczne, nie potrzebujemy ich tym bardziej.

W Rosji, zakończył opowieść Łowpacze, było dokładnie tak samo.

Europa zainteresowała się Kaukazem Północnym w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. W latach trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych „kwestia

kaukaska” zajmowała mocarstwa nie mniej niż sytuacja w Polsce czy Belgii. Po aułach wędrowali angielscy emisariusze, którzy obiecywali dżygitom złote góry, zagrzewając ich do walki z rosyjską konkwistą. Anglia obawiała się, że wzmocniona Rosja zagrozi sprzymierzonej wówczas z Londynem Turcji. Kaukaz był tylko kartą przetargową, jednak do dziś najstarsi aksakałowie Kabardy, Czeczenii i Dagestanu powtarzają legendę o sprawiedliwej angielskiej królowej, która przybędzie w końcu na ratunek.

Plemiona adygskie - Adygejczycy, Czerkiesi, Kabardyjczycy, Szapsugowie - zmagały się z imperium długie dziesięciolecia. Adygowie, zwani też ogólnie „Czerkiesami”, byli już wtedy społecznością zorganizowaną, z rozwiniętym rzemiosłem i handlem, z zalążkami organizacji państwowej. Kilkumilionowy lud dominował na zachodzie Kaukazu. Na wschodzie, na własną rękę walczyli z Rosją Czeczeni, Ingusze i Dagestańczycy.

Angielski szpieg i dziennikarz Edmund Spencer, podróżujący po Kaukazie w roku 1830, zanotował: *Patriotyczne zmagania dzielnych górali, broniących swych skromnych przytulisk przed zaciskającymi się kleszczami okupanta, oraz nierówna walka, jaką prowadzą już tak długo, zasługują na najwyższe uznanie i słusznie ich sprawa zyskała sympatię każdego oświeconego i humanistycznie nastawionego człowieka we wszystkich częściach cywilizowanej Europy. W Paryżu i Wiedniu, w Berlinie, Neapolu i Madrycie, Czerkiesja pojawia się jako temat każdej dyskusji; najgorętsze pragnienia triumfu jej oręża*

łączą się z kategorycznym napiętnowaniem gnębiącego ją ciemięzcy takimi słowami, na jakie zasługuje despotyczne okrucieństwo. Ale czy wyrażane przez Europę oburzenie wystarczy, by przeciąć imperialne ambicje? Czy jakakolwiek, nawet najwyraźniejsza demonstracja opinii publicznej może odwlec potężne państwo rosyjskie od prowadzenia tej polityki, której wymaga jego interes? Niestety - boimy się, że nie.

Podbój czerkieskich ziem zakończył się w roku 1864. Zdziesiątkowani górale, wypierani przez słowiańskich osadników i kubańskich Kozaków, przez rosyjskie wojsko, budujące wciąż nowe twierdze i umocnienia, setkami tysięcy uchodzili z Kaukazu. Osiedlali się w Imperium Osmańskim, na terenie dzisiejszych Turcji, Syrii, Jordanii, Izraela. Nazywano ich *machadżyrami,* czyli wygnańcami. Ci, którzy pozostali, żyli z piętnem klęski, z nieuleczalną psychiczną traumą.

Exodus nie ustał z wojną kaukaską. Po zdławieniu desperackiego, samobójczego zrywu Adygów i bliskich im Abchazów (1877-1878) górskie przełęcze i czarnomorskie porty znów zapełniły się tułaczami. Kolejnymi machadżyrami byli drobni książęta kabardyjscy oraz pierwsi czerkiescy i adygejscy inteligenci, którzy w rosyjskiej wojnie domowej stanęli po stronie „białych”. Uciekinierzy nadal w większości wybierali Turcję, ale niektórzy dotarli na Bałkany, do Europy Środkowej i Zachodniej, a nawet do Stanów Zjednoczonych.

W ciągu stu lat populacja żyjących na Kaukazie Adygów zmniejszyła się dwadzieścia razy.

Z kilkunastu ocalałych, tubylczych wiosek bolszewicy utworzyli Adygejski Obwód Autonomiczny. Przytłoczeni przez słowiański żywioł, oddzieleni od innych adygskich plemion, autochtoni z wolna tracili język i obyczaj.

Asłan Dżarimow, pierwszy prezydent Adygei, wspominał: *Co prawda w miejscowościach, w których były większe skupiska Adygejczyków, formalnie istniały w szkołach „narodowe" klasy, lecz wszystkie przedmioty wykładano tam po rosyjsku, a na lekcje adygejskiego przeznaczano nie więcej niż dwie-cztery godziny w tygodniu. Równocześnie w tychże szkołach tworzono klasy „rosyjskie", gdzie język ojczysty nie był w ogóle nauczany, choć zdarzało się, że wśród uczniów nie było żadnego Rosjanina. Te ostatnie klasy miały z reguły wyższy poziom i cieszyły się większym prestiżem.*

Absolwenci miejscowych dziesięciolatek wyjeżdżali na studia do Nalczyka, Krasnodaru i Moskwy - w Majkopie działał lichutki instytut pedagogiczny, uniwersytet powstał dopiero w 1993 roku. Najzdolniejsi, najambitniejsi, najbardziej przedsiębiorczy już w rodzinne strony nie wracali. W Adygei czekałaby ich kariera wiejskich nauczycieli, lekarzy zakładowych albo radców prawnych zapyziałych kołchozów. Oni też byli machadżyrami, choć nikt ich tak nie nazywał.

Na Kaukazie pozostali chłopi, kiepsko wykwalifikowani robotnicy i paru literatów, którzy nie potrafili tworzyć po

rosyjsku. Żaden bunt nie wchodził w grę. Kto stanąłby na jego czele? Kto wziąłby udział w demonstracji? Agenci tajnej policji z czystym sumieniem donosili centrali, że w Adygei nastrojów nacjonalistycznych nie obserwuje się.

Pod koniec lat osiemdziesiątych emigranci zaczęli jednak wracać. W wielkich rosyjskich miastach było coraz trudniej o pracę. Tym bardziej, jeśli miało się charakterystyczne kaukaskie rysy. Naród sowiecki rozpadał się na dziesiątki i dziesiątki prawdziwych, historycznych narodów.

Fala narodowego odrodzenia dotarła także do Majkopu. Była to fala niziutka, wtórna, niepodobna do olbrzymich fal, jakie rozhuśtały Kabardę czy Karaczaj, nie mówiąc o spienionych bałwanach Czeczenii. Zebrało się po prostu czternastu inteligentów: założyli Adygejską Radę Narodową i wydali kilka gazetek. Potem rozjechali się po wsiach tłumacząc, że trzeba domagać się etnicznych szkół i dwujęzyczności urzędów.

Odwoływali się do *adyge chabze,* adygejskiego kodeksu zwyczajowego, przypominającego nieco czeczeńskie adaty. Trafiali w próżnię - chabze niewiele już ludziom mówiło. Nie istniały wioskowe wspólnoty i rady aksakałów, murszały struktury klanowe. Nie było ciągłości tradycji. Jak mówi adygejskie przysłowie, „Gdzie nie ma dobrych starców, nie ma też dobrej młodzieży”. Zostało trochę dawnej dumy, wstydliwie skrywanej przed wrogim światem, resztki honoru i męstwa, szacunek dla starszych oraz gościnność, w imię której w każdym domu w dalszym ciągu przeznaczano dla gości specjalną izbę, z zawsze

przygotowaną świeżą pościelą. Tu i ówdzie przetrwał jeszcze obrzęd *kunactwa,* czyli bratania się dwóch mężczyzn, którzy obiecywali służyć sobie pomocą w każdej potrzebie. Na tych wątłych fundamentach inteligenci próbowali teraz odbudowywać adygejską tożsamość.

Jednym z inteligentów był Nurbi Łowpacze, który osiedlił się w Majkopie po latach spędzonych na wyższych uczelniach Leningradu i Tbilisi. Należał do radykałów - domagał się umożliwienia powrotu na Kaukaz potomkom machadżyrów. Adygowie mieszkają w pięćdziesięciu krajach świata, najliczniejsza, szacowana nawet na dwa miliony osób, diaspora znajduje się w Turcji. Repatriacja, uważał Łowpacze, zmieniłaby skład narodowościowy regionu: Adygejczyków wraz z Kabardyjczykami, Czerkiesami i Szapsugami jest w całej Rosji niespełna sześćset tysięcy. Nie wziął pod uwagę, czy ci ludzie w ogóle zechcą wracać na Kaukaz, ilu z nich zna jeszcze język ojczysty, w jakim stopniu ulegli asymilacji.

W 1992 roku obwód adygejski stał się republiką. Zmianę statusu wywalczyli miejscowi komuniści, którzy przechwycili hasła narodowej inteligencji. Dla podporządkowanej dotąd Krasno-darowi i Moskwie nomenklatury, „suwerenizacja” oznaczała pełnię władzy. Pierwszym prezydentem został były pierwszy sekretarz *obkomu* partii komunistycznej.

Wyjątkowość Adygei polegała na minimalnym odsetku ludności rdzennej - Adygejczycy stanowili ledwie dwadzieścia dwa procent mieszkańców. Pozostałe

siedemdziesiąt procent przypadało na Słowian, wśród których zdecydowanie przeważali Rosjanie (w republikach Kaukazu Północnego udział Rosjan maleje z zachodu na wschód: w Karaczajo-Czerkiesji jest ich jeszcze czterdzieści dwa procent, w Północnej Osetii - dwadzieścia osiem procent, a w Dagestanie dziewięć procent). Inną osobliwością było położenie: Adygeja miała tylko jednego sąsiada. Ze wszystkich stron otaczał ją Kraj Krasnodarski.

Prezydent zaczął urzędowanie od zmiany ordynacji wyborczej. Podzielił okręgi tak, żeby Adygejczyków i Rosjan było w miejscowym parlamencie po połowie. Duży Majkop, w którym zawsze wygrywają Rosjanie, dostał trzy mandaty. Maleńki Koszechabel, gdzie szansę mają tylko Adygejczycy - również trzy mandaty. Regułę nazwano „parytetem” i wpisano do adygejskiej konstytucji.

Słowianie wpadli w histerię. Niektórzy pisali na Kreml, protestując przeciwko „naruszaniu praw obywatelskich”, inni prosili o pomoc media. W moskiewskich gazetach pojawiły się artykuły piętnujące „adygejski faszyzm”, kilka razy przyjeżdżała telewizja. Majkopscy Kozacy zaczęli się zbroić, wietrząc nieuchronną konfrontację. *Jak tak dalej pójdzie, okażemy się na swojej ziemi niewolnikami, ludźmi drugiej kategorii, a nasze dzieci będą prześladowane i poniewierane tylko za to, że są Rosjanami* - alarmowała w liście otwartym do miejscowego tygodnika „Zakubanie” załoga jednej z fabryk.

Większość drżała przed mniejszością.

Atmosferę podgrzewał Związek Słowian Adygei, a właściwie paru działaczy, zawodowych kontestatorów. Rozpoczęto budowę meczetu - protestowali, bo „meczet nigdy w tym miejscu nie stał”. Pobito jakiegoś chłopaka - grzmieli, że „sprawa miała podłoże etniczne”. Rodaków straszyli Adygami z diaspory, którzy lada chwila zaleją Kaukaz i wymordują Rosjan. Tymczasem plany repatriacji były mrzonką, Majkopu nie było stać na taką akcję. W 1999 roku przesiedliło się kilkaset rodzin z bombardowanego przez NATO. Kosowa, to wszystko. Obrońcy „uciśnionych” Słowian wiedzieli jednak swoje. A może znali prawdę? Niewykluczone, że znali, bo gdy jeden z nich zasiadł w Dumie Państwowej, wybrany przez zastrachanych ziomków, nigdy nie zgłosił żadnego antyadygejskiego projektu.

O prześladowaniach mówił tylko w wywiadach.

Rosjanie bali się, bo mieli nieczyste sumienie. Zdawali sobie sprawę, kto podbijał Kaukaz i skąd wzięło się machadżyrstwo. Wypierali jednak tę wiedzę ze świadomości.

Kozaka Andriuszę poznałem, gdy po pochodzie pił z kolegami piwo.

- Daliśmy im szkołę, żaden dzikus nie będzie tu podskakiwał! - cieszył się, wymachując nahajką. - Jak przyjdzie czas, tego ichniego prezydenta też się załatwi.

Andriusza był niezłym chłopakiem. Zabrał mnie do domu, kazał mamie upiec naleśniki, a sam zajął się szaszłykiem. Nie wypuścił, póki wszystkiego nie zjedliśmy. Miał dwadzieścia cztery lata, skończył samochodówkę, zajmował

się handlem. Prostodusznie dzielił ludzi na czarnych i białych.

- Nasi dziadowie złożyli tutaj swe kości, ta ziemia uświęcona jest ich krwią - wykładał mi swoje racje językiem propagandowej broszury. - Oni walczyli za Rosję i najświętszą prawosławną wiarę. My poniesiemy ich sztandar dalej, ku przyszłym triumfom. Dobry Adygejczyk to martwy Adygejczyk - dodał już od siebie.

Spytałem, czy myśli tak o wszystkich Adygejczykach. Zawahał się.

- No nie. Rusłan, ten z naprzeciwka, to porządny chłop.

I Alik, mój kolega z podstawówki. I jeszcze Murad, i Chalid, i Batyrbi, i Pszymaf, i Kirimiz.

Dużo naliczył tych porządnych.

- Już wiem! - odetchnął z ulgą. - Kiedy się zacznie, uprzedzę ich!

Adygejczycy bali się tak samo jak Rosjanie. Był to jednak inny strach - strach wiecznej ofiary, strach zwierzęcia uciekającego przed nagonką.

Rusłan Jemiż, dystyngowany sześćdziesięciolatek, specjalista od średniowiecznej historii Kaukazu i przewodniczący Adygejskiej Rady Narodowej, tłumaczył mi dobrodziejstwa „parytetu”:

- Musimy się zabezpieczyć. Ta republika nazywa się Adygeja i należy do Adygejczyków. To nasze jedyne miejsce na ziemi, Rosjanie mają jeszcze Moskwę, Petersburg i tysiące innych miast. Oczywiście, nikt im nie broni tu mieszkać. Niech się rozwijają, niech otwierają swoje szkoły

i teatry. Wspomożemy je nawet dotacją, ale priorytet damy naszym szkołom i naszym teatrom.

Almir Abregow, dyrektor majkopskiego muzeum, dodał:

- Nie prześladujemy Słowian. Najlepszy dowód, że wciąż przyjeżdżają tu rosyjscy uciekinierzy z Czeczenii, Inguszetii i Dagestanu. Zgodnie z tradycją adyge chabze, udzielamy im gościny. Nie chcemy tylko, aby powtórzyła się historia z dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Nie chcemy znowu stąd uciekać.

Mimo kozackich pochodów i emocji wokół parytetu, w Adygei panował spokój. Na tle innych republik Kaukazu Północnego była to wręcz oaza spokoju.

Archeolog Nurbi Łowpacze opowiedział mi historię o uciekającym bogu. Bóg nazywał się Telepin i od tysiącleci opiekował się swoim ludem. Błogosławił nowo narodzonym, wspierał chorych, dbał o urodzaj i chronił domy przed błyskawicami. Któregoś razu lud się jednak zbuntował:

- Nie potrzebujemy żadnych bogów! - wykrzykiwali mężczyźni.

- Z bogami są same kłopoty! Trzeba ich czcić i składać im ofiary! - wtórowały kobiety.

Dobry Telepin zasmucił się, ale cóż było robić: nikt go nie chciał. Otarł łzę i wyruszył na tułaczkę. Wędrował, wędrował, aż zawędrował na kraj świata. Ogarnęło go wielkie znużenie, bo nawet bogowie bywają znużeni. Wybrał cienistą polanę i ułożył się do snu.

Ludzie nareszcie mogli robić, co im się żywnie podobało. Żadnych zakazów i nakazów, żadnych obowiązków! Hulaj

dusza, piekła nie ma! Wkrótce zapanował jednak straszliwy chaos. Nic nie było na swoim miejscu. Żołnierze zamiast strzec granic, grali w karty i wróg wdarł się do stolicy. Walki i tak by zresztą nie podjęto, bo płatnerze, którzy mieli wykuć szable, oddawali się pijatyce. Żony nie gotowały obiadów i mężowie chodzili głodni. Mężowie zaniedbywali żony. Dzieci wałęsały się samopas i raz po raz dochodziło do nieszczęścia. Przyroda poszła w ślady człowieka. Kwiaty nagle przestały kwitnąć, drzewa - owocować, a krowy - dawać mleko. Ponownie zebrali się starcy. Uradzili, że trzeba przeprosić Telepina. Ale boga nie można było nigdzie znaleźć. Wypatrzyła go dopiero pszczoła - przyroda też przyłączyła się do poszukiwań. Telepin spał mocnym snem, ani drgnął, gdy próbowała go obudzić. Nie myśląc wiele, użądliła boską goleń. Telepin syknął z bólu, bo nawet bogowie odczuwają czasem ból. - Telepinie - poprosiła pszczoła - wróć do swojego ludu! Bóg przecząco pokręcił głową. - Nie wrócę, póki nie dojdziecie ze sobą do ładu. Nie będę wtrącał się w wasze spory i waśnie, w wasze ziemskie niesnaski. Poczekam, aż sami naprawicie całe zło, i wtedy przybędę, aby znowu błogosławić noworodkom, wspierać cierpiących i dbać o urodzaje.

Ponoć czeka do dzisiaj.

Łowpacze sięgnął po karafkę i nalał nam wódki. - Wypijmy za to, żeby Telepin w końcu powrócił!

Z notatek (11)

8 kwietnia 2010

Strona internetowa Kawkazskij Uzieł zebrała głosy Czerkiesów na temat olimpiady zimowej, która ma się odbyć w 2014 roku w Soczi.

Soczi to historyczna ziemia ludów czerkieskich (adygskich), ale w okolicy zostało niewielu Adygów. Zagłada przyszła w dziewiętnastym wieku. Kilkaset tysięcy zginęło w wojnie kaukaskiej. Drugie tyle, a może więcej, wyjechało na zawsze po zajęciu tych terenów przez Rosję.

Dwa lata temu rozmawiałem z działaczem adygskim z Majkopu, Zaurem Dzeukożewem. Opowiadał o protestach przeciwko olimpiadzie: igrzyska to radość, święto - a jak można świętować na grobach? Tam, gdzie dokonał się największy dramat autochtonów (Dzeukożew mówił: ludobójstwo)? Świat nie przejął się jednak apelami, rozsyłanymi z Kaukazu do ONZ, MKOl, innych organizacji międzynarodowych, rządów, parlamentów, mediów.

Teraz Czerkiesi już nie protestują. Chcieliby tylko, aby w symbolice tej olimpiady znalazło się odwołanie do ich kultury. Aby w ceremonię otwarcia wpleść miejscowy folklor - jak zrobili to Kanadyjczycy podczas igrzysk w Vancouver.

Nie mają wielkich nadziei. Asker Socht z Międzynarodowej Asocjacji Czerkieskiej mówi, że wśród

400 artystów z Rosji, którzy asystowali przy przekazaniu z Vancouver do Soczi ognia olimpijskiego, rdzenną ludność reprezentował... kozacki chór.

Raskolnicy

Trudno nie postawić pytania: w jaki sposób różne ośrodki staroobrzędowe, w miastach i we wsiach, w bagnach i w lasach, w gminach i pustelniach w ogóle przetrwały?

Ludwik Bazylow, 1986

Pierwsza izba jest poświęcona Kozakom niekrasowcom.

Przy wejściu wiszą stroje weselne. Panna młoda ubierała się w złotą suknię z wąziutkimi czarnymi paskami, w czerwony serdak i zielony fartuszek. Na głowę zakładano jej *kiczkę* - wysoki stroik ozdobiony rzędem pereł. Pan młody przyodziewał haftowany *kitel,* który przewiązywał złotą szarfą, do tego bufiaste czerwone spodnie i skórzane trzewiki.

- Kobieta chodziła w kiczce jeszcze czterdzieści dni po zaślubinach. Jej mąż wracał do zwykłego ubioru już nazajutrz - objaśnia mi Ludmiła Wasiliewna Jewdokimowa, założycielka muzeum. - Niekrasowcy kochali żywe, jaskrawe kolory. W Związku Radzieckim nikt takich tkanin nie produkował.

Jest niedziela, ale gdy pani Ludmiła dowiedziała się, że ktoś chce obejrzeć ekspozycję, natychmiast przybiegła, zostawiając rodzinę przy świątecznym obiedzie. Nie po to przez tyle lat chodziła po domach, wypatrywała porzuconych drewnianych narzędzi, wypraszała pożółkłe fotografie i nadgryzioną przez mole garderobę, żeby gość

odchodził z kwitkiem! Muzeum prowadzi społecznie. Miejscowy sowchoz, który dał pomieszczenia, płaci jej tylko za opiekę nad dwoma zespołami folklorystycznymi, a i to nieregularnie.

Koniec świata. Najpierw trzeba dostać się do Budionnowska, później złapać autobus do Lewokumskiego. Dalej trzeba iść pieszo, chyba że zabierze nas Tolik, kierowca z sowchozu. Gderliwe staruszki, które rozsiadły się na rogatkach wśród niezliczonych tobołków, węzełków i *czemodanów,* czekają właśnie na Tolika. Dużo narodu? Bez obaw, zmieścimy się! Potężny kamaz właśnie pokazał się na zakręcie - zatrąbił i z fasonem przyhamował, obryzgując całe towarzystwo fontanną błota. Skaranie boskie z tym szoferakiem! Teraz musimy wdrapać się na platformę i mocno chwycić krawędź burty, dziury są tutaj niemiłosierne.

Posiołok Nowokumski wyłania się znienacka, zza jednego z porośniętych winną latoroślą pagórków, ciągnących się łagodną sinusoidą wzdłuż prawego brzegu Kumy. Widać stary dwór, należący kiedyś do dziedzica Blinowa, a po rewolucji przejęty przez sowchoz, widać domy robotników rolnych - wszystkie podobne, jakby wyszły spod jednej sztancy; widać pękatą cebulę staroobrzędowej cerkwi. To jeszcze Kraj Stawropolski i południowe rubieże stepowego płaskowyżu, ale pagórki zwiastują już bliskość Wielkiego Kaukazu. Pięćdziesiąt kilometrów stąd zaczyna się Dagestan, sto kilometrów na południe przebiega granica Czeczenii.

Niekrasowcy przybyli do Nowokumskiego w 1962 roku, po trwającej dwa i pół wieku tułaczce.

Na początku osiemnastego wieku południe Rosji wrzało od chłopskich buntów, powstań i insurekcji, za broń chwytali Baszkirzy i astrachański plebs.

W 1707 roku Piotr I wysłał ekspedycję karną nad Don. Wojsko miało przeczesać stanice i wyłapać ukrywających się przed pańszczyzną włościan. Były to ziemie kozackie, z dawien dawna cieszyły się autonomią. Znajdowali tam przytułek banici, zbiegli z konwoju więźniowie, niewypłacalni dłużnicy i dezerterzy z jednostek liniowych. Gdy car złamał święte prawo azylu, dońska społeczność podzieliła się na dwa obozy. Majętna i wpływowa kozacka starszyzna podporządkowała się woli samodzierżawcy. Nie mając nic do stracenia, biedota spontanicznie podjęła walkę.

Na czele rebelii stanął Konrad Buławin, który w ciągu kilku dni zebrał piętnastotysięczną armię. Wkrótce opanował Czerkask i ogłosił się hetmanem całego Donu. Bunt rozlał się szybko na sąsiednie prowincje. Na Zaporożu, nad Dońcem i w okolicach Saratowa, umyślni werbowali ochotników, nęcąc: Kto chce z panem atamanem wojskowym Konradem Afanasjewiczem po czystym polu pochodzić, słodko popić i pojeść, na dobrych koniach pojeździć, niech przybywa w czarne góry samarskie!

Nie tylko żądza łupów i wizja nieokiełznanej swobody poruszyły kozackie masy, ale także niechęć wobec zmian,

jakie zaszły w rosyjskiej Cerkwi. Pół wieku wcześniej patriarcha Nikon dokonał korekty ksiąg liturgicznych, poprawiając ustępy niezgodne z greckim pierwowzorem i usunął ze świątyń te ikony, w których dopatrzył się odstępstw od bizantyjskiego kanonu. Zmodyfikował także niektóre elementy mszy świętej. Innowacje nie były wielkie, ale dla konserwatywnych wiernych i ich duszpasterzy zawalił się cały świat: oto zabraniano modlić się tak, jak modlili się ojcowie, dziadowie i pradziadowie! Ludwik Bazylow w *Historii nowożytnej kultury rosyjskiej* zauważył:

Miał chłop rosyjski szczególną predylekcję do zajmowania się szczegółami, do drobiazgowego roztrząsania spraw nawet najbłahszych, odznaczał się też, wtedy kiedy uznawał to za konieczne - nieprawdopodobnym uporem. [...] Kiedy jednak wprowadzono w życie reformę cerkiewną i trzeba było żegnać się trzema palcami, a nie dwoma, śpiewać „alleluja" trzy razy, a nie dwa i jeszcze kilka takich formalnych innowacji, wielu wolało rzucić wszystko i uciec do nieprzebytych lasów, znosić najwymyślniejsze męki fizyczne, co więcej, spalać się żywcem z żonami i dziećmi. Żartem to nie jest - w ciągu jednego stulecia, od połowy siedemnastego do połowy osiemnastego wieku, spaliło się żywcem na pewno kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

W rosyjskim prawosławiu doszło do *raskołu,* czyli rozłamu, schizmy. *Raskolnicy,* zwani też staroobrzędowcami albo staro-wiercami, dzielili się na popowców i bezpopowców. Pierwsi nie potrafili obejść się

bez świątyń i duchowieństwa. Drudzy, radykalniejsi, odrzucili religijność zinstytucjonalizowaną i z czasem rozproszyli się w dziesiątkach i dziesiątkach sekt.

Rebelianci Buławina również trwali przy starej liturgii. Nadal żegnali się dwoma palcami i dwa razy śpiewali „alleluja". Ich batiuszkowie - buntownicy należeli do popowców - pisali imię Jezus przez jedno „i" *(Isus,* nie zaś *Iisus).*

Samozwańczy ataman utrzymał się na Donie około roku. Zginął w wyniku sprzysiężenia kozackiej arystokracji, która nie chciała konfliktu z carem i Cerkwią. Walczące jeszcze oddziały zostały rozbite w ciągu paru następnych miesięcy. Posypały się najsurowsze represje. Zbuntowane stanice spłynęły krwią.

Ci, którzy ocaleli, uszli z rodzinami za Kubań. Zabrali ze sobą święte księgi i zdobione perłami nieprawomyślne ikony. Zabrali dawne pieśni i modlitwy. Na nowym miejscu od razu wybudowali świątynię. Starali się żyć po staremu. Gromadce przewodził Ignat Fiodorowicz Niekrasow, najbliższy towarzysz Buławina.

Minęło czterdzieści lat. Po rosyjskiej stronie Kubania zaczęły wyrastać umocnienia i fortyfikacje. Carskie ekspedycje raz po raz wypuszczały się za rzekę. W awangardzie kroczyli dońscy i kubańscy Kozacy - ci wierni Petersburgowi. Zapłonęły raskolnickie wsie i góralskie auły.

Niedawni wygnańcy znów musieli uciekać. Nosili teraz imię niekrasowców, na pamiątkę swojego Mojżesza, który

wywiódł ich z domu niewoli. Do ziemi obiecanej wciąż mieli daleko. Ruszyli w drogę jesienią. Przezimowali na Półwyspie Tamań-skim, oddzielającym Morze Czarne od Azowskiego. Wiosną zawędrowali do Dobrudży. Spędzili tam kolejne czterdzieści lat. Wznieśli nowe domy i świątynie. W Tulczy nad Dunajem założyli własne staroobrzędowe biskupstwo.

Los nadal im nie sprzyjał. W roku 1790 Aleksander Suworow zdobył twierdzę Izmaił. Carskie wojsko podeszło nad Dunaj. Trzeba było dalej uciekać.

Przenieśli się do Anatolii. Zamieszkali w okolicach morza Marmara. Przez następne sto siedemdziesiąt lat żyli według wskazówek, jakie zostawił im ojczulek Niekrasow. „Wiary przodków strzeżcie jak źrenicy oka!” - brzmiało pierwsze przykazanie niepisanego kodeksu. „Do Rosji rządzonej przez carów nie wracajcie!” - brzmiało ostatnie.

Minął wiek dziewiętnasty i połowa dwudziestego. Przetoczyły się dwie wojny światowe. W Rosji upadł carat, zaczął się i skończył stalinizm. Nastała Chruszczowowska odwilż.

Decyzję o repatriacji podjęła starszyzna. Niekrasowcy wymierali. Chłopcy musieli brać za żony swoje kuzynki, dziewczęta wychodzić za kuzynów: małżeństwo z Turkiem oznaczało pewną asymilację. Brakowało powołań. Nieliczni batiuszkowie od dawna kształcili się w „heretyckich” prawosławnych seminariach. Kiedy turecki rząd zamknął czteroklasowe rosyjskie szkoły stało się jasne, że dłużej czekać nie można.

Na statek, przysłany przez władze radzieckie do Stambułu, wsiadło 999 niekrasowców. Do Noworosyjska dopłynęło 1000. Siemion Antonowicz Babajew, który urodził się na morzu, pracuje dziś w sowchozie jako zootechnik.

Przybyszów skierowano do uprawy winorośli i produkcji wina. Starcy nie mieli złudzeń: chodziło o reedukację niekrasowskiej młodzieży. Dziadków, wiadomo, rozumu nie nauczysz. Nikt nawet nie próbował. Wydano im zgodę na budowę cerkwi: niech sobie klepią te swoje pacierze. Gdy dwóch emerytów zdecydowało się wstąpić do partii, świętował cały powiat. Przyjechał sekretarz z Lewokumskiego i ekipa dziennikarzy ze Stawropola.

Z młodzieżą było inaczej: obowiązkowo *oktiabriata* (odpowiednik naszych zuchów), obowiązkowo pionierzy, obowiązkowo Komsomoł. Zamiast porannej modlitwy - poranna gimnastyka. Zamiast nabożeństwa - zabawa. Zamiast postu - alkoholowy karnawał.

- Czuliśmy się nieswojo - mówi Gawrił Dmitrijewicz Saniczew, niekrasowski starosta, który w chwili repatriacji miał piętnaście lat. - W naszych obejściach zawsze panował porządek, wszystko było czyste i poukładane. Tutaj był jeden rozgardiasz. Po izbach wałęsały się kury, dzieci taplały się w błocie. Zbierałem w sowchozie winogrona i starałem się, aby na krzewie nie pozostał ani jeden owoc. Gdy jakiś przeoczyłem, ojciec dawał mi po łapach. Potem brygadzista wyjaśnił, że w ten sposób nie wypełnimy normy i załamie się plan.

- Na początku nie rozumieliśmy ich - opowiada Ludmiła Jewdokimowa, która już wtedy pracowała w domu kultury. - Nie rozumieliśmy w sensie dosłownym. Niekrasowcy używali archaicznej, osiemnastowiecznej ruszczyzny, przeplatanej zwrotami w języku tureckim. Ale nie rozumieliśmy także ich kultury, tradycji, obyczajów. Kiedy w pierwsze święto wyszli z domów w barwnych strojach i utworzyli taneczny korowód, śmiała się cała wieś. Ludzie wytykali tańczących palcami, gapili się na nich jak na małpy w cyrku. W drugie święto korowodu już nie było.

Ludmiła postanowiła działać.

- Wysłałam listy do moskiewskich uczonych, do etnografów i muzykologów - opowiada. - Niekrasowcy znali sztukę czytania *kriuków,* którymi od jedenastego wieku zapisywano na Rusi muzykę liturgiczną. Umieli śpiewać *byliny,* stare pieśni o bohaterach. Zaczęli zjeżdżać do nas profesorowie, studenci. Prowadzili badania, robili notatki, nagrywali. Czasem przysyłali mi swoje artykuły. Po każdej wizycie czegoś jednak zawsze brakowało. Ktoś wyniósł z cerkwi parę ikon, gdzieś zapodziały się rozkazy pisane ręką Niekrasowa. Jednej kobiecie zginęła siedemnastowieczna *azbuka,* z której kilkanaście pokoleń niekrasowców uczyło się ojczystej mowy. Milicja nie potrafiła nam pomóc, bo zabytki nie były skatalogowane. Pomyślałam, że trzeba założyć muzeum.

- Bez żalu oddałem Ludmile nasze pamiątki - wspomina Saniczew. - Uważałem, że powinniśmy żyć jak inni Rosjanie. Wróciłem właśnie z sowieckiej armii, założyłem rodzinę,

podjąłem pracę jako kombajnista. Cerkiewny raskoł, Buławin, Kubań, Tulcza, nasza odyseja, to było dla mnie ważne, ale dawno minione. W sześćdziesiątym drugim zamknęliśmy przecież ten rozdział.

Któregoś dnia wszedłem do cerkwi. Dawno tam nie zachodziłem, choć jeszcze w Turcji ojciec chciał mnie wykierować na batiuszkę i nigdy nie przestałem wierzyć w Boga. Zobaczyłem rozmodlonych ludzi, usłyszałem znajomą pieśń. Poczułem się jak w dzieciństwie, gdy mama prowadzała mnie do Uspieńskiego Soboru w Kacayat, w prowincji Balikesir.

Zacząłem bywać w cerkwi codziennie. Moi koledzy, niekrasowcy w średnim wieku, początkowo dworowali sobie z mojego „nawrócenia", ale potem sami wracali do religijnych praktyk. Od końca lat siedemdziesiątych znowu urządzaliśmy korowody.

- To był ich łabędzi śpiew - mówi Ludmiła. - Starzy wymierali, młodzi rwali się do miast. Jeden Gawrił nie czynił wiosny. W Turcji żyli we własnym getcie, tu dookoła byli sami Rosjanie. Nie mogli nie roztopić się w tej masie. W siedemdziesiątym ósmym założyłam dwa zespoły pieśni i tańca, dorosły i dziecięcy, żeby ratować, co się jeszcze dało. Pojechaliśmy na festiwal folkloru do Moskwy i nagraliśmy płytę z kriukowym śpiewem. Dzisiaj w zespole dziecięcym nie mam żadnego niekrasowca. Został tylko repertuar.

W Nowokumskim mieszka sto trzydzieści niekrasowskich rodzin, w sąsiedniej wsi Burgun Madżary - jeszcze siedemdziesiąt. Rodzina składa się z dwóch-trzech osób,

najczęściej z dziadka i babci, rzadziej z młodego małżeństwa z dziećmi.

Cerkiewny dzwon bije jak oszalały, drogą ciągnie rozśpiewany tłum. Kobiety założyły tradycyjne, wielobarwne suknie, mężczyźni ubrali się w garnitury, czyli „po europejsku”, tak się tu mówi. Przed wejściem do świątyni rozdzielają się, one wchodzą jednymi drzwiami, oni drugimi; potem wewnątrz też stoją osobno.

Nabożeństwo prowadzi ojciec Konrad, żwawy siedemdziesięciolatek z pokaźną nadwagą. Towarzyszy mu ojciec Teofan, starszy o dekadę ascetyczny drągal. Obydwaj uprawiają ziemię, Ignat Niekrasow uczył, że bez pracy fizycznej nie ma moralności. Teofan dochrapał się nawet sowchozowej emerytury. Grzmi męski chór, cerkiewny woźny rozdaje zebranym kawałki chleba.

Jest 15 maja, niekrasowcy obchodzą doroczne święto parafialne. Po mszy formuje się procesja. Na czele idzie dwóch sędziwych niekrasowców. Niosą ikonę przedstawiającą zaśnięcie Najświętszej Marii Panny. To bezcenna relikwia. Modlił się przed nią jeszcze Buławin. Cud, że Turcy nie zarekwirowali obrazu. Podczas wyjazdowej kontroli celnej zabrali przecież atamański buńczuk i szablę Niekrasowa.

Wokół starców tłoczą się pozostali mężczyźni. Kobiety, tak jak w cerkwi, podążają za nimi. Kilkoro dzieci idzie grzecznie za kobietami.

Pochód zatrzymuje się przed obejściem Saniczewów, krewnych Gawriła Dmitrijewicza. Gospodarze witają ikonę

na kolanach. Aż do wieczora, kiedy nastąpi wyprowadzenie obrazu, ich dom będzie symboliczną świątynią.

W największym pokoju przygotowali mównicę. Staje przy niej sędziwy Wasyl Parfiejewicz. Łamiącym się głosem odczytuje ze świętej księgi właściwą modlitwę. Zaglądam mu przez ramię: na dwóch stronach znajduję tylko kilka znajomych liter. Oprócz Wasyla, dawny cerkiewny alfabet znają w wiosce jeszcze ze trzy osoby.

Teraz czas na obiad. W ogrodzie, pod dorodnymi kiściami winogron, ustawione są długie ławy, osobne dla mężczyzn, osobne dla kobiet. Przy ostatniej, najmniejszej, zasiadają dzieci. Gospodyni podaje rybę, kapuśniak i kurczaka. Na deser są *pyszoczki* - kruche ciasteczka z kaszą manną. Do picia białe wino domowej roboty. - Przyszło ze sto dwadzieścia osób - ocenia Gawrił. - Na weselach bywa trzysta do czterystu.

Ojciec Konrad jest w dobrym humorze, ochoczo wychyla szklaneczkę za szklaneczką. Smakuje mu wino Saniczewów. Po takim winie przyszłość wydaje się różowa.

- Jesteśmy twardymi ludźmi - przekonuje. - Wyuczymy kriuków naszą młodzież, poślemy paru chłopaków do seminarium. Za kilka lat dochowamy się nowych popów. Przetrzymaliśmy cara, przetrzymaliśmy bolszewików. Z bożą pomocą przetrzymamy demokrację!

Druga izba jest poświęcona mołokanom.

Dominują tutaj chusty, serwety, obrusy, kobiece sukienki i długie męskie koszule. Barwy są stonowane, przeważają biel i błękit - przeciwieństwo orgii kolorów, która uderza u

niekrasowców. Najpiękniejsze są hafty. Można godzinami wpatrywać się w misterne wzorki, pokrywające wszystkie tkaniny. Układają się w geometryczne figury i w przedziwne, wielopąkowe kwiaty, jakich nie zna ziemska przyroda.

- Mołokanki były mistrzyniami haftu - potwierdza Ludmiła Wasiliewna. - Etnografowie badali ten haft pod lupą, fotografowali, ale tajemnicy wiązań i splotów nie odkryli. Szkoda, że młode dziewczyny nie chcą się uczyć rękodzieła.

Mołokanie przybyli do Nowokumskiego parę miesięcy przed niekrasowcami. Również przenieśli się z Turcji, ale z okolic Karsu. Zamieszkali tam w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, gdy obwód karski należał do Rosji. Podobnie jak inne raskolnickie sekty, szukali szczęścia na obrzeżach imperium.

Powód repatriacji mołokanów był ten sam, co niekrasowców - groźba wynarodowienia.

- Nazywamy się mołokanami, bo w czasie postów możemy pić mleko - objaśnia Michaił Aleksandrowicz Pawłow, moszcząc się wygodnie w olbrzymim fotelu. Pokój wygląda jak z rosyjskiej bajki: pośrodku ława, w jednym kącie kaflowy piec, w drugim drewniane łóżko, na nim siedem równiutko ułożonych poduszek, od wielkiej do malutkiej, wszystkie haftowane. Okno z okiennicami. Półkoliste zasłony. Doniczka z kwiatkiem. Bury kot.

Gospodyni, żona Michaiła Aleksandrowicza, dobrotliwa babcia z chustą na głowie, niesie czaj z konfiturami, niesie

chleb, masło i ser. Niesie jajecznicę. Poprawia mężowi pled.

Nie ma telewizora. Nie ma radioodbiornika. Nie ma gazet.

- Niektórzy mówią - ciągnie Michaił Aleksandrowicz - że nazwa pochodzi od Mlecznej Rzeki, nad którą mieszkali nasi przodkowie. Ale ja myślę, że jednak od postnego mleka.

Zaczęło się od raskołu i staroobrzędowców bezpopowców. Z mgławicowego ruchu, obfitującego w proroków i jurodiwych, ale pozbawionego ram organizacyjnych, wyłoniły się z czasem potężne sekty skopców i chłystów. W połowie osiemnastego wieku z tej ostatniej wyodrębnili się duchoborcy, czyli „bojownicy za ducha”. Ich przywódcą został handlarz wełną Iłłarion Pobirochin, który ogłosił się Chrystusem i dobrał spośród wiernych dwunastu apostołów. Do posiadłości mistrza trafił kiedyś wędrowny krawiec Siemion Uklein - ożenił się z jego córką i przyjął duchoborskie nauki, lecz po pięciu latach pokłócił się z teściem o kwestie związane z Sądem Ostatecznym. Na odchodnym założył swoją sektę, właśnie mołokanów. Potem od mołokanów odłączyli się pryguni, od tych z kolei maksymiści - zwolennicy niejakiego Maksyma Rudomiotkina, który w pierwszych latach dwudziestego wieku został zesłany na Wyspy Sołowieckie.

Pryguni i maksymiści również mieszkają w Nowokumskim. Jest ich w sumie kilkunastu. Mołokanów jest trzystu pięćdziesięciu.

- Nie mamy świątyni, zbieramy się po domach - opowiada mi Michaił Aleksandrowicz. - Na honorowym miejscu siada prezbiter, obok jego zastępca, dalej mężczyźni, a za mężczyznami kobiety. Nabożeństwo, *sobranije,* zaczyna się od odczytania fragmentu ewangelii, potem śpiewamy psalmy, potem znowu czytamy i znowu śpiewamy. Na końcu odmawiamy na kolanach *Ojcze nasz.* U prygunów wszystko wygląda inaczej: w czasie modłów wpadają w trans, tańczą i skaczą. Maksymiści oprócz czytania Biblii recytują urywki z książki Rudomiotkina.

W mołokańskiej gminie doszło, wiem to od Ludmiły Wasiliewnej, do dramatycznego konfliktu. Tutejszy prezbiter, człowiek surowych obyczajów, wyrzucił ze wspólnoty chłopca, który ożenił się z niemołokanką. Znaczna część wiernych po cichu sympatyzuje ponoć z banitą, ale nikt nie kwapi się do protestów, żeby nie podzielić jego losu. - To straszna tragedia - przekonuje pani Ludmiła. - Ten chłopiec wyrósł przecież w mołokańskiej kulturze, modlił się. Teraz nie ma żadnego oparcia.

Michaił Aleksandrowicz, rocznik 1930, należy do liberałów. Zgodził się na rozmowę z katolikiem, zebrał rodzinę do zbiorowej fotografii. Mołokanie unikają robienia zdjęć, nie uznają żadnych ikon, nie żegnają się znakiem krzyża. Jak niegdyś ikonoklaści, wierzą wyłącznie w czystego ducha.

- Stosunki z niekrasowcami układają się nie najgorzej - zapewnia mnie energicznie. - Nauczyliśmy się schodzić sobie z drogi. Gdy idzie niekrasowska procesja, nie

wychodzimy z domów. Podczas naszej Wielkanocy, która może wypaść w poniedziałek albo w piątek, zależy to od dnia przed pełnią księżyca, niekrasowcy omijają dom, gdzie odbywa się nabożeństwo paschalne.

Czasami nawet dyskutujemy o religii. Pamiętam, jak tuż przed emeryturą zagadałem się z Gawriłem Dmitrijewiczem. Była przerwa na obiad, jedliśmy razem posiłek regeneracyjny. Zeszło na Trójcę Świętą. Ja opowiadałem, jak jest u nas, on opowiadał, jak jest u nich. Tak się dobrze rozmawiało, że straciliśmy rachubę czasu. Prawie go przekonałem - uśmiecha się filuternie. - Bóg jest jeden - dodaje już na poważnie. - Tylko każdy rozumie go po swojemu. A brygadzista poleciał nam po premii.

W odróżnieniu od niekrasowców, którzy mieszkają tylko w Kraju Stawropolskim, gminy mołokanów rozrzucone są po całej Rosji. Mieszkają także w sąsiednich państwach i na Zachodzie. Za to w Nowokumskim znajduje się jedyne na świecie mołokańskie muzeum.

Trzecia izba jest poświęcona historii osady.

Na honorowym miejscu wisi portret dziedzica Blinowa.

- Wmawiano nam - mówi przewodniczka - że obszarnicy byli źli, a to nieprawda. Blinow był dobrym gospodarzem. Oprócz upraw winorośli miał cegielnię, zatrudniał wielu robotników i nieźle im płacił. Jego cegła trzyma się do dziś, proszę popatrzeć! Sowieckie cegły już się rozsypują, chociaż są nowsze.

Reszta ekspozycji dotyczy sowchozu. Dowiaduję się, że za osiągnięcia produkcyjne w dziewiątej pięciolatce sowchoz

otrzymał dyplom honorowy Rady Najwyższe RFSRR, a w roku 1976, postanowieniem Prezydium CK Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Spożywczego RFSRR - tytuł „Przedsiębiorstwa o Wysokiej Kulturze Produkcji”.

Dogorywające teraz gospodarstwo jest jedynym sponsorem muzeum.

- Nie chcę łaskawego grosza - tłumaczy Ludmiła. - Moglibyśmy sami zarabiać pieniądze. Moglibyśmy robić niekrasowskie lalki-suweniry albo mołokańskie obrusy. Potrzebujemy tylko minimalnego kredytu. Banki odmawiają, bo jesteśmy za blisko Czeczenii. Ministerstwo Kultury odmawia, bo samo nie ma środków. W zeszłym roku na oba zespoły, na restaurację zbiorów i na remont pomieszczeń dostałam dwadzieścia dolarów.

Pamięć chcę zachować. Żeby ludzie nie zapomnieli o własnej przeszłości. Widać naszemu państwu nie jest to do niczego potrzebne.

Z notatek (12)

27 stycznia 2010

Nikołaj Rastorgujew, lider kultowej grupy Lube, grającej narodowy rock (z elementami folku i szansonu), odebrał mandat deputowanego do rosyjskiej Dumy Państwowej. Z ramienia frakcji Jednej Rosji będzie reprezentował wyborców Kraju Stawropolskiego.

Co go łączy ze Stawropolem, z Kaukazem Północnym? W piosence *Dawaj za…* (co należy tłumaczyć: *Wypijmy za…),* śpiewał:

Dawaj za nich, dawaj za nas,
I za Sibir’, i za Kawkaz,
Za swiet daliokich gorodow,
I za druziej, i za lubow’

(Wypijmy za nich, wypijmy za nas / I za Syberię, i za Kaukaz / Za światła dalekich miast / I za przyjaciół, i za miłość). Wbrew pozorom, jest to piosenka o wojnie.

Atamani

Narzuca się pytanie - czym jest kozactwo? Ruchem dysydentów? Stowarzyszeniem społecznym? Zespołem folklorystycznym? Partią wiernych synów ojczyzny? I jak to wszystko objaśnić prostemu Kozakowi? A objaśnić trzeba, bo Kozacy domagają się odpowiedzi. „Podnieciliście - mówią - poruszyliście kozacką duszę, i co dalej?”. Rzeczywiście - i co dalej?

Władimir Czernyszew, 1992

Na boisku przy koszarach trwa nauka musztry.

- Pietia, wyprostuj się! Wania, broda do góry!

Chłopcy żwawo wykonują polecenia. Mają po dziesięć, najwyżej dwanaście lat. Jeszcze nie przypominają wojska. Noszą przetarte bluzy i wysłużone tenisówki. Gdy sierżant nie widzi, pokazują sobie język albo strącają z głów czapki z charakterystycznym owalem. Zajęcia odbywają się raz w tygodniu. Latem chłopcy pojadą na obóz.

- Pochodzą z różnych środowisk - opowiada mi ataman Nikołaj Jermakow. - Jeden miał dziadka Kozaka i od małego uczył się patriotyzmu. Drugiego wychowywała ulica. Przyszedł do nas, bo tutaj zawsze usłyszy dobre słowo i dostanie talerz zupy. Trzeciego przysłali rodzice, którzy nie mogli dać sobie z nim rady, pędrak strasznie łobuzował. Czeka ich ciężka praca, ale wierzę, że wyrosną na dobrych żołnierzy i dobrych Rosjan.

Kozacki korpus kadetów mieści się w M., nędznej mieścinie w Kraju Krasnodarskim. Drogę do jednostki wskazuje Lenin z pomnika przed siedzibą merostwa. Idąc za wyciągniętą ręką wodza, mija się bazarek, potem stację autobusową i szkołę. Brama z dwugłowym orłem, która zamyka perspektywę ulicy, nie pozostawia wątpliwości: dookoła ciągnie się ceglany mur zwieńczony kolczastym drutem, wjazd zagrodzony jest szlabanem.

Wartownik nie chciał wpuścić mnie do środka, dopiero ataman załatwił sprawę:

- Nie bądź taki służbista! Daj się pochwalić kozaczętami!

Chwilę później, gdy obserwowaliśmy ćwiczenia, nachylił się do mnie i oznajmił:

- Nie obraź się, Polak, mówię jak jest. Jeśli będzie potrzeba, zajmiemy tę twoją Polskę w tydzień i żadne NATO nam nie przeszkodzi!

W przedrewolucyjnej Rosji mieszkało cztery i pół miliona Kozaków, co stanowiło dwa i cztery dziesiąte procent ogółu ludności. Kozackie ziemie ciągnęły się wzdłuż południowych granic państwa, od Donu po Amur i Ussuri. Spośród jedenastu wielkich kozackich formacji nazywanych „wojskami” aż trzy przypadały na Kaukaz Północny. Stepy przylegające do Morza Azowskiego zajmowało Wojsko Dońskie, nad Morzem Czarnym i wzdłuż Kubania ulokowało się Wojsko Kubańskie, zaś obszar między dzisiejszymi Mineralnymi Wodami a Morzem Kaspijskim należał do Wojska Tereckiego. Liczebność kaukaskich Kozaków wynosiła dwa i pół miliona.

Wojska były jednostkami militarno-administracyjnymi. Dowodzili nimi atamani, najpierw pochodzący z wyboru, później wyznaczani przez cara. Atamanów niższej rangi - okręgowych i stanicznych - wybierano demokratycznie na kręgach, czyli zbiórkach. W scentralizowanym, autorytarnym państwie, kozackie włości posiadały wyjątkową autonomię.

Kozakiem zostawało się przez urodzenie. Człowiek, który do Kozaków przystał - już to z żądzy przygód, już to uciekając przed pańszczyzną albo więzieniem - tkwił na obrzeżach wspólnoty i nie miał prawa uczestniczyć w kręgu. Dopiero jego dzieci, od kołyski ćwiczone w hippice i fechtunku, mogły przywdziać czapkę z owalną odznaką.

Nie byli odrębnym narodem. Choć trafiali do nich Ukraińcy, Baszkirzy, Osetyjczycy, Kałmucy, a nawet Polacy (Feliks Krukowski dosłużył się stopnia generała-majora i godności atamana Kaukaskiej Kozackiej Linii), dominowali Rosjanie. Byli stanem - jak szlachta czy duchowieństwo, stanem ludzi wolnych i zdyscyplinowanych, łączących żołnierkę z pracą na roli i ortodoksyjnym prawosławiem.

Uchodzili za ostoję samodzierżawia. Strzegli rosyjskich granic, ochraniali dwór i carską rodzinę. Bili się we wszystkich wojnach, jakie toczyło imperium. Tłumili powstańcze zrywy ujarzmionych przez Rosję narodów.

- Początkiem końca kozactwa był rok 1905 - sądzi Wiktor Kliemachin, ataman z Kubania, który wśród towarzyszy ma przydomek Czytelnik, bo całe dnie przesiaduje po bibliotekach. - Kozaków zaczęto wówczas posyłać do

rozpędzania ulicznych demonstracji. Nie byli do tego przygotowani. Uważali się za moralnie czystą siłę zbrojną, za wiernych obrońców Ojczyzny, a nie za policjantów. Tak zrodziły się frustracja i rozgoryczenie. Doszły do tego różnice majątkowe. Gdy atamani opływali w dostatki, szeregowi mieszkańcy stanic przymierali głodem. A przecież wszyscy Kozacy byli braćmi i powinni być równi! Poczucie niesprawiedliwości i krzywdy wykorzystali bolszewicy.

W czasie wojny domowej Kozacy podzielili się na białych i czerwonych. Wcześniej walczyli za wiarę, cara i ojczyznę; teraz wiara zeszła na dalszy plan, cara nie było, a ojczyznę każdy rozumiał po swojemu. Większość, zwłaszcza na Syberii i Dalekim Wschodzie, stanęła jednak po stronie białych. Bolszewicy odpłacili im fizyczną eksterminacją - wymordowali jedną trzecią Kozaków, pozostałym zabrali ziemię. Do wybuchu wojny z Niemcami Kozacy oraz ich potomkowie nie mogli służyć w wojsku.

Kozackie korzenie Kliemachina sięgają w głęboką przeszłość. Jego pradziadek służył w lejbgwardii. Ochraniał cara podczas uroczystości państwowych i jeździł w imperatorskim konwoju. Zamknął oczy w wieku stu siedmiu lat. Dziadek przeszedł całą pierwszą wojnę światową i ani razu nie był ranny. Po powrocie na Kaukaz przyłączył się do czerwonych. (W odróżnieniu od białych, którzy nosili biało-niebiesko-czerwone naszywki, czerwoni zerwali ze swych mundurów pagony i wszelkie insygnia).

Został dowódcą bolszewickiego pułku, a następnie zastępcą wojskowego komendanta miasta Woroneż. W roku 1921 wyrzucono go z armii, najpewniej na skutek donosu. W swym nadkubańskim gospodarstwie chował parędziesiąt owiec, krowę i trzy konie, i mógł uchodzić za kułaka. Podjął pracę w sowchozie, doszedł do stanowiska sekretarza sowchozowej organizacji partyjnej. Wyżej nie dało się awansować. Krótko pracował w milicji. Na emeryturę odchodził jako stawropolski leśniczy. Zmarł w roku 1960. Wiktor miał wtedy dziesięć lat.

- Dziadek uczył mnie jeździectwa i myślistwa - wspomina ataman. - Pokazywał, jak robi się szablą. Wychowywał mnie na Kozaka. Ojciec żył krótko, ale burzliwie. Gdy się urodziłem, zostawił nas i wyjechał na Ural, służył tam w wojskach wewnętrznych. Zginął pod Czelabińskiem, w tym samym roku, co dziadek. Poległ w obławie na zbiegłych z łagru zeków.

Wiktor skończył szkołę wojskową i został oficerem lotnictwa. Posłali go do Afganistanu. Bombardował Dolinę Panczsziru. Tamta wojna śni mu się co noc. Stinger uderza w samolot, płoną ogon i jeden silnik, do lotniska jeszcze szmat drogi… Budzi się mokry.

Rozpad ZSRR zastał go w Zakarpackim Okręgu Wojskowym, który przypadł Ukrainie. Nie chciał służyć *Samostijnej.* Napisał raport o zwolnienie. Po osiemnastu latach odszedł z wojska bez emerytury. Wrócił nad Kubań. Zastał organizujące się na nowo kozactwo. Trochę się przyglądał, potem zaczął działać.

- Utrzymuje mnie żona lekarka - mówi wprost. - Złota kobieta. Rozumie, że bez armii uschnę. Najpierw nająłem się w jednej prywatnej firmie jako portier, ale kozackiej duszy nie oszukasz. Zrobiłem się markotny, straciłem apetyt. Któregoś ranka wstaję, a tu na krześle wisi odprasowany mundur. „Dzisiaj - mówi Natasza - nie pójdziesz do roboty. Wrócisz do swoich, atamanie!”.

Ruch kozacki odrodził się pod koniec lat osiemdziesiątych. Najpierw powstały kozackie zespoły pieśni i tańca, potem stowarzyszenia społeczno-kulturalne. O polityce nikt wtedy nie myślał. Nawet pierwsze kręgi, zwoływane po miastach i *stanicach* - mianem tym określano przed rewolucją wsie garnizonowe, a teraz wszystkie wsie, gdzie mieszkali Kozacy - skupiały się na przywracaniu dawnych obrzędów, odzyskiwaniu zamienionych na magazyny cerkwi i odkłamywaniu sfałszowanej przez bolszewików historii.

W latach dziewięćdziesiątych ze stowarzyszeń wypączkowały organizacje paramilitarne. Proces był żywiołowy i gwałtowny, objął setki tysięcy osób. W 1992 roku liczebność różnych kozackich formacji przekroczyła milion. Najwięcej formacji powstało na Kaukazie. Wśród jedenastu milionów Słowian, żyjących w Kraju Krasnodarskim, Kraju Stawropolskim i obwodzie rostowskim, co trzeci, czwarty przyznawał się do kozackich przodków.

Masowo garnęła się młodzież. Szukała oparcia i moralnych drogowskazów. Kozactwo uosabiało tęsknoty za

silną, sprawiedliwą Rosją. Na Kaukazie dochodził lęk przed góralami - w Czeczenii i innych republikach wrzało. Słowianie obawiali się, że konflikty ogarną także Kubań i Don. Żądali wydania im broni.

W nowo tworzonych oddziałach obowiązywało stare nazewnictwo. Powoływano zatem sotnie i okręgi, którymi dowodzili sotnicy, esaułowie oraz atamani. Powoływano też wojska, choć władze Federacji Rosyjskiej nie zamierzały uznać ich roszczeń terytorialnych. Nie uznały także Republiki Dońskiej, proklamowanej w marcu 1993 roku przez atamanów z Rostowa.

W Nowopawłowsku oglądałem krąg Kaukaskiej Kozackiej Linii. Na centralnym placu ustawiło się kilkuset chłopa, wszyscy brodaci i z brzuszkami, średnia wieku czterdzieści parę, może pięćdziesiąt lat. Umundurowani od Sasa do Lasa, naszywki wzięli pewnie z domowych strychów, lampasy do udających *galifety* dżinsów musiały doszyć im małżonki. Przed szereg wyjechał na srokatym koniu ataman Piotr Fiedosow: wysłuchał raportu setnika i pozdrowił zebranych. Odpowiedziało mu gromkie „Ura!, ura!, ura!”. Po apelu brodacze przemaszerowali do cerkwi na nabożeństwo.

Przybyło sporo kozackiej młodzieży. Chłopcy ujawnili się podczas pokazów sprawnościowych. Dosiedli kabardyjskich wierzchowców i w pełnym galopie cięli szablą łozy - drewniane rózgi grubości palca. Jeden zsunął się potem z siodła, zawisł pod brzuchem zwierzęcia i wrócił na swoje miejsce z drugiej strony końskiego tułowia. Inny spiął dwa

rumaki i cwałował na nich na stojąco, prezentując „węgierską pocztę”.

Dziewczęta zjawiły się, gdy przyszła pora na tańce. Na zaimprowizowanej scenie wywijano kozackie hołubce pod cymbały i akordeon.

Starszyzna udała się w tym czasie na naradę, czyli właściwy krąg. Tematem dyskusji były insygnia linii. Najpierw padła propozycja, by po prostu przywrócić dziewiętnastowieczne, okazało się jednak, że używano wtedy wymiennie kilku wzorów. Potem ataman z Piatigorska pokazał rycinę, która wzbudziła ogólny zachwyt i już, już dochodziło do głosowania nad przyjęciem wzoru przedstawionego właśnie na niej, ale ataman z Niewinnomyska zwrócił uwagę na złoty szamerunek. Nie, takiego szamerunku nigdzie się teraz nie dostanie... Decyzję odłożono do następnego kręgu. Esauła z Armawiru zobowiązano, by zgromadził dodatkową ikonografię.

W pobliskiej gospodzie czekały już zastawione stoły. Krąg trwał dłużej niż planowano i jedzenie zdążyło wystygnąć. Na dodatek podjechały zamówione autokary. Trzeba było się uwijać. Przy pospiesznej zakąsce spełniono kilka toastów i zaraz zaczęły się pożegnania. Kozacy piją aż trzy strzemienne. Pierwszy, *pososzok,* jeszcze w izbie. Drugi, *na koń* - przed domem. Trzeci - *striemiannyj* - powinien być wychylony w siodle, z nogami w strzemionach, ale można to uczynić w samochodzie.

Ataman Fiedosow okazał się uroczym gawędziarzem. Pochodził z białego kozactwa, ale prawdę o swoich

przodkach poznał późno. Rodzice bali się mówić mu o zesłanym na Syberię dziadku, oficerze Pierwszego Pułku Tamańskiego i o rozstrzelanych dalszych krewnych. Chowali przed nim pamiątki: dokumenty, szable, ordery, mundury. Tylko babcia śpiewała czasem dziwne, tęskne piosenki. Ukończył matematykę w Stawropolu, po studiach został w instytucie. Dorabiał lekcjami niemieckiego, którego nauczył się sam. Później opanował angielski.

Ojciec wyznał mu wszystko na łożu śmierci. Piotr poczuł zew krwi. Ściągnął dostępną literaturę, odnalazł jednego starego atamana, nawiązał kontakty z Kozakami w swoim wieku. Zorganizował prywatne seminarium. (Trwała olimpiada w Moskwie, pierestrojka miała zacząć się dopiero za pięć lat). Gdy rozpadał się Związek Radziecki, był już znanym działaczem.

- Kozacy powinni robić to, co robili zawsze, czyli bronić granic i uprawiać ziemię - powiedział mi. - W koronie Romanowów było jedenaście pereł, które oznaczały jedenaście kozackich wojsk. Daj Boże, by Rosja nawiązała do tych symboli. Daj nam, Boże, monarchię!

Burzliwie rozwijający się ruch próbował okiełznać Jelcyn. Pierwszy prezydent Rosji wymienił Kozaków w dekrecie *O rehabilitacji narodów represjonowanych,* zaś w innym dokumencie dopuszczał utworzenie kozackich oddziałów straży granicznej. W Moskwie zarejestrowano ogólnorosyjski Związek Kozaków, który miał zjednoczyć formacje z całego kraju.

Nie zjednoczył. Wkrótce pojawił się drugi, konkurencyjny związek, a w ślad za nim także drugie Wojsko Dońskie, drugie Kubańskie i Tereckie oraz druga Kaukaska Kozacka Linia. Po siedemdziesięciu pięciu latach odżył podział na Kozaków białych i czerwonych.

Kozacy dzielili się teraz również na „nowych” i „z dziada pradziada”, na „stanicznych” i „asfaltowych” (miejskich) oraz - jak wszyscy inni Rosjanie - na zwolenników komunistów, agrarystów, nacjonalistów, demokratów i politycznie obojętnych. W jednej ze stanic pod Krasnodarem urzędowało czterech atamanów, wybranych przez cztery niezależne kręgi.

Nie brakowało watażków, którzy pod kozackim szyldem prowadzili łupieżcze wyprawy na sąsiadów, rozbrajali milicję, pacyfikowali bazary, zakładali autonomiczne księstewka. Je-sienią 1992 roku w Georgijewsku oddział miejscowego esauła stoczył kilkudniową bitwę z Czeczenami. Kozacy z Tamania walczyli w Jugosławii po stronie Serbów. Ich pobratymcy z Te-reku wspierali naddniestrzańskich separatystów przeciwko siłom mołdawskim.

Inni widzieli w kozactwie przepustkę do politycznej kariery: do mandatu deputowanego, do stanowiska mera miasta. W Stawropolu, Krasnodarze i Rostowie nad Donem nie sposób było wygrać wyborów bez poparcia którejś z ważniejszych organizacji kozackich.

Kozacki korpus kadetów

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych ruch stracił impet, skurczyły się szeregi sotni i okręgów. Milionowa kozacka masa rozproszyła się po firmach ochroniarskich, wsiąknęła w struktury mafijne, zasiliła zwyczajną, państwową armię. Reszta wróciła do pieśni i tańców. Paramilitarne formacje młodzieżowe upodobniły się do skautingu.

W miarę jak ubywało Kozaków, przybywało atamanów.

- Jak będzie wyglądać nasza przyszłość? - powtarza pytanie Wiktor Kliemachin, ataman Czytelnik. - To zależy od nas samych i od władz. My powinniśmy przede wszystkim się określić. Władze powinny zrozumieć, że Kozakom zależy na dobru państwa i pomagać nam. A przynajmniej nie przeszkadzać.

Należy zacząć więc od powołania kozackich jednostek w ramach rosyjskiej armii - tłumaczy. - Kozacy odbywaliby w nich służbę zasadniczą, a potem wracali co roku, na przykład na miesiąc, dla podtrzymania więzów z towarzyszami. Jednostki powinny znajdować się blisko kozackich skupisk. Kozak miałby wtedy poczucie, że ochrania swój własny dom. W zamian za gotowość do stawienia się na każde wezwanie, byłby zwolniony z podatków.

W nadkubańskich miasteczkach po ulicach chodzą mieszane, milicyjno-kozackie patrole. To pierwszy sukces Kliemachina:

- Przekonałem urzędników, że warto z nami współpracować. Milicjant zawsze będzie kimś obcym, natomiast Kozak to swojak, krew z krwi i kość z kości. Takiemu można zaufać. Od razu spadła przestępczość, skończyły się burdy, z rynków zniknęli spekulanci.

Kadeci już sprawili się z musztrą i usiedli w kółko. Będą słuchać pogadanki. Nikołaj Jermakow wygłasza pogadankę na każdych zajęciach. - Opowiem wam dzisiaj o najpiękniejszym kraju na świecie - zaczyna z patosem. - O kraju nieprzebranych bogactw i nieprzebytych lasów,

bezkresnych stepów i złotych pszenicznych niw. O kraju sławnej przeszłości i wspaniałej przyszłości. Opowiem wam o naszej ojczyźnie, o świętej matuszce Rosji.

Jermakow umie przemawiać, przez trzydzieści cztery lata był lektorem w krasnodarskim *krajkomie* partii. Twierdzi, że wśród działaczy nie brakowało żarliwych patriotów, ale ich zapał studził wypaczony internacjonalizm. Gdy któryś zwracał uwagę, że etnicznym Rosjanom dzieje się krzywda, że rosyjska młodzież nie może dostać się na studia, bo większość miejsc przypada przedstawicielom mniejszości, posądzano takiego towarzysza Bóg wie o co.

- Rosja nigdy nie prowadziła wojen zaborczych - klaruje. - Zawsze broniła się tylko przed najeźdźcą. Broniła także innych. Wzięła pod opiekę Ormian, którzy jęczeli pod tureckim jarzmem, nie odmówiła pomocy Gruzinom. Dwa razy uratowała Europę. Raz, gdy zatrzymała tatarsko-mongolskie hordy, a drugi, kiedy rozgromiła Hitlera. Nikt nie powiedział „dziękuję” . Przeciwnie. Europa wciąż snuła intrygi, wciąż zastanawiała się, jak nas zdławić. Nie podobało się jej, że rośniemy w siłę, że nasze miasta są coraz piękniejsze, a nasze towary podbijają obce rynki. Nie podobało się, że niezłomnie wierzymy w Boga.

Zaraz po przejściu na emeryturę Jermakowowi zawalił się świat - Jelcyn, Szuszkiewicz i Krawczuk rozwiązali ZSRR. Poczuł się, jakby napluto mu w twarz. Oto farbowani demokraci rozdają ziemie, za które przelewał krew rosyjski żołnierz. Podli zdrajcy sprzedają tysiącletnią Rosję. Przyłączył się do Kozaków, choć nie miał kropli kozackiej

krwi: wydali mu się jedyną zdrową siłą zdolną powstrzymać ostateczny upadek kraju.

- Już Aleksander III powiedział, że Rosja nie ma przyjaciół - wykłada teraz kadetom. - Zachód wykupuje nasze fabryki, aby składować w nich odpady radioaktywne. Rosjanie są Zachodowi potrzebni tylko jako siła robocza. Nie dajcie się oszukać! Makdonaldy i pornograficzne filmidła zatruwają wasze umysły.

Nie po to przysyłają nam piękne zabawki, żebyśmy budowali silne państwo, ale po to, byśmy o własnym państwie zapomnieli. Niedoczekanie! Potężny jest duch narodu! Odrodzi się, powstanie Rosja! Zobaczcie, co napisał jeden nasz literat.

Wyjmuje z teczki plik odbitek, przekazuje dyżurnemu, a ten rozdaje je kolegom.

- To Żyrinowski - szepce mi do ucha ataman. - Nie lubię go, bo jest pajacem i na dodatek Żydem, ale pisze porywająco. Zresztą sam przeczytaj.

Czytam: *Na ścianie moskiewskiego domu zauważyłem napis „Rosjanie idą!”. Oto, jak zmieniły się czasy! Dawniej pisano „Spartak mistrzem!”. Pomyślałem: „Trzeba zrobić wszystko, żeby Rosjanie rzeczywiście szli. Żeby nie siorbali zupy z manierki, siedząc na czołgu, a żywili się godnie w najbardziej eleganckich restauracjach Europy i Ameryki. Żeby rosyjskie firmy były najpotężniejsze w Europie, żeby Gazprom dostarczał nasz gaz całemu kontynentowi, zaś Agrochim zawalił świat naszymi nawozami. Żeby rosyjskich aktorów rozpoznawano na ulicach najbardziej zaplutej*

amerykańskiej dziury. Żeby każdy Murzyn z Harlemu wiedział, że z rosyjską mafią się nie zadziera. Żeby każda dziewczyna w Australii doświadczała fizycznego podniecenia na sam dźwięk słowa »Rosjanin«, gdyż Rosjanie mają najwięcej temperamentu, są najbogatsi i najbardziej szczodrzy. Żeby podczas wystąpienia rosyjskiego prezydenta na całym świecie pustoszały ulice”.

Kadeci chłoną tekst w skupieniu, pod koniec nieśmiało chichoczą, pewnie wyobrażają sobie te Australijki. Lektura wywarła na nich wrażenie. Będą mieli o czym myśleć. Teraz salutują i rozchodzą się na obiad. Kuchnia polowa przygotowała dziś gulasz.

- Ufam Władimirowi Putinowi i kozackiej młodzieży - zwierza się Nikołaj Jermakow. - Te wyrostki - wskazuje na swoich podopiecznych - są prawdziwą nadzieją Rosji.

Z notatek (13)

11 marca 2010

Erywań. Cykliczne seminarium Rose Roth, organizowane przez Zgromadzenie Parlamentarne nato. Podczas przerwy ktoś opowiada, jak jechał taksówką z lotniska. Kierowca postanowił uświadomić go, jak starym narodem są Ormianie, jaką bogatą kulturą mogą się poszczycić i jak ogromnym państwem była starożytna Armenia: „Rozciągała się od morza do morza!”. „Od jakiego do jakiego?” - próbował dowiedzieć się ten, który nam o tym mówił. Kierowca zasępił się i po chwili wypalił: „A jakie to ma znaczenie?!”.

Pomyślałem, że ten kierowca miał rację. Istotnie, co za różnica, czy to było Morze Czarne, Czerwone, czy może Białe. Ważne, że kraj był wielki, potężny - a co lepiej oddaje bezkres niż wielka woda? Gdy słyszymy, że królestwo leżało za siedmioma morzami, nikt przecież nie pyta, jak się nazywały.

Apsuara

Jako krainę dzieciństwa zastałem wiejską, na poły jeszcze patriarchalną Abchazję - i taką pokochałem ją na zawsze. Może jednak idealizuję minione życie? Być może. Człowiek skłonny jest uwznioślać to, co kocha. Możliwe, że idealizując odchodzący sposób życia, wystawiamy, sami nie zdając sobie z tego sprawy, rachunek przyszłości. Mówimy jej jakby: oto, co tracimy, a co ty oferujesz nam w zamian?

Fazil Iskander, 1977

Tego dnia Ławrik założył góralski beszmet, i przypiął kindżał, ale nie współczesną replikę, z którą występował na scenie Teatru Abchaskiego w Suchumi, gdy wystawiali *Hadżi Murata,* tylko prawdziwy, odziedziczony po przodkach, z rogową rękojeścią i wyszczerbioną klingą. Na głowę wsunął papachę, jednak po namyśle zamienił ją na spiczasty wełniany kaptur, taki sam, jaki z dawien dawna nosili abchascy błędni rycerze, *abrecy*. „Jadę do matki” - rzucił żonie, która niby nie zwracała na niego uwagi, ale raz po raz z trwogą wyglądała z kuchni.

„Pewnie, że do matki - pomyślała Łarisa - ale dokąd jeszcze?”. Pogodziła się z myślą, że Ławrik ma swoje tajemnice, których ona, Ukrainka spod Doniecka, nigdy nie pozna.

Wyszła za niego przed piętnastoma laty, od tamtej pory mieszkała w Abchazji, miała tu przyjaciół, nauczyła się

nawet trochę po abchasku, nie przebiła się jednak przez pancerz sekretnych kodów, szyfrów i niedopowiedzeń, który odgradza Abchazów od reszty świata. W gruncie rzeczy była tu obca i bywało, że mąż, którego przecież kochała i z którym miała dwójkę udanych dzieci, wydawał się jej nieznanym człowiekiem.

Tymczasem on uruchamiał już samochód. Mieli zielonego moskwicza kombi. Wóz był rozklekotany, ale żwawy, dzielnie radził sobie na abchaskich bezdrożach. „Zwierzę, nie auto!” - cieszyły się dzieci, gdy obciążony toną mandarynek wspinał się na kolejny pagórek. Moskwicz przyplątał się po wojnie. Może należał do Gruzina, który uciekł, a może do poległego w boju Abchaza. Stał na sąsiedniej ulicy i kiedy Ławrikowi nie udało się znaleźć właściciela, zarejestrował go na siebie.

Zanim Łarisa zdążyła spytać, czy poczekać z obiadem, Ławrika już nie było.

Pojechał okrężną drogą, jakby chciał pożegnać się z miastem: z ulicy Inał-Ipy skręcił w Aiaairę, a z niej w aleję Leona, która dawniej nazywała się Lenina. Minął abchaskie muzeum z kamiennym dolmenem, który ustawiono przed budynkiem, bo nie mieścił się w środku, przemknął pod wiaduktem, przeleciał szeroką, zaprojektowaną nieco na wyrost ulicę Dzidzarija i zagłębił się w labirynty Nowej Dzielnicy. Było to brežniewowskie osiedle z wielkiej płyty. Bloki stały wprost nad brzegiem morza, w otoczeniu eukaliptusów i cyprysów. Miały pourywane balkony i

osmalone ściany. W niektórych zostały wyrwy po pociskach. Ludzie próbowali je łatać kawałkami cegieł.

Na podwórkach i na klatkach osiedla tętniło pracowite życie. Kobiety rozwieszały pranie i gotowały, pytlując przy tym bez ustanku, a mężczyźni doglądali gospodarstwa - któryś karmił świniaka, trzymanego w ogrodzonej drucianą siatką piaskownicy, któryś dobudowywał do szczytowej ściany bloku pokraczną komórkę. Wiejski byt, zastygły w codziennych rytuałach i w stosunkach międzyludzkich, trwał wbrew otoczeniu, na przekór zniszczeniom.

Ławrik miał tu kolegę, który handlował olejem silnikowym. Kupił od niego dwa litry - na wszelki wypadek. Obyłoby się, wskaźnik zapalił się niedawno, ale dziś nie mógł pozwolić sobie na ryzyko. Dziś wszystko musiało potoczyć się szczęśliwie.

Dalsza droga wiodła przez most nad Gumistą, gdzie wiele miesięcy utrzymywał się front, przez Eszerę, znaną z najsłodszych w Abchazji owoców *hurmy* oraz Nowy Afon, przyciągający turystów rzadkiej urody jaskinią i malowniczym klasztorem świętego Pantalejmona. (Od wojny turystów nie było, czasem w pancernych autach przemykali obserwatorzy ONZ) . Przed Gudautą odbił na prawo, w kierunku gór. W stronę przeznaczenia. Zwolnił, choć zwykle gnał tu osiemdziesiątką, znał na pamięć wszystkie dziury i wykroty. Przy starym młynie przeprawił się przez rzeczkę, ostatnie metry przejechał siłą rozpędu. Otworzył bramę, którą jak wszystkie w tej okolicy wieńczyła odpędzająca złe moce krowia czaszka, i zaparkował przed

domem matki. Spojrzał w niebo - była dziesiąta, najwyżej pół do jedenastej. Zostało mu trochę czasu.

Zanim wszedł do środka, odwiedził grób ojca. W zachodniej Abchazji zmarłych grzebią wprost w obejściu - aby czuwali nad żywymi. Najcięższym grzechem jest nieoddanie ciała ziemi, dlatego podczas wojny Abchazowie oddawali Gruzinom nawet dziesięciu jeńców za jednego trupa. W Abchazji wschodniej cmentarze powstają na rozstajach dróg, ale też blisko domów. Leżą na nich zmarli z jednego rodu.

Chwilę pomedytował i poszedł do matki. Staruszka ledwie powłóczyła nogami, cierpiała na reumatyzm. Ławrik wiele razy prosił, aby przeniosła się do nich, do miasta, ale nie chciała, broniła się też przed lekarzami. „Tutaj się urodziłam i tu złożę kości” - mawiała, gdy za bardzo nalegał. Teraz, zobaczywszy syna w uroczystym stroju, zadrżała od silnego wzruszenia.

- Więc dzisiaj, Ławriczku… - szepnęła.

Skinął potwierdzająco głową.

Miał zostać myśliwym. Od dziecka hasał po górach ze stryjową dwururką, pamiętającą chyba czasy wojny kaukaskiej, i strzelał do kaczek. Raz zasadzili się z ojcem na niedźwiedzia. Wyprawiona skóra zawisła na ścianie *pacchy* - tam, gdzie przechowuje się zapasy na zimę.

Miał ożenić się z dziewczyną z sąsiedztwa. Rodzice dawno omówili szczegóły i czekali tylko, aż pociechy dorosną.

Wszystko się zmieniło, gdy w drugiej klasie pojechał ze szkolną wycieczką do Suchumi. Miasto nie zrobiło na Ławriku wrażenia, gdzie mu równać się do Aczandary! Zamiast górskich potoków były ocembrowane kanały, zamiast krętych ścieżek, po których latem można biegać na bosaka - beton i asfalt. Za to teatr oczarował go, olśnił, odurzył. Nie pamięta już, jaki grano spektakl, przypomina sobie jedynie, że gdy kurtyna opadła i nauczycielka zwoływała grupę do wyjścia, on siedział i kurczowo trzymał się fotela.

Mijały lata, a zauroczenie nie przechodziło. Sam jeździł teraz do miasta, kupował bilet i podniecony zasiadał na widowni. Potem wkuwał na pamięć dialogi i ćwiczył dykcję, starając się przekrzyczeć furkoczący młyn. Już wiedział, że zostanie aktorem. Na studia dostał się za pierwszym razem.

W szkole teatralnej w Tbilisi trzymał z innymi Abchazami. Wszyscy zapisali się do grupy rosyjskojęzycznej. Abchaska Republika Autonomiczna należała do Gruzji, ale gruzińskiego nikt nie znał. Gruzini byli obcy, wręcz wrodzy. Na każdym kroku okazywali swą wyższość. Przez cztery lata nie nauczył się nawet podstawowych gruzińskich zwrotów.

Po dyplomie zamieszkał w Suchumi. Ożenił się z kobietą, którą poznał bez swatów. Został ojcem i zaczął budować dom. Pracę w teatrze otrzymał od ręki. Niebawem zasłynął z przejmujących monologów. Zagrał Hamleta.

Wojna wybuchła, gdy wracał z festiwalu w Szwajcarii. Przygotował się: kupił automat, spakował trochę jedzenia. Żonę i córkę wyprawił na Ukrainę. (Syn, który miał osiem lat, nie chciał wyjechać. Bał się, że zapomni mówić po abchasku. Przygarnęła go babcia z Aczandary). Ławrik nie miał wyboru. Żaden abchaski mężczyzna nie miał wyboru.

Pragnął walczyć w górach, ale dowódcy niechętnie przyjmowali inteligentów. Pozwolono mu ochraniać port w Gudaucie. Ochraniał, a w wolnych chwilach przerabiał porzucony na plaży kuter na łódź bojową. Po kilku tygodniach odważył się wyjść w morze. Po kilku dalszych miał już skompletowaną załogę. Stworzył abchaską marynarkę wojenną.

Na akcje ruszali głęboką nocą. Daleko przed Suchumi, które było zajęte przez Gruzinów, gasili motor i do celu dopływali na wiosłach. Potem ostrzeliwali gruzińskie pozycje i wycofywali się. Raz zapuścili się aż do Poti. Odprowadzało ich wtedy stadko delfinów.

Wojna została wygrana i Ławrik znowu występował w teatrze, nie mógł jednak żyć bez morza. Został komendantem suchumskiego portu wojennego. Podlegało mu teraz wiele łodzi i wielu marynarzy. Na próby przychodził w kamuflażu i biało-niebieskim podkoszulku, *tielniaszce.*

Niedługo miał kończyć pięćdziesiąt pięć lat. W takim wieku zmarł jego ojciec.

Dosiadł konia, którego przyszykował uprzedzony o wszystkim młodszy brat, i skierował się na północ. Przy

podjeździe pod górę Dybrypsz zatrzymał się, żeby rozluźnić popręg. Widać było stamtąd całą okolicę. Wśród zanurzonych w mandarynkowych sadach domostw, wśród kukurydzianych poletek, wciśniętych w zakola kapryśnej Aapsy, wypatrzył piętrowy budynek domu kultury. Uśmiechnął się. Przypomniało mu się pewne zdarzenie z dzieciństwa.

W latach pięćdziesiątych, gdy na świecie szalała zimna wojna, do ich wioski przyjechał sekretarz z tbiliskiego komitetu partii. Opowiadał o amerykańskich imperialistach i zachodnioniemieckich rewanżystach, o zaostrzającej się walce klas i nieuchronnym zwycięstwie socjalizmu. Opowiadał także o bombie atomowej i nagle zainteresował się, czy w Aczandarze mają schron przeciwatomowy. Nie dość, że nie mieli - żaden z górali, zagnanych na pogadankę przez przewodniczącego *sielsowietu* nie wiedział nawet, co to takiego. Sekretarz załamał ręce:

- Co zrobicie, jeśli imperialiści zbombardują właśnie Aczandarę? Jeśli wyrosną tu grzyby jądrowe, a fala uderzeniowa zmiażdży wasze zagrody?

- Okryjemy się hańbą! - odparł jeden ze starców.

Koń niespokojnie strzygł uszami. Od jakiegoś czasu wspinali się skalną ścieżką, wiodącą ku zamglonym graniom Bzypskiego Grzbietu. Przekroczyli już linię bukowych lasów i minęli jodłowy zagajnik, rosnący samotnie wśród nagich turni. Teraz otwierała się przed nimi rozległa połonina. Z jej krańca dolatywały pobekiwania owiec i nawoływania pasterzy, czuć było dym ogniska i

zapach pieczonego szaszłyka. Ławrik spiął wierzchowca i ruszył w przeciwną stronę. Nad urwistym brzegiem górskiego potoku, za labiryntem kamiennych znaków, za zasiekami z bukszpanu, kryło się Uroczysko.

Było to najświętsze spośród świętych miejsc Abchazji, abchaski Watykan, Jerozolima i Lourdes jednocześnie. Od wieków ciągnęli tu pątnicy ze swymi prośbami i z dziękczynieniem - i od wieków składali na Uroczysku drogocenne wota. Przez pokolenia nagromadziło się nie lada bogactwo. Wieści o skarbach rozchodziły się po całym Kaukazie, ale mało kto ośmielał się sięgnąć po daninę należną bogom. Duchy zaraz odbierały takim niegodziwcom rozum, plątały im drogi i nasyłały dzikie zwierzęta. Na Uroczysku zawierano sojusze, wypowiadano wojny i ogłaszano rozejmy. Złożone tutaj przysięgi musiały być dotrzymane, a klątwy spełnione.

Tutaj rozstrzygały się sprawy życia i śmierci.

Zeskoczył z konia i udał się do stojącego opodal szałasu. W środku czekał już Astamur, czerstwy starzec o rumianej twarzy, odziany jak on w tradycyjny abchaski strój. To na spotkanie z nim Ławrik przyjechał z Suchumi. Przywitali się lekkim skinieniem głowy. W świętym miejscu nie mogli okazywać sobie niechęci.

Wkrótce nadszedł kapłan, stuletni Abchaz, który mieszkał w szałasie i sprawował pieczę nad Uroczyskiem. Wiedział, co przywiodło mężczyzn. Być może wiedział także, jaką podejmie decyzję. Spojrzał na obu i zwrócił się do pierwszego:

- Czy ty, Astamurze, głowo rodu Łakerbajów, gotowy jesteś przebaczyć Ławrikowi, a w jego osobie całemu rodowi Achbów?

- Nie! - rzucił krótko Astamur.

Ławrik milczał. Nie spodziewał się niczego innego. Znał *apsuarę,* niepisany abchaski kodeks honorowy. Pytanie powinno zostać powtórzone jeszcze dwa razy, po czym dwa razy powinna paść identyczna, przecząca odpowiedź. Tak się stało. Teraz musiał przemówić kapłan. Od jego wyroków nie było odwołania.

Sześćdziesiąt lat wcześniej dziadek Ławrika zhańbił pannę od Łakerbajów. Łakerbajowie przeklęli Achbów. Rok za rokiem któryś Achba umierał, ginął albo zapadał na nieuleczalną chorobę. Potężny dawniej ród skurczył się i oto Ławrik, który według abchaskich pojęć miał jeszcze prawie mleko pod nosem, został jego seniorem. Zdecydował się przerwać zaklęty krąg. Zaraz po pogrzebie ostatniego starszego od siebie Achby zwołał rodzinną naradę i oznajmił, że będzie się z Łakerbajami godził. Przygotowania trwały wiele miesięcy.

- Astamurze - kapłan odezwał się ponownie - radzę ci nie odtrącać wyciągniętej na zgodę dłoni. Achbowie odpokutowali swą winę, krwią zmyli hańbę Łakerbajów. Jeśli nie cofniesz z nich klątwy, ja ją cofnę i rzucę na ciebie, a w twojej osobie na całe twoje plemię!

Tamten skulił się jak po mocnym ciosie. Czuł, że Ławrik dopnie dziś swego, lecz groźby w ustach kapłana nie przewidział. Nie mógł przewidzieć. Ta groźba pozbawiała

go wyboru. - Cofam klątwę - rzekł. - Łakerbajowie wybaczają Achbom. Nie ma już niezgody między naszymi rodami. Od tej pory niech zapanuje braterstwo.

Ławrik zacisnął zęby, aby ukryć emocje. Przyszło mu na myśl, że podobnie zachowywał się w teatrze, występując w roli Hadżi Murata, ale nagle uświadomił sobie, że wtedy, na scenie, grał po prostu siebie.

Z szałasu jako najmłodszy wyszedł ostatni. Tak każe apsuara. Zacisnął pięść i uniósł ją do góry. Nareszcie był wolnym człowiekiem.

Bieguny

Abchazja, choć geograficznie leży już na Zakaukaziu, kulturowo przynależy do Kaukazu Północnego, wnosząc tam powiew Śródziemnomorza. W zatoce w pobliżu Suchumi znaleziono pochodzącą z Grecji marmurową płytę, a w innym miejscu zachowały się ruiny starożytnego greckiego miasta, Dioskurii. Abchazowie są narodem górali i żeglarzy, z kolei mieszkający o tysiąc kilometrów na wschód Kałmucy - narodem żeglarzy i pasterzy. Kałmucja, która geograficznie odnosi się do pasa stepów, stanowi drugą bramę regionu, ale otwartą w kierunku Azji, w stronę koczowniczego Turkiestanu. Pomiędzy oboma biegunami - Kałmucją na wschodzie i Abchazją na zachodzie - rozciąga się planeta Kaukaz.

Książki cytowane i przywoływane

W mottach

Rok, który podaję przy poszczególnych mottach w książce, to data powstania bądź pierwszego wydania danego utworu.

Źródła mott (w kolejności cytowania):

Robert D. Kaplan, *Bałkańskie upiory. Podróż przez historię,* tłum. Janusz Ruszkowski, Wołowiec 2010 (motto całej książki).

Siergiej Anisimow, *Kawkazskij kraj. Putiewoditiel,* Moskwa-Leningrad 1927 *(Elbrus).*

Edward Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów kirgiz-kajsackich,* tom 1, Grodno 1859 *(Miraż).*

Rasul Gamzatow, *Mój Dagestan,* tłum. Jerzy Jędrzejewicz, Warszawa 1971 *(Lezginka).*

Hinalugijską przypowieść, opracowaną literacko przez Rahima Ałchasa, opowiedział mi Al-ed-Din Babajew, Hinalug, 19.11.1995 *(Hinalug).*

Jan Potocki, *Podróże,* zebrał i opracował Leszek Kukulski, Warszawa 1959 *(Zikr).*

Lew Tołstoj, *Hadżi Murat,* tłum. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Warszawa 1992 *(Zikr).*

Postanowienie o Godle Państwowym Republiki Inguszetii (zatwierdzone Dekretem Prezydenta Republiki Inguszetii Nr 204 z 27 czerwca 1994 r.) cytuję za: *Inguszskaja gosudarstwiennost',* red. Adam Malsagow, Moskwa-Nazrań 1997 *(Magas).*

Aleksandr Janowskij, *Osetija,* Cchinwał 1993 *(Darial).*

Oświadczenie Gieorgija Cziczerina, komisarza spraw zagranicznych Rosji Radzieckiej i ZSRR cytuję za: *Osetija i osetiny,* red. Kazbek Czełechsaty, Władikawkaz-Sankt-Pieterburg 1994 *(Uastyrdży).*

Kazimierz Moszyński, *Znaczenie etnografii Kaukazu dla badań etnologicznych na Bałkanach,* „Lud Słowiański. Pismo poświęcone dialektologii i etnologii Słowian", t. 3, zeszyt 1, Kraków 1933 (*Czerkieska*).

Ismail Kadare, *Akta sprawy H.,* tłum. Anna Laurent, Poznań 1994 *(Czerkieska).*

Gedeon, *Istorija christianstwa na Siewiernom Kawkazie do i poslie prisojedinienija jego k Rossii,* Moskwa-Piatigorsk 1992 *(Szoana).*

James Stanislaus Bell, *Journal of a Residence in Circassia during the years 1837,1838 and 1839,* vol. 1-2, London 1840 (Bell przytacza List Adygów do królowej Anglii cytowany w motcie do reportażu *Machadżyrowie).*

Ludwik Bazylow, *Historia nowożytnej kultury rosyjskiej,* Warszawa 1986 *(Raskolnicy).*

Władimir Czernyszew, *Kazaczestwo i jego tradicii,* Mineralnyje Wody 1992 *(Atamani).*

Fazil Iskander, *Sandro iz Czegema,* Moskwa 1996 *(Apsuara).*

W tekście

Andrzejkowicz-Butowt Michał, *Szkice Kaukazu,* t. 1-2, Warszawa 1859.

Bazorkin Idris, *Iz t'my wiekow,* http://www.groznycity.ru/library/prose/bazorkin/fromdarkages_1.shtml; dostęp 8.06.2010.

Błarambierg Iogann, *Kawkazskaja rukopis',* Stawropol 1992.

Bulaj Monika, *Figli di Noe,* Milano 2006.

Bulaj Monika, *Genti di Dio,* Milano 2008.

Carré John le, *Nasza gra,* tłum. Maciej Pertyński, Warszawa 1995.

Chamicew Walerij, Bałajew Aleksandr, *Dawid Sosłan, Fridrich Barbarossa... Alanija ot Palestiny do Britanii,* Władikawkaz 1992.

Custine Astolphe de, *Listy z Rosji,* tłum. Marian Górski i Maria Leśniewska, Warszawa 1991.

Dżarimow Asłan, *Adygieja: ot awtonomii k riespublikie,* Moskwa 1995.

Edda Poetycka, tłum. Apolonia Załuska-Strömberg, Wrocław 1986.

Górecki Wojciech, *Toast za przodków,* Wołowiec 2010.

Iljumżinow Kirsan, *Kałmykija - ziemlia ducha: nacjonalnaja idieja,* Elista 1997.

Iljumżinow Kirsan, *Tiernowyj wieniec prezidienta. Dokumentalnaja powiest',* Moskwa 1995.

Kotański Wiesław, *Buddyzm jako religia światowa* [w:] *Zarys dziejów religii,* red. Józef Keller, Wiesław Kotański, Witold Tyloch i Bogdan Kupis, Warszawa 1976.

Łapiński Teofil (Teffik-bej), *Gorcy Kawkaza i ich oswoboditielnaja bor'ba protiw russkich,* tłum. W. K. Gardanow, Nalczik 1995.

Mandelsztam, Osip, *Izbrannoje,* t. 1-2, Moskwa 1991 (w wierszu z listopada 1933 r. Mandelsztam pisał o „szerokiej piersi Osetyjczyka").

Maschler Ilana, *Moskiewski czas,* Warszawa 1994.

Nowakowski Marek, *Trzy teksty o Czeczenii,* Warszawa 2000.

Pietrucin-Pietraszewski Józef, *Pamiętniki Zagończyka,* 1918. Rękopis w Centralnym Archiwum MSWiA, fragmenty publikowane w kwartalniku „Karta", nr 1/1991 i miesięczniku „Mówią Wieki", nr 12/1994.

Prozritielew Grigorij, *Wojennoje proszłoje naszych kałmyk,* Stawropol 1912.

Sołżenicyn Aleksander, *Archipelag Gułag,* tłum. Jerzy Pomianowski, Warszawa 1991.

Spencer Edmund, *Putieszestwija w Czerkiesiju,* tłum. Naima Niefliaszewa, Majkop 1994.

Szinkuba Bagrat, *Posliednij iz uszedszich,* [brak nazwiska tłumacza], Nalczik 1994.

Thorarinsson Sigurdur, *Tysiąc lat walki z lodem i ogniem,* tłum. zespołowe studentów 3 gr. I roku rocznika

1961/1962 Filologii Angielskiej Uniwersytetu Warszawskiego, wyd. 3, Warszawa 1978.

Tkaczew Gieorgij, *Inguszy i Czeczency w sjemie narodnostiej Tierskoj obłasti* , Władikawkaz 1911.

Vlady Marina, *Wysocki, czyli przerwany lot,* tłum. Kalina Szymanowska, Warszawa 1990 (stąd pochodzi fragment wiersza Wysockiego o ziemi niczyjej, cytowanego w reportażu *Uastyrdży).*

Wilk Władysław, *Dziennik snajpera,* Zielona Góra 1999.

Zajączkowski Wojciech, *Czy Rosja przetrwa do roku 2000?,* Warszawa 1993 .

Żyrinowski Władimir, *Posliednij wagon na siewier,* Moskwa 1995.

Artykuły prasowe i audycje telewizyjne:

Falkowski Maciej, *Kaznodzieja z karabinem,* „Tygodnik Powszechny", nr 15/2010.

Farnijew Zaur, Woronow Aleksandr, *W Cchinwali żgut knigi „wtorogo sorta",* „Kommiersant'" 17.09.2009 (artykuł przytaczany w *Z notatek* [8]).

Galiński Krzysztof, *Dawno zapomnieliśmy, co to takiego,* „Życie", 2.01.1998.

„Ja że nie takim tupym sapogom-wojakoj był", „Kommiersant' Własť", nr 5/2009 (wywiad Musy Muradowa z Junus-Bekiem Jewkurowem, cytowany w *Z notatek* [6]).

Jagielski Wojciech, *Gdyby zabić wszystkich mężczyzn,* „Gazeta Wyborcza", 24.02.2000.

Morozow Andriej, *Wkus wojny,* „Moskowskij Komsomolec”, 14.09.1999 (moskiewska gazeta cytowana w reportażu *Zikr).*

Pozner Władimir, Rozmowa z Kirsanem Ilumżynowem, telewizyjna audycja „Pozner”, Pierwyj Kanał, 26.04.2010. http://vladimirpozner.ru/?p=3031>; dostęp 5.06.2010.

Radziwinowicz Wacław, *Skorumpowana rosyjska matura,* „Gazeta Wyborcza”, 5.06.2010.

Simwolika Olimpiady w Soczi dołżna otrażat' kulturu czerkiesow, uwierienypriedstawitieli adygskich organizacij, http://www.kavkaz-uzel.ru/articles/167516; dostęp 15.06.2010.

Druki ulotne:

List otwarty do tygodnika „Zakubanie” (reportaż *Machadżyrowie)* pochodzi z archiwum autora.

Ulotka *Grażdanie Siewiernoj Osetii!* („Obywatele Osetii Północnej!”, cytowana w reportażu *Magas)* pochodzi z archiwum autora.

Ulotkę nawołującą do przyłączenia się do rebelii Buławina (reportaż *Raskolnicy)* cytuję za: Władysław A. Serczyk, *Piotr I Wielki,* Wrocław 1990 .

Jeśli nie podano tłumacza na język polski, cytaty z prac obcojęzycznych przełożył autor.